

Ray Bradbury

JAKIŚ POTWOR TU NADCHODZI

vis-à-vis
cristo

Ray Bradbury

Jakiś potwór tu nadchodzi

(Something Wicked This Way Comes)

Przełożyła Paulina Braiter

Notka do powieści

Ray Bradbury, rocznik 1920, odkrył fantastykę w roku 1937 dzięki spotkaniu z Henrym Kuttnerem i Forrestem Ackermanem. Dwa lata później wydawał już własny fanzin "Futura Fantasia".

Jest mistrzem krótkiej formy, bardzo szybko zaczęto mówić o jego własnym, poetyckim, pełnym niepokoju stylu. Wczesne opowiadania zostały zebrane w tomie "Dark Carnival". Jedno z nich znalazło się też później w najśłynniejszej bodaj jego książce "Kronikach marsjańskich", która ukazała się w 1950 roku i przyniosła autorowi natychmiastową sławę oraz umożliwiła mu – jako pierwszemu pisarzowi SF – wyjście z getta fantastycznego.

Pierwszą powieścią napisaną przez Bradbury'ego jest "451 Fahrenheita" (1953), następną "Słoneczne wino" (1957).

Bradbury nie odszedł nigdy od krótkiej formy. Wiele z jego opowiadań znalazło się w zbiorze "Człowiek ilustrowany". Wspólnym motywem jest tu postać tajemniczego wędrowca, w całości pokrytego magicznym tatuażem.

W 1989 roku otrzymał Nebulę za całokształt twórczości.

Poza fantastyką pisywał też kryminały, książki dla dzieci, sztuki teatralne i scenariusze filmowe.

D.M.

Z wyrazami wdzięczności dla
JENNET JOHNSON,
która nauczyła mnie, jak się pisze opowiadania,
i dla SNOWA LONGLEYA HOUSHA,
wykładowcy poezji w Los Angeles High School dawno temu,
a także dla JACKA GUSSA,
który nie tak znów dawno pomógł mi w pracy nad tą powieścią.

Człowiek się kocha, a kocha, co mija.

W.B. Yeats (przeł. Janusz A. Ihnatowicz)

Nie śpią bowiem, aż co złego zbroją: i nie mogą spać, aż kogo podejda. Jedzą chleb nieubożności i wino nieprawości piją. Księga Przypowieści IV, 16-17. (przeł. ks. D. Jakub Wujek)

Nie mam pojęcia, co się może przydarzyć, ale niech będzie, co chce, ja przyjmę to z uśmiechem. Stubb w "Moby Dicku" (przeł. Bronisław Zieliński)

PROLOG

Po pierwsze, był październik, wyjątkowy miesiąc w życiu każdego chłopca. Nie żeby inne miesiące nie zasługiwały na to miano. Niemniej, jak mawiają piraci, nawet wśród rzeczy wyjątkowych zdarzają się lepsze i gorsze. Choćby wrzesień – paskudny miesiąc: zaczyna się szkoła. Albo sierpień – całkiem niezły, wciąż trwają wakacje. Lipiec – o, to naprawdę świetny miesiąc: żadnej nauki na horyzoncie. Bez wątpienia jednak najlepszy jest czerwiec, kiedy drzwi szkół otwierają się szeroko, a wrzesień wydaje się odległy o miliardy lat. Weźmy jednak październik. Rok szkolny trwa już od miesiąca i człowiek przywyka do nowych ciężarów, które przestają przygniatać go nieznośnie. Zaczynamy myśleć o śmieciach, jakimi zasypjemy werandę starego Pricketta, albo o włochatym małym kostiumie, który przywdziejemy ostatniego dnia miesiąca na zabawę w YMCA. A kiedy zbliża się dwudziesty październik i w powietrzu unosi się zapach dymu, a niebo o zmroku jest pomarańczowe i szare jak popiół, można odnieść wrażenie, że szeleszczące miotłami i łopoczące prześcieradłami Halloween nigdy nie nadejdzie.

Lecz pewnego dziwnego, mrocznego roku Halloween nadszedł nieco wcześniej. Nastąpiło to dwudziestego czwartego października, trzy godziny po północy. O tej porze Jim Nightshade, zamieszkały przy Oak Street 97, miał dokładnie trzynaście lat, jedenaście miesięcy i dwadzieścia trzy dni. Jego sąsiad, William Halloway, skończył właśnie trzynaście lat, jedenaście miesięcy i dwadzieścia cztery dni. Obaj widzieli już przed sobą swe czternaste urodziny, trzepoczące niczym ptak tuż poza zasięgiem rąk. W tym październikowym tygodniu zaś nagle dorośli, pozostawiając za sobą lata dzieciństwa...

I. POWITANIA

Rozdział I

Sprzedawca piorunochronów przybył do miasta, nieco tylko wyprzedzając burzę. Owego pochmurnego październikowego dnia wędrował ulicami Green Town w stanie Illinois, co chwila oglądając się przez ramię. Gdzieś w dali potężne pioruny uderzały o ziemię. Niezbyt daleko za jego plecami czaiła się burza, bezlitosne zwierzę o straszliwych zębiskach.

Toteż domokrążca maszerował rażno naprzód, kołyszając wielką skórzaną torbę, w której pobrzękiwały przerośnięte kowalskie układanki. I choć spoczywały one bezpiecznie w swojej kryjówce, język sprzedawcy bezustannie przywoływał ich wizje, gdy mężczyzna wędrował od drzwi do drzwi, póki w końcu nie dotarł na trawnik, z którym było coś okropnie nie tak.

Nie, nie chodziło o trawę. Domokrążca uniósł wzrok. Na łagodnym zboczku leżało dwóch chłopców. Podobnie zbudowani, rozciągnęli się wygodnie, strugając fujarki i rozmawiając o dawnych i przyszłych czasach, wyraźnie zadowoleni z tego, że w ciągu lata pozostawili ślady swych palców na każdym ruchomym przedmiocie w Green Town, a od czasu rozpoczęcia szkoły ich stopy wydeptały wszystkie ścieżki pomiędzy miastem a jeziorem.

– Jak się macie, chłopcy! – zawołał mężczyzna odziany w strój barwy burzy. – Rodzice w domu? Chłopcy potrząsnęli przecząco głowami. – Macie jakieś pieniądze? Zaprzeczyli. – No cóż – domokrążca przeszedł parę kroków, po czym zatrzymał się zgarbiony. Nagle, jakby poczuł na karku chłodny dotyk nieba albo może spojrzenie ślepych okien stojącego nie opodal domu, odwrócił się powoli, węsząc w powietrzu. Wiatr poruszał nagimi gałęziami drzew. Promienie słońca, przenikając przez niewielki prześwit w chmurach, powlekły złotem kilka ostatnich dębowych liści. Jednakże wkrótce słońce zniknęło, złote monety zostały wydane i znów powiał szary wiatr; mężczyzna

otrząsnął się z zadumy.

Powoli ruszył naprzód po trawniku. – Młodzieńcze! – zagadnął. – Jak się nazywasz? Słyszając to, pierwszy chłopiec o włosach jasnych jak puszek ostu zmrużył oko, przechylił głowę i spojrzał na przybysza drugim okiem, jasnym i czystym niczym kropla letniego deszczu.

– Will – odparł. – William Halloway. Herold burzy odwrócił się. – A ty? Drugi chłopak nawet nie drgnął. Leżał na brzuchu wśród jesiennej trawy, jakby zastanawiał się, czy nie wymyślić sobie jakiegoś pseudonimu. Jego włosy, gęste i potargane, miały barwę i połysk kasztanów. Oczy, spoglądające gdzieś w głąb duszy, były zielone i przejrzyste niczym kryształ. Wreszcie wsunął do wygiętych nonszalancko ust źdźbło suchej trawy.

– Jim Nightshade – rzekł. Handlarz burz skinął głową, jakby wiedział to od początku. – Nightshade. Niezłe nazwisko. – I jakże stosowne – dodał Will Halloway. – Ja urodziłem się minutę przed północą trzydziestego października, Jim – minutę po północy trzydziestego pierwszego.

– W Halloween – dorzucił Jim. – Święto duchów. I chłopcy, wpadając sobie w słowo, opowiedzieli mu historię swego życia, dumni z matek mieszkających tuż obok siebie, które razem pospieszyły do szpitala i w odstępnie kilkudziesięciu sekund wydały na świat synów; jednego zrodzonego ze światła, drugiego z mroku. W słowach tych kryły się dzieje wspólnych przyjęć i świętowania. Co roku na minutę przed północą Will zapalał świece na niewielkim torcie. W dwie minuty później, kiedy zaczynał się ostatni dzień miesiąca, Jim zdmuchiwał płomyki.

To właśnie opowiedział podekscytowany Will, a Jim potwierdził milczeniem. Domokrażca, uciekając przed burzą, wysłuchał ich, stojąc niepewnie w trawie i wodząc wzrokiem od jednej chłopięcej twarzy do drugiej.

– Halloway. Nightshade. Mówicie, że nie macie ani grosza? Doprowadzony do rozpaczki własną sumiennością, mężczyzna wsunął rękę w głąb skórzanej torby, grzebał w niej przez chwilę, po czym wydobyl żelazny instrument.

– Weźcie go. Za darmo. Czemu? W jeden z domów uderzy piorun! Bez tego pręta – bum! Ogień i popiół, spalenizna i żar! Łapcie!

Wypuścił piorunochron z ręki. Jim nie zareagował, natomiast Will złapał kawał żelaza i westchnął: – O rany. Ale ciężki! I dziwaczny. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Spójrz tylko, Jim!

Na te słowa jego towarzysz przeciągnął się wreszcie niczym kot i odwrócił głowę. Zielone oczy otwały się szeroko, po czym zwięziły do rozmiarów szparek.

Metalowy przedmiot miał kształt ni to krzyża, ni to półksiężyca. Do głównego pręta przyspawano niewielkie ozdóbki i wypustki. Całą jego powierzchnię pokrywały gęste szeregi wyrytych w żelazie znaków, układających się w słowa w dziwnych narzeczach, imiona, które mogły wyłamać język, a przy dobrym układzie nawet szczękę, liczby tworzące nieogarnialne sumy, podobizny owado-zwierząt, zjeżone, kolczaste i pazurzaste.

– To egipskie – Jim ruchem głowy wskazał wyrytego w żelazie żuka. – Skarabeusz.

– Doskonale, chłopcze! Jim zmrużył oczy. – A tamte to fenickie kurze łapki. – Owszem! – Czemu? – spytał Jim. – Czemu? – powtórzył mężczyzna. – Po cóż tu znaki z Egiptu, Arabii, Abisynii, z języka Czoktawów? W jakim języku przemawia burza? Z którego kraju przychodzą deszcze? Jaką barwę ma błyskawica? Dokąd odchodzi piorun, gdy już uderzy? Chłopcy, musicie być gotowi w każdym dialekcie, kształcie czy postaci, aby zakłąć ognie Świętego Elma, kule błękitnego światła, wędrujące po ziemi niczym stado ognistych kotów. Ja zaś sprzedaję jedyne piorunochrony na świecie, które słyszą i czują nadejście burzy; wiedzą, kiedy się pojawi i umieją ją odpędzić. Nieważne, jakim przemawia językiem i jak się podpisuje. Nie istnieje żaden cudzoziemski piorun,

którego nie zdołałyby zakląć.

Will spoglądał w dal, za plecy mężczyzny. – Który? W który dom uderzy? – Który? Zaczekaj chwileczkę. – Domokrążca badawczo wpatrywał się w ich twarze. – Pewni ludzie przyciągają do siebie pioruny.

Wchłaniają je tak jak koty odbierające oddech dzieciom. Są ludzie naładowani dodatnio lub ujemnie. Bywa, że świecą w ciemnościach. Inni pochłaniają blask. Co do was... Ja...

– Czemu jest pan tak pewien, że piorun uderzy w tej okolicy? – Jimowi nagle rozbłysły oczy.

Handlarz wzdrygnął się lekko. – Mam przecież nos, oczy i uszy. Oba te domy, ich drewniane konstrukcje – posłuchajcie tylko! Słuchali. Możliwe, że ich domy skrzypiały w chłodnym popołudniowym wietrze. A może nie. – Piorun, aby mógł spłynąć z dachu, potrzebuje koryta, jak rzeka. Jeden z waszych strychów to dno wyschniętego strumyka, czekające tylko na błyskawicę, która go zapełni. Dziś w nocy.

– Dziś? – Jim poderwał się zaciekawiony. – To niezwykajna burza – uprzedził domokrążca. – Mówi to wam Tom Furia. Furia, czyż to nie świetne nazwisko dla kogoś, kto sprzedaje piorunochrony? Czy sam je sobie nadałem? Nie! A może to ono sprawiło, że zająłem się tym, co teraz robię? Tak mogło być! Dorastając widziałem, jak ogień z chmur uderza o ziemię, a ludzie uciekają w popłochu.

Pomyślałem wówczas: opiszę szlak wędrówek huraganów, nakreślę mapę burz, po czym pójdę przed nimi, potrząsając w dłoniach moją cudowną bronią, żelaznymi piorunochronami.

Osloniłem już i obroniłem sto tysięcy – dacie wiarę! – bogobojnych domów. Toteż kiedy mówię wam, chłopcy, że jesteście w potrzebie, lepiej słuchajcie – wejdźcie na dach, przybijcie wysoko to cacko i połączcie je z dobrą ziemią.

Przed zmrokiem.

– Ale który dom? Który? – dopytywał się Will. Domokrążca uniósł głowę, wydmuchnął nos w wielką chustkę, po czym przeszedł powoli przez trawnik. Wyglądało to, jakby zbliżał się do ogromnej bomby zegarowej, cykającej cicho, lecz nieubłaganie.

Dotknął kolumnienek werandy domu Willa, przesunął dłonią po jednym ze słupków, po desce podłogowej, po czym zamknął oczy i oparł się o budynek pozwalając, by przemówiły do niego jego fundamenty.

Następnie z wahaniem przeszedł pod stojący tuż obok dom Jima.

Chłopiec wstał, obserwując go uważnie. Mężczyzna wyciągnął rękę, aby pogładzić ścianę, musnąć drżącymi palcami płaty starej farby.

– Ten – oznajmił wreszcie. – To ten. Jim spojrzał z dumą na przyjaciela. Nie oglądając się, domokrążca dodał: – Jimie Nightshade, mieszkasz tu, prawda? – Tak – odparł Jim. – Powiniennem był się domyślić – stwierdził handlarz. – Hej, a co ze mną? – nie wytrzymał Will. Domokrążca pociągnął nosem, spoglądając raz jeszcze na jego dom.

– Nie. Może między rynnami przeskoczy kilka iskier, ale prawdziwa zabawa odbędzie się obok, u Nightshade'ów. No cóż!

Mężczyzna pospiesznie pokonał trawnik i uniósł swą wielką skórzaną torbę.

– Ruszam dalej. Nadciąga burza. Nie czekaj, Jim, mój chłopcze. W przeciwnym razie – bum! Znajdą cię rano pośród stopionej kolekcji monet. Portrety Abe Lincolna połączą się ze ślicznymi Columbiami, oskubane orły na rewersie ćwierćdolarówek popłyną niczym rtęć w kieszeniach twoich dzinsów. I powiem ci coś jeszcze! Jeśli chłopak zostanie trafiony piorunem, podnieś mu powiekę, a na powierzchni oka ujrzysz śliczną jak malowanie, przyszpiloną niczym motyl do tacy ostatnią scenę, jaką oglądał! Na Boga, to prawdziwe zdjęcie ognia, który spada z nieba, aby dmuchnąć w ciebie

niczym gwizdek, wyssać ci duszę i unieść ze sobą w oślepiającym blasku. Ruszaj, chłopcze! Przybij go wysoko albo rano będziesz trupem!

Po tych słowach domokrażca, pobrzękując wesoło swym ładunkiem, odwrócił się na pięcie i ruszył w dół ścieżką, oglądając się na niebo, dach, drzewa. Wreszcie przymknął oczy i nie zatrzymując się zaczął węsząc mamrotać pod nosem: – Tak, idzie tutaj, i to spora. Czuję ją, jest jeszcze daleko, ale zbliża się z każdą chwilą...

I człowiek w stroju barwy burzy zniknął, naciągając na czoło chmurę kapelusza. Drzewa szumiały cicho, zaś niebo wydało się chłopcom nagle dziwnie nieprzyjazne. Stali koło siebie, smakując wiatr i sprawdzając, czy nie czują w nim woni elektryczności. Piorunochron leżał między nimi.

– Jim – rzucił Will. – Nie stój tak. Powiedział, że to twój dom. Zamierzasz przybić ten piorunochron czy nie?

– Nie – uśmiechnął się Jim. – Po co psuć całą zabawę? – Zabawę? Oszalałeś? Przyniosę drabinę. Ty zabierz młotek, gwoździe i drut. Jednakże Jim ani drgnął. Will rzucił się biegiem i po chwili wrócił z drabiną. – Jim, pomyśl o swojej mamie. Chcesz, żeby spłonęła? Samotnie wspiął się na dach i spojrzał w dół. Jim powoli przesunął drabinę i ruszył za nim. Za grzbietami skrytych w cieniu wzgórz rozległ się cichy grzmot. Na szczycie dachu domu Jima Nightshade'a powietrze miało dziwną odświeżającą woń. Nawet Jim musiał to przyznać.

Rozdział II

Nie ma na świecie nic, co dorównywałoby książkom opowiadającym o torturach wodnych, powolnym ćwiartowaniu czy wylewaniu rozpalonej do białości lawy z murów zamkowych na tłum błaznów i złoczyńców.

Tak właśnie twierdził Jim Nightshade i tylko takie książki czytał. Jeśli nie zamieszczono w nich instrukcji, jak włamać się do Pierwszego Banku Narodowego, to z pewnością opisywały budowę katapulty bądź pokazywały, jak z kawałka czarnej materii wyczarować groźny kostium nietoperza na bal gałganiarzy.

Jim przyjmował to jako coś zupełnie naturalnego. A Will chłonał każde słowo. Kiedy wreszcie zamocowali piorunochron na dachu domu Nightshade'ów – Will był z tego ogromnie dumny, a Jim wstydził się, zarzucając sobie i przyjacielowi tchórzostwo – zapadł już wieczór. Po kolacji nadszedł czas na cotygodniową wyprawę do biblioteki.

Podobnie jak wszyscy chłopcy w ich wieku, Jim i Will nigdy nie chodzili swobodnym krokiem. Zamiast tego wyznaczali sobie cel i ruszali biegiem, rozpychając się łokciami. Nikt nie wygrywał w owych wyścigach, bowiem nikt nie chciał wygrać. Ich przyjaźń sprawiała, że pragnęli po prostu biec, bez końca, niczym dwa cienie. Ich dłonie jednocześnie uderzały o drzwi biblioteki, piersi razem przerywały taśmę na mecie, tenisówki wybijały zgodny rytm, pokonując trawniki, przeskakując nad żywopłotami, mijając pełne wiewiórek drzewa. Nikt nie przegrywał, obaj wygrywali, zachowując swą przyjaźń na cięższe czasy.

Toteż o ósmej tego wieczoru, gdy miasteczko zalewały na zmianę fale gorąca i chłodu, Jim i Will pozwolili wiatrowi zanieść się do centrum. Czuli, jak u palców i ramion wyrastają im skrzydła, i wzlatywali, po czym opadali nagle, porywani nowym silniejszym podmuchem. I tak rzeka jesiennego wiatru unosiła ich w stronę, w którą zmierzali.

W górę, po schodach, trzy stopnie, sześć, dziewięć, dwanaście! Plask! Ich dłonie jednocześnie uderzyły o drzwi biblioteki.

Uśmiechnęły się do siebie. Co za wspaniały październikowy wieczór! Teraz zaś czekała już na

nich biblioteka, jej lampy z zielonymi abażurami i kurz z papirusów w powietrzu.

Jim stanął, zasłuchany. – Co to? – Co takiego? Wiatr? – Coś jakby muzyka... – Mrużąc oczy, przebiegł wzrokiem horyzont. – Nic nie słyszę. Jim potrząsnął głową. – Już nic. A może mi się zdawało. Chodź!

Otworzyli drzwi i weszli do środka. Przystanęli. Przed nimi otwierały się głębokie biblioteki. Na zewnątrz nie działo się nic specjalnego, jednakże tu, owego szczególnego wieczoru, w krainie papieru i skórzanych opraw, wszystko mogło się wydarzyć. Wystarczy posłuchać, a usłyszysz się dziesięć tysięcy ludzi krzyczących tak wysokimi głosami, że słyszały je tylko psy, czujnie nadstawiające uszu. Miliony uwijały się wokół swoich spraw, przenosząc działa i ostrząc gilotyny; nieskończone rzesze Chińczyków maszerowały karnie czwórkami. Niewidoczne hufce mijały ich w milczeniu, lecz Jim i Will oprócz daru języków posiadali też szczególnie czułe nosy i uszy. Tu była fabryka korzennych przypraw z odległych krain. Tutaj drzemały niezbadane pustynie. Niedaleko wejścia stało biurko, przy którym miła starsza dama, panna Watriss, przybijała na książkach fioletowe pieczętki, ale po bokach rozciągały się Tybet, Antarktyda i Kongo. Druga bibliotekarka, panna Wills, wędrowała właśnie przez stepy Mongolii, spokojnie dodając do siebie fragmenty Pekinu, Jokohamy i Celebes. Znacznie dalej, u wylotu trzeciego książkowego korytarza, krzątał się starszy mężczyzna. Jego miotła szeptała w mroku, zgarniając rozsypane przyprawy...

Will zapatrzył się na niego. Zawsze go to zaskakiwało – starszy mężczyzna, jego praca, nazwisko.

To jest Charles William Halloway, pomyślał Will; nie dziadek, nie, jak można by pomyśleć, podstarzały wuj, ale... mój ojciec.

Ponownie obejrzał się w jego stronę. Czy tato zdumiewał się, iż posiada syna, który odwiedza ów zamknięty świat na głębokości dwudziestu tysięcy sążni? Tato zawsze wyglądał na oszołomionego, kiedy stawał przed nim Will, jakby ich poprzednie spotkanie miało miejsce wieki wcześniej i jeden z nich postarzał się, podczas gdy drugi zachował młodość...

I fakt ten na zawsze stanął między nimi. Starszy mężczyzna uśmiechnął się serdecznie z odległego kąta. Ostrożnie podeszli do siebie.

– Czy to ty, Will? Od rana urosłeś o cały cal. – Charles Halloway przeniósł wzrok na drugiego chłopca. – Jim? Oczy masz coraz ciemniejsze, a policzki – bledsze. Wypalasz się z obu końców, co?

– Do diaska – rzucił Jim. – Nie mamy tu żadnych diasków. Natomiast diabła znajdziesz pod "A", tak jak Alighieri.

– Nigdy nie potrafię zrozumieć alegorii – stwierdził Jim. – Co za dureń ze mnie – zaśmiał się tato. – Mam na myśli Dantego. Spójrz tylko. Obrazki pana Dorego pokazują Hades ze wszystkimi szczegółami. Piekło nigdy nie wyglądało lepiej. Tu widzisz dusze zatopione po uszy w błocie, obok ludzi do góry nogami, gdzie indziej nieszczęśników z głowami obróconymi do tyłu.

– O rany! – Jim obejrzał obrazki z obu stron, po czym zaczął przerzucać kartki. – Są jakieś rysunki dinozaurów?

Tato potrząsnął głową. – Na następnym regale. – Zaprowadził ich na miejsce i zdjął z półki parę książek. – Proszę bardzo: "Pterodaktyl, latawiec śmierci!" A co powiesz na "Werble zagłady: Saga o jaszczurach grzmotu!" Wciągnij, co, Jim?

– I to jak! Tato mrugnął do Willa. Will odpowiedział tym samym. Stali naprzeciw siebie, chłopiec o włosach barwy lnu i siwy jak gołąb mężczyzna. Jeden z nich miał twarz zdrową i rumianą jak jabłko, drugi pomarszczoną, jak to samo jabłko w zimie. Tato, pomyślał nagle Will, przecież on... wygląda tak jak ja w rozbitym zwierciadle!

I nagle Will przypomniał sobie noc, kiedy o drugiej nad ranem musiał wstać, aby pójść do

łazienki i wyrzawszy przez okno dostrzegął jedno jedyne światelko w wysokim oknie biblioteki. Wiedział wówczas, że tato został do późna, mamrocząc pod nosem i czytając coś w blasku zielonej jak dżungla lampy. Ów widok jednocześnie zasmucał i radował Willa. Chłopiec wiedział, że stary mężczyzna – nie, zatrzymał w biegu swoje rozpedzone myśli, zmieniając ostatnie słowo – ojciec tkwi tu, pośród cieni.

– Will – powiedział starszy człowiek, który był także dozorcą i, jak zrządził przypadek, również jego ojcem – a ty?

– Hmm? – Will otrząsnął się z zamyślenia. – Szukasz książki z gatunku czarnego czy białego kapelusza? – Kapelusza? – powtórzył Will. – No cóż, Jim... – przechadzali się po bibliotece, ojciec muskał palcami grzbiety książek na półkach – nosi czarny zawadiacki kapelusz i czyta książki w odpowiednim stylu. Na drugie imię masz Moriarty, co Jim? Już niedługo z Fu Manchu przerzuci się na Machiavellego – średnią czarną fedorę; albo doktora Fausta – największy czarny stetson. Czyli tobie zostają chłopcy w białych czapkach. Tu znajdziesz Gandhiego, obok niego świętego Tomasza, a na następnym poziomie, cóż... Buddę.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – wtrącił Will – zadowolę się "Tajemniczą wyspą". Jim skrzywił się lekko. – Co to za historia z czarnymi i białymi kapeluszami? – Nic takiego – ojciec wręczył Willowi Juliusza Verne'a. – Tyle tylko, że kiedyś sam także musiałem wybrać dla siebie odpowiedni kolor.

– I jaki pan wybrał? – naciskał Jim. Tata spojrzął na niego ze zdumieniem, po czym roześmiał się, lekko skrepowany.

– Skoro musisz pytać, Jim, to być może dokonałem niewłaściwego wyboru. Will, powiedz mamie, że wkrótce wrócę do domu. A teraz uciekajcie stąd, ale już! Panno Watriss!

– zawołał cicho do siedzącej przy biurku bibliotekarki. – Jedna porcja dinozaurów i tajemniczych wysp dla panów!

Drzwi zatrzęsły się za nimi. Na zewnątrz muszelki gwiazd połyskiwały w oceanie nieba. – Do diaska – Jim obrócił się powoli, węsząc w powietrzu. – Gdzie podziała się burza? Ten piekielny domokrążca obiecał mi ją. Muszę zobaczyć, jak piorun spływa po naszych rynnach!

Will pozwolił, aby wiatr ułożył na nim ubranie, skórę, włosy. Po chwili odparł słabo: – Nadejdzie. Jeszcze przed świtem. – Skąd wiesz? – Poznają po gęsiej skórcie na rękach. Stąd wiem. – Świetnie! Powiew wiatru uniósł ze sobą Jima. Will podążył za nim, niczym bliźniaczy latawiec.

Rozdział III

Obserwując oddalających się chłopców, Charles Halloway zdusił w sobie nagłą chęć, żeby pobiec wraz z nimi, dołączyć do stada. Wiedział, co robi z nimi wiatr, dokąd ich unosi; znał wszystkie tajemne miejsca, które już nigdy potem nie są tak magiczne. Gdzieś w głębi jego duszy poruszył się pełen żalu cień. W taką noc trzeba biec z wiatrem, nie pozwalając, by doścignął cię smutek.

Spójrzcie tylko, pomyślał. Will biegnie dla samej przyjemności biegu, Jim – ponieważ coś na niego czeka.

A jednak, o dziwo, biegną razem, obok siebie. Dlaczego?, zastanawiał się, wędrując po bibliotece, gasząc światła, coraz to nowe i nowe. Czy odpowiedź kryje się w pętłach i zawijasach, wypisanych na naszych palcach? Czemu niektórzy ludzie są ruchliwi jak pasikoniki, nigdy nie stoją w miejscu, wysuwają ciekawie czułki; ich zwoje nerwowe splatają się bezustannie, tworząc coraz to nowe węzły? Przez całe życie dokładają do ognia z kroplami potu na czole i błyszczącymi oczami. Zaczynają już od kołyski, chudzi i wygłodniali, najbliżsi przyjaciele Cezara. Żyją i oddychają,

karmiąc się ciemnością.

To cały Jim, splątany włos i niepokój w sercu. A Will? To ostatnia dojrzała brzoskwinia na najwyższej gałęzi drzewa w środku lata. Czasami jakiś chłopiec przechodzi obok nas, a my na jego widok zaczynamy płakać. Chłopców takich otacza aura dobra; wyglądają dobrze, są dobrzy. Nie znaczy to oczywiście, by byli wolni od drobnych grzeszków, jak siusianie z mostu czy kradzież temperówki w sklepie z drobiazgami. Chodzi o coś innego. Po prostu, kiedy ich mijamy, wiemy, że pozostaną tacy do końca życia. Będą zbierali ciosy, sińce, kopniaki, zawsze zadając sobie to samo pytanie: dlaczego? Czemu tak się dzieje?

Natomiast Jim dobrze wie, czemu. Czeka w spokoju, ogląda początek i koniec, leczy rany, których się spodziewał, i nigdy nie pyta dlaczego. Bowiem wie. Zawsze wie. Ktoś przed nim także wiedział, dawno, dawno temu. Ktoś, kto przyjaźnił się z wilkami i prowadził długie nocne rozmowy z lwami. Do diabła, Jim nie pojmuje może tego swoim umysłem, ale jego ciało wie. Kiedy Will bandażuje najnowsze skaleczenie, Jim uskakuje, krąży, unika ogłuszających ciosów, które muszą nadejść.

I oto on, Jim zwalnający kroku, aby zostać z Willem, Will biegnący szybciej, aby zostać z Jimem. Jim tłucze dwa okna w nawiedzonym domu, żeby zaimponować Willowi, Will – choć normalnie nie zrobiłby tego – także wybija szybę, bowiem patrzy na niego przyjaciół. Boże, jak często wtykamy palce w cudzą glinę! Oto, na czym polega przyjaźń: każdy z nich odgrywa garncarza, sprawdzając, jaki kształt zdoła nadać drugiemu.

Jim, Will, pomyślał, obcy, nieznajomi. Biegnijcie, chłopcy! Kiedyś was doścignę...

Drzwi biblioteki rozwarły się i zatrzasnęły za jego plecami.

Pięć minut później Charles Halloway wszedł do baru na rogu na swego jedyne go wieczornego drinka. Znalazłszy się w środku usłyszał, jak jakiś człowiek mówi: – ...czytałem, że kiedy wynaleziono alkohol, Włosi wierzyli, iż natrafili na coś, czego szukali od stuleci. Elixir życia! Wiedziałaś o tym?

– Nie – odparł odwrócony plecami barman. – Jasne – ciągnął dalej mężczyzna. – Destylowane wino.

Dziewiąty, dziesiąty wiek. Wyglądało jak woda, ale paliło. To znaczy, nie tylko usta i żołądek, ale można je było naprawdę podpalić. Ówczesni ludzie sądzili zatem, że zdołali zmieszać wodę z ogniem. Płynny ogień. Elixir vitae, na Boga! Może nie mylili się aż tak bardzo sądząc, że to lek na wszystkie choroby, mogący działać cuda. Napije się pan?

– Nie potrzebuję drinka – odparł Halloway – ale ktoś wewnątrz mnie owszem.

– Kto? Chłopiec, którym niegdyś byłem, pomyślał Halloway, biegnący po chodniku w jesienną noc, wśród zeschniętych liści.

Nie mógł jednak powiedzieć tego głośno. Toteż pociągnął łyk, przymykając oczy i nadstawiając uszu, by sprawdzić, czy istota wewnątrz niego nie obróci się ponownie, poruszając głębokie pokłady nagromadzonego w starym palenisku opału, który jednak nigdy nie spłonął.

Rozdział IV

Will zatrzymał się i spojrzał na piątkowe wieczorne miasto. Kiedy wielki zegar na gmachu sądu wybił pierwsze uderzenie dziewiątej, wszystkie światła jeszcze płonęły, a w sklepikach krzątali się ludzie. Jednak do czasu, gdy zabrzmiał ostatni kurant, potrząsając plombami w zębach mieszkańców, fryzjerzy zerwali z ramion klientów wszystkie ręczniki, przypudrowali fryzury i skierowali ich do drzwi; w aptece fontanna z wodą pitną opadła, sycząc niczym gniazdo rozgniewanych węży, wszędzie

wokoło neonowe owady przestały bzyzczeć, zaś rozległa hala sklepu z drobiazgami, mieszczącego w sobie dziesięć miliardów papierowych, szklanych i metalowych przedmiotów czekających cierpliwie, aż ktoś wyłowi je spośród innych, nagle pociemniała. Wokół opadały żaluzje, trzaskały drzwi, kości kluczy grzechotały w zamkach, ludzie uciekali do domów, a podarte gazety niczym myszy gryzły ich w pięty.

Hop!, i zniknęli! – O rany! – krzyknął Will. – Ludzie zmykają, jakby myśleli, że burza już tu dotarła.

– Bo dotarła – odkrzyknął Jim. – To my! Z donośnym łoskotem przebiegli po metalowych kratkach i pokrywach włazów, mijając tuzin ciemnych sklepów, kolejny tuzin, w którym właśnie gasły światła i jeszcze jeden, spowity w mrok. Przemierzając martwe miasto skręcili za róg obok trafiki z cygarami, aby obejrzeć stojącego tam samotnie drewnianego Czirokeza, tkwiącego bez ruchu w ciemności.

– Hej! Pan Tetley, właściciel sklepu, wyjrzał zza Indianina. – Przestraszyłem was, chłopcy? – Nie. Jednakże Will zadrżał czując, jak przez prerię wędrują zimne fale niezwykłego deszczu, niczym przyływ na bezludnym wybrzeżu. Pomyślał nagle, że kiedy pioruny zaczną bić w miasto, on sam wolałby skryć się pod szesnastoma kocami i poduszką.

– Panie Tetley? – spytał cicho Will. Bowiem w gęstym tytoniowym mroku widział teraz dwóch drewnianych Indian. Pan Tetley zamarł w pół słowa z otwartymi ustami, nasłuchując.

– Panie Tetley? Mężczyzna słyszał coś w oddali, wśród szumu wiatru, nie potrafił jednak określić, co to było.

Chłopcy wycofali się cicho. On jednak ich nie widział. Nie poruszał się. Nasłuchiwał. Zostawili go i odbiegli. Cztery puste przecznice od biblioteki natknęli się na trzeciego Indianina. Pan Crosetti stał przed swym zakładem fryzjerskim, trzymając w drżących palcach klucze. Nie dostrzegł nawet, jak przystanęli koło niego.

Co ich zwabiło? Łza. Spływała po lewym policzku pana Crosettiego, pozostawiając błyszczący ślad. Mężczyzna oddychał ciężko. – Crosetti, ty durniu! Coś się dzieje, nie wiadomo co, a ty płaczesz jak dziecko! Pan Crosetti odetchnął głęboko, pociągając nosem. – Nie czujecie? Jim i Will zaczęli węszyć. – Lukrecja! – Do diaska, nie. Wata cukrowa! – Od lat nie czułem tego zapachu – dodał pan Crosetti. Jim prychnął. – To nic niezwykłego. – Owszem, ale kto go czuje? Kiedy? Teraz jednak nos każe mi oddychać! A ja płaczę. Dlaczego? Jak dawno temu chłopcy jedli takie rzeczy? Czemu przez ostatnie trzydzieści lat nie zatrzymałem się ani na chwilę, aby powęszyć?

– Był pan zajęty, panie Crosetti – odparł Will. – Nie miał pan czasu. – Czas, czas. – Pan Crosetti otarł oczy. – Skąd dochodzi ten zapach? W całym mieście nikt nie sprzedaje waty cukrowej. Robią ją tylko w lunaparkach.

– To prawda. – No cóż, Crosetti skończył już z płakaniem. – Fryzjer wydmuchnął nos i odwrócił się, aby zamknąć zakład.

Tymczasem Will obserwował słup przed jego drzwiami, snujący czerwoną serpentynę, która wynurzała się z nicości i płynęła ku górze, by znów zniknąć w pustce. Will spędził niezliczone popołudnia stojąc przed słupem i próbując przeniknąć wzrokiem sekret czerwonej wstęgi, patrząc, jak pojawia się i znika bez końca.

Pan Crosetti położył dłoń na wyłączniku pod wirującym słupem. – Nie! – krzyknął Will, po czym zniżając głos dodał: – Proszę go nie wyłączać. Fryzjer spojrział na słup, jakby po raz pierwszy dostrzegł jego cudowne właściwości. Łagodnie skinął głową, jego oczy patrzyły ciepło na chłopca.

– Skąd się pojawia i dokąd zmierza, co? Kto to wie? Nie ty, nie on, nie ja. Tajemnice, tajemnice. No dobrze, zostawimy go.

Dobrze wiedzieć, pomyślał Will, że podczas gdy my śpimy, czerwona wstęga nadal wypływa z nicości i niknie w górze, bez końca, aż do rana.

– Dobranoc. – Dobranoc. I chłopcy odbiegli na skrzydłach wiatru, który niósł z sobą nikłą woń lukrecji i cukrowej waty.

Rozdział V

Charles Halloway położył rękę na podwójnych drzwiach baru i zawahał się, jakby porastające ją włosy, niczym czułki, wykryły owego październikowego wieczoru coś przesuwającego się w mroku. Możliwe, że gdzieś w dali płonęły wielkie ognie i bijący z nich żar ostrzegał go, aby nie podchodził ani kroku bliżej. Albo też cały kraj wzięta w swoje szpony nowa epoka lodowcowa; może jej lodowaty powiew w ciągu godziny zamordował miliard ludzi. Sam czas także wysączał się powoli z ogromnego kielicha; pozostała po nim jedynie upudrowana ciemność.

A może to tylko mężczyzna w ciemnym garniturze, widziany przez okno baru po drugiej stronie ulicy? Pod jedną pachą trzymał wielkie zwoje papieru, druga ręka dzierżyła pędzel i wiadro. Mężczyzna oddalając się pogwizdywał jakąś melodię.

Melodia ta przynależała do innej pory roku. Gdy ją usłyszał, Charles Halloway jak zawsze poczuł przejmujący smutek. Sama pieśń nie pasowała do października, mimo to jednak poruszała ludzkie serca i umysły, nieważne, w którym dniu czy miesiącu ją śpiewano:

Słyszałem dzwonów świątecznych posłanie
Stare, znajome Panu zawołanie,
Wołają: chwała
Bądź na wysokościach
Na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Charles Halloway zadrżał. Nagle ogarnęło go stare, znane mu poczucie grozy i zachwytu. Miał ochotę płakać i śmiać się jednocześnie, kiedy w Wigilię oglądał ludzi czystego serca, wędrujących zaśnieżonymi ulicami pośród wszystkich znużonych mężczyzn i kobiet, na których twarzach odbijało się poczucie winy i niezmywalnego grzechu. Przypominały mu one okienka stłuczone przez życie, które uderzało bez ostrzeżenia, uciekało, ukrywało się i ponownie wymierzało cios.

Znów dzwon zadzwieczał, głośniejszy i donośniej: "Bóg żyje, nie śpi w swojej łaskawości! On zło pokona, Dobro wynagrodzi, Na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

Melodia ucichła. Charles Halloway wyszedł na dwór. Daleko przed nim mężczyzna, który przed chwilą pogwizdywał, poruszał rękami wokół słupa telegraficznego, pracując w milczeniu. Po chwili zniknął w otwartych drzwiach sklepu.

Charles Halloway, nie wiedząc dlaczego, przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął obserwować nieznajomego rozlepiającego afisze wewnątrz pustego lokalu do wynajęcia.

Wreszcie mężczyzna stanął w drzwiach ze swym pędzlem, wiadrem, klejem i zwiniętymi plakatami. Jego oczy, lśniące groźnym, pełnym żądz blaskiem, wpatrywały się w Charlesa Hallowaya. Z uśmiechem uniósł otwartą dłoń.

Halloway spojrzał na niego. Wewnętrzną stronę owej dłoni pokrywały cienkie czarne jedwabiste włoski. Wyglądało to jak... Dłoń zacisnęła się gwałtownie i znów zamachała. Jej właściciel zniknął za węglem. Charles Halloway, oszołomiony, zachwiał się na nogach, osłabiony nagłą falą letniego gorąca, po czym odwrócił się i zajrzał do pustego sklepu.

W blasku samotnego reflektora ujrzał dwa kozły stojące obok siebie.

Umieszczono na nich coś, co przywodziło na myśl pogrzeb w śniegu i kryształ – blok lodu, długi na sześć stóp, który połyskiwał lekko własną zielonkawo-błękitną poświatą. Na aksamitnym tle ciemności wyglądał jak wielki zimowy klejnot.

Na niewielkim białym afiszu umieszczonym z boku wystawy, w blasku lampy dawało się odczytać wykaligrafowaną wiadomość:

Rewia cieni: Pandemonium Coogera i Darka – Marionetki, Teatr Lalek i najzwyklejszy Lunapark. Niezwłoczne otwarcie! Tymczasem przedstawiamy jedną z naszych wielu atrakcji:

NAJPIĘKNIEJSZA KOBIETA ŚWIATA!

Wzrok Hallowaya pomknął ku plakatowi za szybą.

NAJPIĘKNIEJSZA KOBIETA ŚWIATA!

I z powrotem spojrzął na długą zimną bryłę. Przypominała lodowy blok, który zapamiętał z oglądanego w dzieciństwie pokazu wędrownego magika, kiedy to miejscowa lodownia ofiarowała mu odłamek zimy. Przez dwanaście godzin tkwiły w nim lodowe dziewice, uwięzione w ogromnym kryształ, podczas gdy ludzie obserwowali komediantów toczących walkę cieni na białym ekranie i mnóstwo innych atrakcji. Aż wreszcie białe damy wysunęły się z lodu, oszronione, uwolnione przez spoconych czarodziejów, którzy następnie odprowadzali je z uśmiechem w mrok po drugiej stronie kurtyny.

NAJPIĘKNIEJSZA KOBIETA ŚWIATA!

Jednakże ta wielka bryła zimowego szkła kryła w sobie jedynie zamrożoną rzeczną wodę.

Choć niezupełnie. Halloway poczuł, jak serce zabiło mu mocniej. Bowiem wewnątrz ogromnego zimowego klejnotu dostrzegł szczególną pustkę, zmysłową próżnię, nicość zamkniętą w lodzie. I czyż ta próżnia, ta pustka, czekająca na to, by wypełniło ją letnie ciało, swym kształtem nie przypominała nieco... kobiety?

Tak. Lód. I uroczą pustką, oddech próżni wewnątrz lodowej bryły. Czarująca nicość. Wspaniała postać niewidzialnej syreny, wznoszącej się z lodu, czekającej tylko, by zamknął ją w swych objęciach.

Lód był zimny. Pustka wewnątrz niego – ciepła. Chciał stamtąd odejść. Lecz owej dziwnej nocy Charles Halloway przez długi czas stał wpatrując się w pusty sklep, dwa koziołki i zimną, wyczekującą, arktyczną trumnę, świecącą w mroku niczym ogromna Gwiazda Indii...

Rozdział VI

Jim Nightshade przystanął na rogu Maine i Hickory Street. Oddychał spokojnie, jego oczy wpatrywały się czule w liściasty mrok ulicy Hickory.

– Will...? – Nie! – Will urwał, zdumiony gwałtownością brzmiącą w jego głosie.

– To tuż obok. Piąty dom. Tylko minutkę, Will! – powiedział Jim prosząco.

– Minutkę...? – Will zerknął w głąb ulicy. Ulicy, przy której mieścił się Teatr. Aż do lata była to zwyczajna uliczka, na której często kradli brzoskwinie, śliwki i morele – każde w odpowiednim czasie. Jednakże pod koniec sierpnia, kiedy wspinali się niczym małpki w poszukiwaniu najkwaśniejszych jabłek, zdarzyło się "coś", co odmieniło domy, smak owoców, a nawet głos wiatru pośród plotkujących drzew.

– Will! Nie ma co czekać. Może coś się dzieje! – syknął Jim.

Może. Will przełknął ślinę i poczuł, jak Jim szczypie go w ramię.

Bowiem nie była to już ulica jabłek, śliwek czy moreli; teraz liczył się jeden jedyny dom z bocznym oknem. Jim twierdził, że okno to stanowi scenę z podniesioną kurtyną – czyli zasłoną. Zaś w owym pokoju, na osobliwej scenie pojawiali się aktorzy, którzy wygłaszali tajemnicze kwestie, wykrzykiwali najdziksze obelgi, śmiali się, wzdychali, mamrotali do siebie. Tak wiele słów

wypowiadali szeptem, że Will w ogóle ich nie rozumiał.

– Ostatni raz, Will. – Wiesz, że nie będzie ostatni! Twarz Jima poczerwieniała, jego policzki płonęły, oczy rzucały przejrzyste zielone ognie. Will przypomniał sobie nagle ów wieczór: zbierali właśnie jabłka, gdy jego przyjaciel wykrzyknął nagle cicho: – Spójrz tylko!

A on, mocno przyciśnięty do gałęzi drzewa, niezwykle podniecony wpatrywał się w okno Teatru, tę niezwykłą scenę, na której ludzie, nieświadomi, że ktoś ich obserwuje, ściągali przez głowę koszule, rzucali swe ubrania na dywan i stali tam, dzicy, oszalani niczym zwierzęta, nadzy, przypominający rozdygotane konie, wyciągając ręce, aby dotykać się nawzajem.

Co oni robią?, pomyślał Will. Czemu się śmieją? Co się z nimi dzieje? Co się dzieje!?

Marzył o tym, aby światło zgasło. Jednakże trzymał się kurczowo nagle śliskiego konaru i zapatrzony w jasną szybę Teatru słuchał śmiechów, aż wreszcie oszołomiony zwolnił uchwyt, zsunął się i upadł. Chwilę leżał ogłuszony, po czym wstał, zerkając w mroku na Jima, który nadal tkwił na wysokiej gałęzi. Do twarzy napłynęła mu krew, policzki płonęły czerwonym ogniem, usta otwały się, zafascynowane.

– Jim, Jim, zejdź na dół! Jim jednak nie słyszał. – Jim! A kiedy wreszcie spojrzał w dół, popatrzył na Willa jak na kogoś obcego, żądającego głupio, aby zrezygnował z dalszego życia i z powrotem zaczął stąpać po ziemi. Toteż Will odbiegł, myśląc zbyt wiele, nic nie myśląc, nie wiedząc, co ma sądzić.

– Will, proszę... Will spojrzał na przyjaciela, trzymającego pod pachą wypożyczone książki.

– Byliśmy w bibliotece. Nie wystarczy ci to? Jim potrząsnął głową. – Weź je, dobrze? Podał Willowi swoje książki i odbiegł lekkim krokiem w mrok pod rozszeptanymi drzewami. Trzy domy dalej odwrócił się i zawołał: – Will? Wiesz, kim jesteś? Starym, przeklętym, tępym bigotem. Baptystą, ot co! Po tych słowach zniknął. Will przytulił książki do piersi. Mokre okładki ślizgały się w jego spoconych dłoniach.

Nie oglądaj się, pomyślał. Nie zrobię tego! Nie zrobię! I cały czas patrząc w stronę domu, odszedł. Szybko.

Rozdział VII

W pół drogi do domu Will poczuł za sobą cień, jego plecy omiół ciężki oddech.

– Teatr zamknięty? – spytał, nie oglądając się za siebie. Jim przez długi czas maszerował obok w milczeniu. Wreszcie powiedział: – Nikogo nie było. – Świetnie! Jim splunął. – Ty przekłety świętoszku. I wówczas zza rogu wyfrunął lekki i biały niczym kłębek topolowego puchu kawałek papieru. Niewielka kartka odbiła się od jezdni i drząc przywarła do nóg Jima.

Will złapał ją ze śmiechem, uniósł i puścił z wiatrem.

Nagle przestał się śmiać.

Obu chłopców, odprowadzających wzrokiem białego przybysza, wirującego między drzewami, ogarnął nagły chłód.

– Chwileczkę... – powiedział powoli Jim. Niespodziewanie obaj zaczęli krzyczeć, biegnąc i skacząc w ślad za kartką.

– Nie podrzyj jej! Ostrożnie! Papier trzepotał im w dłoniach niczym schwytny w pułapkę ptak.

– OTWARCIE DWUDZIESTEGO CZWARTEGO PAŹDZIERNIKA! Ich usta poruszały się, rzucając cień na wypisane rokokową czcionką słowa.

– Cooger i Dark... – Lunapark! – Dwudziesty czwarty października! To jutro! – Niemożliwe – stwierdził Will. – Wesole miasteczka nie pojawią po pierwszym wrześniu...

– Kogo to obchodzi? Tysiąc i jeden cudów! Widzisz?

MEFISTOFELES PIJĄCY LAWĘ! PAN ELEKTRIKO! MONTGOLFIER-
OLBRZYM?

– Balon – wyjaśnił Will. – Montgolfier to balon. – MADEMOISELLE TAROT! – czytał Jim. –
WISZĄCY CZŁOWIEK!

STRASZLIWA GILOTYNA! CZŁOWIEK ILUSTROWANY! Hej!

– To zwykły stary gość z paroma tatużami. – Nie. – Ciepły oddech Jima padł na papier. – On
jest ilustrowany. Wyjątkowy. Widzisz? Pokryty wizerunkami potworów. Zwierzyńiec. – Wzrok Jima
przeskakiwał z jednego słowa na drugie. – OBEJRZYJCIE SZKIELET! Czyż to nie wspaniałe, Will?
Nie chudzielec, jak zawsze, ale szkielet. SPOTKAJCIE PYŁOWĄ WIEDŹMĘ! Co to jest Pyłowa
Wiedźma, Will?

– Brudna stara Cyganka... – Nie – Jim zmrużył oczy spoglądając w dal. – Cyganka, która urodziła
się wśród pyłu, wychowała wśród pyłu i któregoś dnia z powrotem tam trafi. Tu jest tego więcej:
EGIPSKI LABIRYNT LUSTRZANY! OBEJRZYJCIE DZIESIĘĆ TYSIĘCY ODBIĆ WŁASNEJ
OSOBY! ŚWIĄTYNIA POKUS ŚWIĘTEGO ANTONIEGO!

NAJPIĘKNIEJSZĄ... – przeczytał Will. – ...KOBIEITA ŚWIATA! – dokończył Jim. Spojrzeli po
sobie. – Czy w lunaparku może występować najpiękniejsza kobieta świata, Will?

– Widziałeś kiedyś babki w wesołym miasteczku, Jim? – Kaszaloty. Ale przecież ta ulotka... –
Och, zamknij się! – Gniewasz się na mnie, Will? – Nie, tylko że... łap ją! Wiatr wyrwał im z dłoni
skrawek papieru. Ulotka wzleciała ponad drzewa i płasząc w bezsensownym tańcu zniknęła.

– Zresztą to i tak nie może być prawda – dodał gorączkowo Will. – Wesołe miasteczka nie
przyjeżdżają już o tej porze roku. Głupia, nudna reklama. Kto by tam poszedł?

– Ja – powiedział spokojnie Jim, stojąc w ciemnościach. Ja, pomyślał Will, oczyma duszy
widząc błysk gilotyny, egipskie zwierciadła strzelające harmoniami światła i żółtoskórego diabła,
sączącego lawę, jakby była zwykłą słabą herbatą.

– Muzyka... – mruknął Jim. – Organy parowe. Na pewno przyjadą dziś w nocy. – Wesołe
miasteczka zjawiają się o świcie. – Owszem. Ale skąd wzięła się lukrecja i wata cukrowa? Przecież
czuliśmy ich zapach. Will przypomniał sobie słodką woń i dźwięki, unoszone z wiatrem, który jak
rzeka wypłynął spoza ciemniejących domów. Pomyślał o panu Tetleyu, stojącym obok swego
drewnianego indiańskiego przyjaciela, zasłuchanym; o panu Crosettym, na którego policzku
błyszczała samotna łza i o fryzjerskim słupie, wysuwającym swój czerwony jęzor w górę, zawsze w
górze, z nicości w pustkę.

Zaszczekał zębami. – Chodźmy do domu. – Ależ my jesteśmy w domu! – wykrzyknął zdumiony
Jim. Bowiem, sami o tym nie wiedząc, dotarli na trawnik i stanęli na dwóch sąsiednich ścieżkach.
Już na werandzie Jim przechylił się przez poręcz i zawołał cicho: – Will, nie jesteś zły? – Do diaska,
nie. – Nie będziemy chodzić na tę ulicę, do tego domu, Teatru, co najmniej przez miesiąc. Nie, rok!
Przysięgam.

– Jasne, Jim. Pewnie. Stali z dłońmi na klamkach drzwi wejściowych i Will obejrzał się,
spoglądając na dach domu Jima, na którym pysznił się piorunochron, błyszczący w migotliwym
świecie zimnych gwiazd.

Burza nadciągała. A może nie. Nieważne zresztą. I tak cieszył się, że Jim przybił tam ów wielki
kawał żelastwa.

– Dobranoc. – Dobranoc. Dwoje drzwi trzasnęło donośnie.

Rozdział VIII

Will otworzył drzwi i zamknął je ponownie. Tym razem ciszej. – To już lepiej – usłyszał głos

matki. Spoglądając przed siebie ujrzał obramowany drzwiami korytarza jedyny teatr, jaki go obchodził: znajomą scenę, na której zasiadał jego ojciec (już był w domu!, musieli z Jimem biec naprawdę określną drogą!). W rękę trzymał książkę, ale odczytywał tylko spacje między słowami. W fotelu przy kominku matka robiła na drutach, pomrukując niczym imbryk.

Will pragnął być z nimi, a jednocześnie zostać sam; widział ich z bliska, widział z daleka. I nagle w jego oczach stali się przerażająco mali, w tym zbyt wielkim pokoju w za dużym mieście i stanowczo zbyt obszernym świecie. Odgradzeni od niego jedynie nie zamkniętymi na klucz drzwiami, zdawali się pozostawać na łasce wszystkiego, co mogłoby zakraść się tu wprost z mroku nocy.

Łącznie ze mną, pomyślał Will. Łącznie ze mną. I nagle pokochał ich za to, że są mali bardziej niż kiedykolwiek przedtem, gdy wydawali się mu ogromni.

Palce matki poruszały się, wargi bezgłośnie odliczały oczka. Oto najszczęśliwsza kobieta, jaką kiedykolwiek oglądał. Przypomniawszy sobie zimową wizytę w szklarni i to, jak rozgarniał dżunglę gęstych liści, aby znaleźć samotną kremoworóżową cieplarnianą różę, wznoszącą swą głowę na tle głuszy. Oto jego matka – pachnąca świeżym mlekiem, samotna i szczęśliwa, w bawialni.

Szczęśliwa? Ale jak, czemu? Kilka stóp dalej siedział dozorca, mężczyzna z biblioteki, nieznajomy. Co prawda, nie miał już na sobie służbowego uniformu, lecz jego twarz nadal należała do człowieka, który najchętniej pozostaje nocą sam w głębokiej marmurowej krypcie, przesuwając z szelestem swą miotłą po podłogach pełnych przeciągów korytarzy.

Will patrzył na nich, zastanawiając się, czemu ta kobieta jest tak szczęśliwa, a mężczyzna tak bardzo smutny.

Jego ojciec wpatrywał się w ogień. Jedną rękę opierał na fotelu. W dłoni kryła się zmięta kulka papieru.

Will wzdrygnął się. Dobrze pamiętał wiatr, unoszący jasną ulotkę, trzepoczącą wśród gałęzi. Teraz papier tej samej barwy spoczywał zgnieciony w dłoni ojca. Rokokowe litery zniknęły we wnętrzu papierowej kuli.

– Cześć! Will wszedł do bawialni. Twarz matki natychmiast rozjaśnił uśmiech, dorównujący blaskiem ogniowi na kominku.

Tato, zaskoczony, wyglądał jak złoczyńca, przyłapany na gorącym uczynku.

Will pragnął spytać: "Hej, co sądzisz o tej ulotce?", ale na jego widok tato wepchnął kawałek papieru pod poduszkę fotela.

A matka przerzucała już kartki książek przyniesionych z biblioteki.

– Świetny wybór, Willie! Toteż Will stał bez ruchu z Coogerem i Darkiem na końcu języka. Wreszcie rzekł: – O rany, wiatr naprawdę przywiał nas do domu. Ulice pełne są fruujących kawałków papieru.

Ojciec nie zareagował. – Co słychać, tato? Dłoń nadal leżała wtulona w poręcz fotela. Ojciec uniósł wzrok. Szare, lekko zaniepokojone i bardzo znużone oczy spojrzały wprost na syna.

– Powiew strącił ze stopni biblioteki kamiennego lwa. Teraz pewnie buszuje po mieście, szukając dobrych chrześcijan. Ale nikogo nie znajdzie. Jediną dobrą chrześcijankę trzymamy w niewoli w tym domu. Świetnie gotuje.

– Głupstwa gadasz – rzuciła mama. Idąc na górę Will usłyszał coś, czego niemal się spodziewał – ciche, syczące westchnienie płomieni, pochłaniających nowy żer. Oczyma duszy ujrzał tatę stojącego przy kominku i spoglądającego na kawałek papieru, błyskawicznie zamieniający się w popiół.

"...COOGER...DARK...LUNAPARK...WIEDŹMA...CUDA..." Nagle zapragnął wrócić na dół i stanąć obok taty, wyciągając ręce, aby ogrzać je nad ogniem. Zamiast tego powoli wspiał się na

schody i zamknął za sobą drzwi sypialni.

* Czasami nocą, leżąc w łóżku Will przykładał ucho do ściany, nasłuchując i jeśli jego rodzice rozmawiali o właściwych rzeczach, pozostawał w takiej pozycji, a jeśli nie, odwracał głowę. Jeżeli rozmowa dotyczyła czasu, mijających lat, jego samego, miasteczka albo po prostu zwykłych codziennych spraw i sposobu, w jaki Bóg kierował tym światem, Will w sekrecie chłonał każde słowo, czując, jak ogarnia go dziwne ciepło, bowiem mówiącym był zazwyczaj tato. W zwykłym świecie nieczęsto miał okazję porozmawiać z ojcem, czy to w domu, czy poza nim. To jednak wyglądało zupełnie inaczej. Głos taty brzmiał miękko i spokojnie, unosząc się i opadając niczym dłoń, która gestykułuje w powietrzu, niczym biały ptak, kreślący wzory na niebie. Jego głos sprawiał, że uszy łowiły każdy dźwięk, a oczy duszy pragnęły widzieć.

Najdziwniejsze było to, że głos taty dźwięczał prawdziwie. Zaś głos prawdy – nieważne, czy rozbrzmiewa akurat w dzikim labiryncie miasta, czy też w prostej krainie kłamstw – przyciąga każdego chłopca. Tyle razy Will zasypiał w ten sposób, że jego zmysły zatrzymywały się kolejno niczym wskazówki zegara na długo przedtem, nim melodyjny zaśpiew milkł wreszcie. Głos ojca był jak nocna szkoła, w której lekcje odbywały się w głębokim mroku, a ich temat stanowiło życie.

Także tej nocy Will zamknął oczy i przytulił głowę do zimnego tynku. Z początku słowa taty buczały głucho, niczym kongijski bęben dobiegający z oddali. Głos matki – ów dźwięczny jak woda sopran zapewnił jej miejsce w chórze kościoła baptystów – nie nucił melodii, lecz wyśpiewywał odpowiedzi. Will wyobraził sobie tatę leżącego na plecach i przemawiającego do pustego sufitu: – ...Will... sprawia, że czuję się taki stary... ojciec powinien grać w baseball ze swoim synem...

– Niekoniecznie – odparł łagodnie kobiecy sopran. – Jesteś dobrym człowiekiem.

– ...na złą pogodę. Do diabła, kiedy się urodził, miałem już czterdzieści lat. A ty? Ludzie pytają mnie często: kim jest twoja córka? Boże, kiedy człowiek się kładzie, zaczyna mu się mącić w głowie.

Will usłyszał szelest, gdy ojciec usiadł w mroku. Potem trzask zapalniczki, kiedy zapalał fajkę. Wiatr potrząsał okiennicami.

– ...mężczyzna z afiszami pod pachą... – ...lunapark... – powiedział głos matki. – ...o tej porze roku?

Will pragnął się odwrócić, ale nie mógł. – ...najpiękniejsza... kobieta... świata – mruknął ojciec. Matka roześmiała się miękko. – Wiesz, że to nieprawda. Nie, pomyślał Will, to cytat z ulotki! Czemu tato jej nie powie?

Ponieważ, odpowiedział sam sobie, coś się dzieje. Och, coś się dzieje.

Will ponownie ujrzał śmigający wśród drzew kawałek papieru i wypisane na nim słowa: NAJPIĘKNIEJSZA KOBIETA. Fala gorąca zalała mu policzki. Pomyślał: Jim, ulica Teatru, nadzy ludzie na scenie w owym oknie, szaleni niczym chińska opera, diablo zwariowani jak stara opera u Chińczyków, judo, dziu-dzitsu, indiańskie łamigłótki, a teraz głos jego ojca, rozmarzony, smutny, smutniejszy, najsmutniejszy, pogrążony w żalu przekraczającym wszelkie rozumienie. I nagle ogarnął go strach, ponieważ tato nie chciał rozmawiać o ulotce, którą spalił w sekrecie na kominku. Will wyjrzał przez okno. O, tam! Niczym puszek dmuchawca, szarpany letnim wiatrem, biały papier tańczył w powietrzu.

Nie, szepnął, żaden lunapark nie przyjeżdża tak późno. To niemożliwe. Schował się pod kołdrą, włączył latarkę i otworzył książkę. Pierwszy obrazek, na jaki natrafił, przedstawiał prehistorycznego gada, szybującego na nocnym niebie miliony lat temu.

O rany, pomyślał, w całym tym pośpiechu wzięłem książkę Jima, a on jedną z moich.

Niemniej jednak był to całkiem niezły jaszczur. Osuwając się w sen, Will odniósł wrażenie, że słyszy na dole niespokojne kroki ojca. Drzwi frontowe trzasnęły cicho.

Ojciec wracał do pracy, bez żadnego ważnego powodu, niosąc książki albo szczotki, do centrum, coraz dalej... i dalej...

A matka spała smacznie, nie wiedząc, że odszedł.

Rozdział IX

Nikt inny na świecie nie miał nazwiska, które tak łatwo spływało po języku.

Jim Nightshade. To ja. Wysoka postać Jima leżała rozciągnięta na łóżku, napięta jak trzcina. Jego kości tkwiły pewnie w ciele, mięśnie spokojnie spoczywały na kościach. Książki z biblioteki leżały nietknięte tuż obok prawej dłoni chłopca.

Jim czekał tak, a jego oczy były ciemne niczym zmrok, pod nimi zaś zalegały cienie, które, jak twierdziła matka, datowały się jeszcze od czasu, gdy jako trzylatek o mało nie umarł. Wciąż o tym pamiętał. Jego włosy miały barwę ciemnych jesiennych kasztanów, zaś żyłki na skroniach, czole i szyi, naczynka tętniące na przegubach i grzbietach smukłych dłoni były ciemnobłękitne. Został napiętnowany ciemnością inkrustującą jego ciało. Jim Nightshade, chłopak, który w miarę upływu lat mówił coraz mniej i coraz rzadziej się uśmiechał.

Kłopot z Jimem polegał na tym, że chłopiec spoglądał na świat i nie mógł odwrócić oczu. A kiedy przez całe życie nie odwraca się wzroku, do dnia trzynastych urodzin ma się za sobą co najmniej dwadzieścia lat oglądania wszelkich brudów Ziemi.

Z kolei Will Hallaway pozostał w duchu jeszcze dzieckiem, bowiem zawsze patrzył gdzieś w dal, ponad lub w bok, toteż w wieku trzynastu lat zebrał w sumie sześć lat oglądania.

Jim znał każdy centymetr swojego cienia. Mógłby wyciąć go z papy, zrolować i biec z uniesionym wysoko rulonem – swoją chorągwią.

Will czasami zdumiewał się widząc, że cień podąża za nim krok w krok, ale nic poza tym.

– Jim? Nie śpisz? – Cześć, mamó. Drzwi otwarły się i zamknęły. Poczul na łóżku jej ciężar. – Ależ masz lodowate ręce. Nie powinieneś tak szeroko otwierać okna. Musisz uważać na siebie.

– Jasne. – Nie mów do mnie tym tonem. Jasne, akurat! Nie wiesz, co to znaczy urodzić troje dzieci i stracić wszystkie poza jednym.

– Nigdy nie zamierzam mieć żadnych dzieci – odparł Jim. – Tylko tak mówisz. – Ja to wiem. Wiem wszystko. Odczekała chwilę. – Co wiesz? – Nie ma sensu płodzić więcej ludzi. Ludzie umierają. Jego głos był bardzo spokojny i cichy. Brzmiał w nim niemal niedostrzegalny smutek.

– To wszystko. – Prawie wszystko. Ty jednak tu jesteś, Jim. Gdyby cię nie było, poddałabym się już dawno temu.

– Mamó. – Długo chwila ciszy. – Pamiętasz twarz taty? Czy jestem do niego podobny? – W dniu, kiedy odejdziesz, on także opuści mnie na wieki. – Kto odejdzie? – Nawet leżąc tutaj biegniesz tak szybko. Nigdy nie widziałam, by ktoś dotarł tak daleko, nie budząc się ze snu.

Przyrzeknij mi coś, Jim. Kiedy odejdziesz i wrócisz, przywieź ze sobą mnóstwo dzieci. Pozwól, by biegały swobodnie. Bym pewnego dnia mogła je rozpieszczać.

– Nigdy nie zamierzam posiadać na własność niczego, co mogłoby mnie zranić.

– Będziesz zbierał kamienie, Jim? Któregoś dnia musisz poczuć ból.

– Nieprawda. Spojrzał na nią. Ciosy spadły na jej twarz wiele lat temu. Spod jej oczu nigdy nie zniknęły sińce.

– Będziesz żył i cierpiał – oznajmiła w mroku. – Ale kiedy nadejdzie czas, powiedz mi. Pożegnaj się. W przeciwnym razie mogę cię nie puścić. Czyż nie byłoby straszne, gdybym złapała cię i nie chciała ustąpić?

Wstała i ściągnęła w dół ramę okna.

– Czemu chłopcy zawsze tak szeroko otwierają okna? – Mają gorącą krew. – Gorącą krew – stała bez ruchu. – Oto przyczyna wszystkich naszych nieszczęść. I nie pytaj, dlaczego.

Drzwi zamknęły się. Jim, znów sam, podniósł okno i wychylił się, spoglądając w rozgwieżdżoną ciemność.

Burzo, pomyślał. Jesteś tam? Tak. Poczuj... na zachodzie... prawdziwą piekielną nawałnicę, zbliżającą się i to szybko! Na podjazd padał cień piorunochronu. Jim wciągnął w płuca zimne powietrze, wypuszczając obłok podniecającego ciepła. A może by tak, pomyślał, wspiąć się na dach, oderwać piorunochron i wyrzucić go, a potem sprawdzić, co się stanie?

Tak. A potem sprawdzić, co się stanie!

Rozdział X

Tuż po północy. Szurające kroki. Sprzedawca piorunochronów maszerował opustoszałą ulicą, kołyszając w potężnej dłoni niemal pustą skórzaną torbę. Jego twarz miała spokojny, zadowolony wyraz. Skręcił za róg i przystanął.

Białe ćmy, miękkie niczym bibułki, objęły się o szybę pustego sklepu, zaglądając do środka.

Zaś na wystawie, niczym wielka trumna ze szkła koloru gwiazd, na dwóch kozłach spoczywała bryła lodu z Kompanii Śniegów Alaski, przycięta do rozmiarów klejnotu z pierścieni olbrzymów.

Zaś zamknięta wewnątrz lodu tkwiła najpiękniejsza kobieta świata. Uśmiech domokrażcy zniknął jak zdmuchnięty. W sennym chłodzie lodu, jak ktoś, kto wpadł pod lawinę śniegu i zasnął na tysiąc lat, wiecznie młody, leżała kobieta.

Była piękna jak dzisiejszy poranek i świeża jak jutrzejsze kwiaty, urocza niczym każde dziewczę, pochwycone wzrokiem mężczyzny i uwięzione na jeden doskonały moment pod jego powiekami.

Handlarz piorunochronami przypomniał sobie, że musi oddychać.

Kiedyś, dawno temu, podróżując pośród marmurów Rzymu i Florencji, widywał podobne kobiety, utrwalone w kamieniu, nie w lodzie. Raz, wędrując po Luwrze, znalazł podobne niewiasty, utrwalone na płótnie w tęczy letnich barw. Kiedyś, w dzieciństwie, przekradając się w chłodnej grocie za ekranem kinowym, by cichaczem zająć darmowe miejsce, zerknął w górę i w gęstym, nawiedzonym mroku ujrzał ogromną twarz kobiety. Nigdy później nie oglądał czegoś tak wspaniałego, wizerunku podobnych rozmiarów i urody, oblicza z mlecznych kości i księżycowego ciała. Wówczas zmarł samotnie za sceną, wśród cieni jej ruchomych ust, ptasiego trzepotania powiek, śmiertelnie białej poświaty policzków.

Wizje kobiet z różnych lat jego życia znalazły odzwierciedlenie tu, w lodzie.

Jakiego koloru miała włosy? Jasne, niemal białe; uwolnione z lodowych objęć mogły przybrać dowolną barwę.

Czy była wysoka? Lodowy kryształ mógł równie dobrze powiększyć ją, jak pomniejszyć, w zależności od tego, w którym miejscu stanęło się przed wystawą pustego sklepu, o którą bębniły cicho miękkie palce ciem.

Nieistotne. Bowiem ważniejsze było – handlarz zadrzał – że wiedział najbardziej zdumiewającą rzecz.

Gdyby wewnątrz szafirowej bryły jej powieki uniosły się i kobieta spojrzałaby na niego, wiedział, jaki kolor miałyby jej oczy.

Wiedział, jaki kolor miałyby jej oczy. Gdyby tak wszedł do samotnego mrocznego sklepiku... Gdyby wyciągnął rękę, ciepło jego dłoni zdołałoby... co? Stopić lód. Sprzedawca piorunochronów stał tam przez długi czas z zamkniętymi oczami.

Powoli wypuścił z płuc powietrze. Było ciepłe niczym powiew lata. Jego dłoń dotknęła drzwi sklepu, które otwały się natychmiast. Omiótł go lodowaty arktyczny powiew. Mężczyzna wszedł do środka.

Drzwi zatrzasnęły się. Ćmy, białe niczym płatki śniegu, objęły się o okna.

Rozdział XI

Nastała północ i zegary w mieście znów zaczęły dzwonić, a potem wybijać pierwszą, drugą, aż wreszcie trzecią, najwcześniejszą godzinę poranka. Te potężne kuranty potrząsały kurzem, pokrywającym stare zabawki na strychach, obłupywały srebro z antycznych zwierciadeł, ukrywanych na poddaszu, i sprawiały, że wszystkie dzieci w okolicy zaczynały śnić o zegarach.

Will usłyszał to. Dobiegające z dalekiej prerii stłumione posapywanie lokomotywy, powolny smoczy łoskot pociągu.

Usiadł na łóżku. Naprzeciwko, niczym jego zwierciadlane odbicie, Jim także podniósł się szybko.

Milion mil dalej odezwały się organy, snując cichutko swą żalobną pieśń. Jednym ruchem Will wychylił się z okna, podobnie jak Jim. Bez słowa spojrzeli ponad rozedrganym morzem drzew.

Ich sypialnie znajdowały się wysoko, jak przystało chłopięcym pokojom. Z ponurych okien mogli wystrzeliwać dokładnie pociski wzroku, celując daleko – za bibliotekę, ratusz, dworzec kolejowy, obory, farmy, aż na pustkowie prerii.

Tam zaś, na granicy ziemi i nieba, połyskiwała urocza ślimacza ścieżka torów. Żółte i czerwone jak wiśnie semafony gestykulowały szaleńczo ku gwiazdom.

Tu, na krawędzi ziemi, maleńkie piórko pary wznosiło się w powietrzu niczym pierwsza zapowiedź burzowych chmur.

Wkrótce potem pojawił się sam pociąg, kawałek po kawałku: lokomotywa, węglarka, liczne numerowane, uśpione, pełne snu wagony, które podążały w ślad za roziskrzoną chmurą dymu, zaśpiewem silnika i sennym jesiennym trzaskiem paleniska. Ognie piekielne oświetliły zniecała zdumione wzgórza. Nawet z tak daleka można było wyobrazić sobie mężczyzn o potężnych byczych karkach i zgarbionych ramionach, wsypujących łopatami węglowe meteoryty w otwarte kotły lokomotywy.

Lokomotywy! Obaj chłopcy zniknęli i po sekundzie wrócili z lornetkami. – Lokomotywa! – Z czasów wojny secesyjnej! Nie robią już takich od początku wieku!

– Cała reszta pociągu, wszystko jest takie stare! – I flagi! Klatki! To lunapark! Słuchali. Z początku Willowi wydało się, że powietrze ze świstem wpada do jego nozdrzy. Ale nie – to był pociąg, w którego wnętrzu wzdychały i płakały parowe organy.

– Brzmi jak muzyka kościelna. – Diabli tam! Czemu w wesołym miasteczku mieliby odgrywać kościelne pieśni?

– Nie mów "diabli" – syknął Will. – Diabli. – Jim gwałtownie wychylił się przez okno. – Przez cały dzień się hamowałem, ale teraz już wszyscy śpią... Do diabła!

Muzyka przepływała w powietrzu obok ich okien. Na ramionach Willa wystąpiła gęsia skórka, wielka jak dojrzałe pryszczki.

– To naprawdę kościelna muzyka. Tylko trochę zmieniona. – Do licha, zamarzam tu. Chodź, zobaczymy, jak rozbijają obóz.

– O trzeciej nad ranem? – O trzeciej nad ranem! Jim zniknął. Przez chwilę Will patrzył, jak przyjaciel tańczy po pokoju, unosząc koszulę, wciągając spodnie, podczas gdy hen, pośrodku nocnej krainy, zdyszany i kpiący, przesuwiał się pogrzebowy pociąg – wagony ozdobione czarnymi

pióropuszcami, klatki barwy lukrecji i okopcone organy, odbębniające trzy różne hymny naraz, wymieszane i zagubione w dali. Może w ogóle je sobie wyobraził?

– To tyle! Jim zsunął się po rynnie swego domu na uśpiony trawnik. – Jim! Zaczekaj! Will zaczął narzucać na siebie ubranie. – Nie idź sam! I ruszył za przyjacielem.

Rozdział XII

Czasami widzimy wysoko na niebie latawiec, tak zmyślny i poważny, że zdaje się niemal znać zamysły wiatru. Podróżuje on, jak zechce, po czym, gdy postanowi wreszcie wylądować w jednym jedynym miejscu, żadne szarpanie sznurka, żadne biegi nie zmienią jego zdania; prędzej zerwie się z uwięzi i spokojnie osiadzie na wybranym przez siebie lądowisku, ty zaś musisz biec za nim bez tchu.

– Jim! Zaczekaj na mnie! Teraz Jim stał się latawcem spuszczonego z uwięzi, a kierująca nim mądrość wiodła jego kroki coraz dalej od Willa, który mógł jedynie biec, przykuty do ziemi, w ślad za szybującym wysoko przyjacielem, mrocznym, milczącym i nagle dziwnie obcym.

– Jim! Zaczekaj! I nie zwalnając kroku Will pomyślał: Rany, znów to samo. Ja mówię, Jim biegnie; ja podnoszę kamienie, Jim chwytą w dłoń kryjące się pod nimi oślizgłe śmieci i – trzask, prask! Ja wdrapuję się na wzgórze, Jim krzyczy do mnie z kościelnej wieży. Ja mam rachunek w banku, Jim – włosy na głowie, krzyk w ustach, koszulę na plecach i tenisówki na nogach. Czemu zatem uważam, że to on jest bogatszy? Ponieważ, odpowiedział sam sobie Will, ja siedzę w słońcu na kamieniu, a stary Jim w blasku księżyca skubie włosy na rękach i tańczy z żabami. Ja doglądam krów, on oswaja ogromne jaszczury. Głupcze!, krzyczę do niego. Tchórze!, odkrzykuje. I oto jesteśmy!

Chłopcy biegli, zostawiając za sobą miasteczko, przecinając pola, póki w końcu nie zamarli w bezruchu pod kolejowym mostem. Księżyc czaił się do skoku nad szczytami wzgórz; pokryte futrem rosy łąki dygotały niecierpliwie.

ŁUP! Pociąg wiozący lunapark zagrzmiał nad ich głowami. Organy parowe zawodziły żałośnie.

– Nikt na nich nie gra! – Jim zdumiony spojrzał w górę. – Nie żartuj sobie. – Jak mamę kocham! Spójrz! W oddalających się rurach organów połyskiwały migotliwym blaskiem gwiazdy, jednakże przy wysokiej klawiaturze nie siedział żaden człowiek. To wiatr, sączący przez nie lodowatą strugę powietrza, odgrywał swoją muzykę.

Chłopcy biegli. Pociąg skręcił i w dali rozległo się pogrzebowe bicie jego podwodnego dzwonu, zatopionego w morskich odmętach, przerdzewiałego, pokrytego zielonym nalotem, a mimo to dzwoniącego niestrudzenie. Po chwili w kłębach pary odezwał się gwizdek lokomotywy i w oczach Willa zaperliły się lodowate łzy.

Czasami – jak często? – późną nocą Will słyszał gwizdki pociągów, wydmuchujących parę na krawędzi snu. Zawsze brzmiały one tak samo: ponuro, obco i samotnie, nieważne, jak blisko się odzywały. Czasem budził się, by odkryć, że po jego policzkach spływają łzy; leżał wówczas spokojnie, nasłuchując i zastanawiając się, dlaczego płacze, aż wreszcie pojmował: "Tak!, to one doprowadziły mnie do łez". Dźwięki cichnące na wschodzie, na zachodzie; pociągi, które zapuściły się tak daleko, że toną w wypływających z miast falach snu.

Owe pociągi i ich żalosne odgłosy niknęły na zawsze pomiędzy stacjami, nie pamiętając, gdzie były, nie myśląc, dokąd zmierzają; wypuszczały swe ostatnie blade tchnienie nad horyzontem i zniknęły. Tak działo się zawsze.

Ale nie teraz. Nie z tym gwizdem! Rozbrzmiewały w nim jęki i płacze całego świata, innych nocy i innych uśpionych lat; skowyt psów, wyjących do księżyca, świst styczniowych wiatrów, które

znad zamarzniętych rzek wpadają na werandy, mroząc krew w żyłach mieszkańców, ryk tysiąca strażackich syren – nie! jeszcze gorzej! – ostatnie, urywane oddechy, protesty miliarda ludzi martwych bądź właśnie umierających i walczących ze śmiercią, ich jęki, westchnienia – wszystko to wybuchnęło w jednym głośnym dźwięku!

Do oczu Willa napływały łzy. Potknął się i ukląkł udając, że musi zasnuować but.

Wówczas jednak ujrzał, jak Jim zatyka dłońmi uszy; jego oczy także połyskiwały wilgotnym blaskiem. Gwizdek krzychał rozdzierająco i Jim krzyknął mu do wtóru. Gwizdek jęknął i Will odjęknął w odpowiedzi.

Wówczas miliardy głosów ucichły jak nożem uciał, jakby pociąg runął nagle w ognistą otchłań poza granicami ziemi.

Pociąg gładko sunął dalej. Czarne proporce powiewały na wietrze, czarne konfetti znikało w mroku, unoszone powiewem przepojonego niezdrową słodyczą wiatru. Chłopcy pobiegli za nim. Nocne powietrze było tak zimne, że z każdym oddechem zjadali kolejną porcję pozbawionych smaku lodów.

Po chwili wspięli się na ostatnie wzgórze i spojrzeli w dół.

– O rany – szepnął Jim. Pociąg zatrzymał się na księżycowej łące Rolfe'a, nazywanej tak, ponieważ parki z miasta często tu przybywały, aby oglądać wschód księżyca nad polem tak długim i szerokim, że przypominało morze pośrodku kontynentu. Wiosną pokrywała je trawa, późnym latem siano, zimą śnieg. Ludzie lubili przechadzać się po jego brzegu, podczas gdy promienie księżyca padały na rozkołysane fale.

Właśnie tu stanął pociąg wiozący lunapark; przycupnął w wysokiej jesiennej trawie na starej bocznicy pod lasem. Chłopcy podkradli się bliżej i przykucnęli za krzakiem, czekając.

– Jak tu cicho – westchnął Will. Pociąg tkwił w miejscu na środku suchego jesiennego pola. W lokomotywie nie było nikogo, podobnie w tenderze i w wagonach, czerniejących na tle nocnego nieba. Wokół rozlegały się tylko ciche trzaski stygnącego metalu i pobrzękiwania szyb.

– Psss – syknął Jim. – Wyczuwam, jak się ruszają. Will poczuł, jak jeżą mu się włosy na całym ciele. – Myślisz, że przeszkadzałoby im to, że patrzymy? – Możliwe – odparł radośnie Jim. – Czemu zatem nie uciszą organów? – Powiem ci, jeśli się domyślę – Jim uśmiechnął się. – Spójrz! Szept. Ogromny, zielony jak mech balon pojawił się znikąd, jakby spłynął wprost z ciemnego nieba i dotknął tarczy księżyca.

Zawisł bezszelestnie dwieście jardów nad ziemią, unoszony podmuchami wiatru.

– Popatrz na kosz pod balonem. Ktoś w nim jest! W tym momencie jednak z platformy wagonu służbowego zstąpił wysoki mężczyzna, niczym kapitan oceniający siłę pływów morza wewnętrznego. Odziany w czarny strój, z twarzą skrytą w cieniu, zaczął brodzić wśród traw, zmierzając na środek łąki; jego koszula była równie czarna, jak skryte w rękawiczkach dłonie, które teraz uniósł ku niebu.

Uczynił jeden jedyny gest. I pociąg ożył. Najpierw z okna wychyliła się głowa, potem ręka i następna głowa, niczym kukielki w teatrze marionetek. Nagle ujrzeli dwóch mężczyzn w czerni, niosących ciemny słupek namiotu wśród syczących traw.

I właśnie towarzysząca temu cisza sprawiła, że Will odsunął się odruchowo, podczas gdy Jim nachylił się naprzód z błyszczącymi oczami.

Przybyciu wesołego miasteczka powinny towarzyszyć hałasy i krzyki, zgrzyty desek układanych w stosy, wiązanych i przerzucanych; deszcz trocin z lwich wagonów, brzęk butelek, gniewne zawołania pochłoniętych pracą ludzi, dzwonienie końskich uprzęży, ryk rozszałałych słoni i silników, szalejących w deszczu potu, podczas gdy rżące zebry dygoczą niczym klatki, zamknięte w większych klatkach.

Jednakże to, co działo się na łące, przypominało stary niemy film, milczące kino, nawiedzane przez czarno-białe cienie; srebrzyste usta otwierały się, wypuszczając obłoczki pary, połyskujące w blasku księżyca. Ludzie gestykulowali do siebie tak cicho, że chłopcy słyszeli, jak wiatr z szelestem porusza włosami na ich głowach.

Kolejne cienie wypadły z pociągu, podając sobie klatki ze zwierzętami, w których krążyły mroczne stwory o bezdennych oczach. Organy milczały, snując jedynie cichutką bezsensowną melodię, wygrywaną przez dmuchający w piszczałki wietrzyk.

Mistrz ceremonii stał pośrodku łąki. Balon wisiał na niebie niczym olbrzymi kawał spleśniałego zielonego sera. I nagle zapadła ciemność.

Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł Will, był opadający w dół balon. W tym momencie chmury zakryły księżyc.

W mroku czuł, jak ludzie wypełniają niewidoczne zadania. Wyczuwał balon, który jak wielki tłusty pajak splątał liny i słupy, tkając rozległą sieć na tle nieba.

Chmury odpłynęły. Balon poszybował ku górze. Na łące wznosił się szkielet głównego namiotu. Słupy i druty czekały na płócienną skórę. Kolejne chmury zakryły białe oblicze księżyca. Will zadrzał w ciemności. Usłyszał, że Jim pełźnie naprzód i pochwycił go za kostkę, czując, jak przyjaciel sztywnieje.

– Zaczekaj – powiedział. – Właśnie wnoszą płótno. – Nie – odparł Jim. – O nie... Obaj wiedzieli, że to nieprawda, że w istocie druty zarzucone wysoko na słupy chwytają zgrabnie chmury, wydzierając kawały ze strugi wiatru i drąc na pasma, które połączone razem przez potworne cienie tworzyły pokrywę namiotu. Wreszcie, po jakimś czasie, na łące rozległ się lekki jak szmer strumienia łopot niewidocznych pororców.

Ruch ustał. Mrok, zamknięty wewnątrz mroku, zamarł nagle. Will leżał ma brzuchu z zamkniętymi oczami, słuchając łopotu wielkich, czarnych jak węgiel skrzydeł, niczym ogromny prehistoryczny ptak, co sfrunął z nieba, aby znowu żyć, oddychać, zamieszkać na nocnej łące.

Chmury odpłynęły. Balon zniknął. Ludzie także. Pokrywy namiotów kołysały się łagodnie, przywołując na myśl fale czarnego deszczu.

Nagle Willowi wydało się, że do miasta jest bardzo daleko. Odruchowo zerknął przez ramię. Nic, tylko trawa i szepty. Powoli obejrzał się na milczące, cieniste, pozornie puste namioty.

– Nie podoba mi się to – rzekł. Jim nie mógł oderwać od nich oczu. – O, tak – szepnął. – Tak. Will wstał. Jim nadal leżał na ziemi. – Jim – rzucił Will. Przyjaciel szarpnął się gwałtownie, jakby ktoś uderzył go w twarz. Ukląkł, po czym chwiejnie podniósł się na nogi. Jego ciało odwróciło się, lecz oczy nadal spoglądały na czarne pororce i szyldy, zapowiedzi poszczególnych atrakcji, na których roilo się od niewidocznych skrzydeł, rogów i demonicznych uśmiechów.

Jakiś ptak krzyknął w ciemności. Jim poskoczył i zachłysnął się gwałtownie. Cienie, rzucane przez chmury, odprowadziły ich aż do granicy miasta. Odtąd chłopcy biegli już sami.

Rozdział XIII

Wpadające przez szeroko otwarte okno biblioteki powietrze było zimne jak lód.

Charles Halloway stał bardzo długo. Nagle wzdrygnął się. Ulicą w dole przebiegły dwa bliźniacze cienie. Dwaj chłopcy ponad nimi idealnie naśladowali ich kroki. Razem wydeptywali w mroku swoje szlaki.

– Jim! – zawołał starszy człowiek. – Will! Ale nie na głos. Chłopcy odbiegli w stronę domu. Charles Halloway uniósł wzrok, spoglądając poza granice miasta.

Kiedy wędrował po bibliotece pozwalając, by miotła odpowiadała mu historie, których poza

nim nikt inny nie mógł usłyszeć, jego uszy pochwyliły odległy gwizd i niezborną pieśń, wygrywaną przez organy.

– Trzecia – powiedział teraz półgłosem. – Trzecia nad ranem... Rozbite na łące namioty lunaparku czekały na kogoś – kogokolwiek – kto podszedłby ku nim, brodząc w morzu traw.

Wielkie namioty wydymały się niczym miechy w bezszelestnych oddechach, wyrzucając ze swych płuc powietrze przesiąknięte wonią pradawnych żółtych bestii.

Jednakże tylko księżyc spoglądał na płycizny mroku i ziejące w nich głębokie jaskinie. Na zewnątrz nocne stwory zastygły w pół kroku na karuzeli. Dalej rozciągały się otchłanie lustrzanego labiryntu, kryjącego w sobie niezliczone szeregi pustych zwierciadeł, rząd za rzędem nieruchomych, spokojnych, posrebrzonych patyną wieku, pobielałych od upływu czasu szklanych tafli. Nawet zwykły cień, który stanąłby w wejściu, wzbudziłby wśród nich zabarwione grozą fale i odkrył głęboko pogrzebane księżycy.

Gdyby stanął tam człowiek, czy ujrzałby samego siebie, powielonego miliardy razy aż do nieskończoności? Czy miliard odbić spojrzalby na niego, a każda kolejna twarz byłaby stara, jeszcze starsza, najstarsza? Czy zagubiłby się wśród miriadów postaci, nie pięćdziesięcio-, siedemdziesięcio- czy dziewięćdziesięciolatków, ale twarzy, należących do stuletnich starców?

Labirynt nie pytał. I nie odpowiadał. Jedyne stał tam i czekał, niczym wielki kawał arktycznej kry. – Trzecia godzina... Charlesa Hallowaya ogarnął nagle przejmujący chłód. Jego skóra przypominała skórę jaszczurki. Żołądek wypełnił się krwią, przemienioną w rdzę. W ustach poczuł smak nocnej wilgoci.

A jednak nie mógł odejść od okna biblioteki. W dali coś połyskiwało na łące. To był księżyc, odbijający się w wielkich szklanych płytach. Może światło mówiło coś do niego, przemawiając własnym tajemnym szyfrem? Pójdę tam, pomyślał Charles Halloway. Nie pójdę. Podoba mi się to, pomyślał. Nie podoba. Chwilę później drzwi biblioteki trzasnęły cicho. Po drodze do domu minął pustą wystawę. W środku stały dwa samotne koziołki. Pomiedzy nimi widniała kałuża wody, w której unosiło się kilka odłamków lodu. W lodzie wciąż jeszcze tkwiły zamknięte ostatnie pasma włosów.

Charles Halloway ujrzał to, ale nie przyjął do wiadomości. Odwrócił się i odszedł. Wkrótce ulica znów opustoszała, niczym okno sklepu żelaznego.

Gdzieś daleko, na łące, w lustrzanym labiryncie zatańczyły cienie, jakby część czyjś życia, jeszcze nie narodzona, ugrzęzła tam, czekając, by przyjść na świat.

I tak labirynt czekał, chłodny i gotowy, aby choć ptak przybył do niego, powiódł wokół wzrokiem i uciekł z krzykiem.

Jednakże nie pojawił się żaden ptak.

Rozdział XIV

– Trzecia – powiedział głos. Will słuchał uważnie. Wciąż jeszcze był zmarznięty, ale rozgrzewał się coraz bardziej. Cieszył się, że znów ma nad sobą dach, a pod nogami podłogę, że ściany i drzwi oddzielają go od świata, który oferował zbyt wiele swobody, zbyt wiele wolności, zbyt wiele nocy.

– Trzecia... To tato, który wrócił do domu i wędrował korytarzem, mówiąc do siebie. – Trzecia... Ależ to właśnie wtedy przyjechał pociąg, pomyślał Will. Czy tato widział go? Słyszał? Poszedł za nim?

Nie, nie wolno mu! Will skulił się. Czemu nie? Zadrzał gwałtownie. Czego właściwie się lękał?

Lunaparku, który niczym czarne sztormowe fale atakował brzeg, czy też tego, że on, Jim i tato wiedzą, natomiast uśpione miasto nie jest świadome nastania burzy? Czy właśnie o to chodziło?

Tak. Will mocniej owinał się kołdrą. Tak... – Trzecia... Trzecia nad ranem, pomyślał Charles Halloway, siadając na brzegu łóżka. Czemu pociąg przyjechał o tej porze?

Bowiem, odpowiedział sam sobie, to szczególna godzina. O tej porze kobiety nigdy się nie budzą, nieprawdaż? Śpią snem niemowląt i małych dzieci. A mężczyźni w średnim wieku? Oni dobrze znają tę godzinę. Mój Boże, północ nie jest wcale taka zła. Człowiek budzi się wtedy i z powrotem zasypia. Pierwsza czy druga też nie są najgorsze. Przewracasz się z boku na bok, ale znów zapadasz w sen. Piąta, szósta rano to godziny pełne nadziei, bowiem świt czeka już za horyzontem. Ale trzecia, o Chryste, trzecia rano! Lekarze twierdzą, że ciało pracuje wówczas na najniższych obrotach. Dusza wyłącza się. Krew krąży leniwie. Właśnie o tej porze człowiek najbardziej zbliża się do śmierci. Co prawda, sen to mała śmierć, lecz trzecia nad ranem, kiedy człowiek zupełnie rozbudzony leży w łóżku, jest zupełnie jak śmierć za życia. Wówczas śni się z otwartymi oczami. Boże, gdybyśmy tylko mieli siłę wstać, wymordowalibyśmy wszystkie te pólсны, ale nie. Leżymy przyciśnięci do dna głębokiej wyschniętej studni. Księżyc toczy się po niebie, jego uśmiechnięta twarz idioty patrzy na nas z góry. Od zachodu słońca minęło już mnóstwo czasu, od świtu dzielą nas godziny, toteż przywołujemy w pamięci wszystkie głupstwa, jakie popełniliśmy w życiu, niemądre uroczę postęпки ludzi, dawniej tak dobrze znanych, a teraz od dawna już nie żyjących... I czyż to nie prawda, pomyślał Charles Halloway, że, jak czytał kiedyś, w szpitalach najwięcej ludzi umiera właśnie o trzeciej nad ranem...?

Przestań!, krzyknął w duchu. – Charlie? – odezwała się przez sen jego żona. Powoli zdjął drugi but. Jego żona uśmiechnęła się we śnie. Czemu? Jest nieśmiertelna. ma syna. To także twój syn! Ale jakież ojciec tak do końca w to wierzy? Nie nosi przecież brzemienia, nie czuje bólu. Który mężczyzna, tak jak kobieta, może położyć się w ciemności i wstać już z dzieckiem? Łagodna, uśmiechnięta płeć posiadała największą z tajemnic. Och, cóż za wspaniałymi zegarami są kobiety. Wiją dla siebie gniazda w Czasie. Sprowadzają na świat ciało, w którym zamyka się wieczność. Żyją wewnątrz swego daru, wiedzą, co to moc, akceptują ją i nie muszą o niej wspominać. Po co mówić o czasie, jeśli samemu należy się do niego i własnoręcznie kształtuje upływające chwile, tworząc nowe istoty? Jakże mężczyźni zazdroszczą owym żyjącym zegarom! Często też nienawidzą swych żon, które wiedzą, że będą żyć wiecznie. Co zatem robimy? My, mężczyźni, stajemy się złośliwi i zgorzkniali, ponieważ nie potrafimy utrzymać niczego przy sobie, żadnej rzeczy, świata, nawet samych siebie. Jesteśmy ślepi, nie dostrzegamy ciągłości wydarzeń. Wszystko rozłamuje się na fragmenty, rozpada, topnieje, kończy się, gnije bądź ucieka. Skoro zatem nie potrafimy kształtować czasu, co nam pozostaje? Bezsenność. Patrzenie w mrok.

Trzecia nad ranem. Oto nasza nagroda. Trzecia rano. Północ duszy. Pora odpływu, gdy duch faluje niespokojnie. Zaś o godzinie rozpaczy nagle przybywa pociąg... Dlaczego?

– Charlie...? Ręka żony musnęła jego dłoń. – Dobrze się czujesz...? Zasnęła. Nie odpowiedział. Nie potrafił powiedzieć jej, jak się czuje. cdn.

Rozdział XV

Słońce wstało, żółte jak cytryna. Niebo było okrągłe i niebieskie. Ptaki śmigały w górze, wyśpiewując wdzięczne pieśni, Will i Jim wychylili się z okien. Nic się nie zmieniło. Poza wyrazem oczu Jima. – Zeszłej nocy... – powiedział Will. – Czy to wszystko naprawdę się zdarzyło? Obaj

zerknęli w stronę odległych łąk. Powietrze było słodkie jak ulepek. Nie dostrzegali żadnych cieni, nawet pod drzewami. – Sześć minut! – zawołał Jim. – Pięć! Cztery minuty później, z żołądkami pełnymi płatków kukurydzianych, pobiegli za miasto, zgniatając stopami liście na drobny czerwony pył. Szaleńczo zdyszani, unieśli oczy, które wcześniej wbijały się w ziemię. I ujrzeli przed sobą lunapark. – Hej... Bowiem stojące przed nimi namioty były żółte jak słońce, złociste niczym pola pszenicy parę tygodni wcześniej. Chorągwie i proporce, barwne jak pióra ptaków, łopotały ponad lwią sierścią płótna. Ze straganów pomalowanych w pastelowe barwy wiatr unosił przyjemną sobotnią woń boczku i jajek, hot dogów i naleśników. Wszędzie wokół biegali chłopcy. Za nimi dreptali senni ojcowie. – To zwykły stary lunapark – rzucił Will. – Diabła tam – odparł Jim. – Wczoraj w nocy nie byliśmy ślepi. Szybko pokonali sto metrów, zagłębiając się między namioty. Zaś im dalej byli, tym wyraźniej widzieli, że nie znajdują tu ludzi nocy, skradających się wśród rzucanych przez balony cieni, podczas gdy niesamowite namioty pęczniały niczym burzowe chmury. Zamiast tego oglądany z bliska lunapark okazał się zbieraniną podpleśniałych lin, zjedzonego przez mole płótna, zmytych przez deszcze, spłowiałych błyskotek. Wiszące wokół szyldy, zapowiadające dodatkowe atrakcje, przypominały rozpięte na słupach smutne albatrosy, kołyszące się na wietrze i roniące płatki starożytnej farby, zapowiadając mało cudowne cuda – chudzielca i grubasa, mikroglowca, wytatuowanego człowieka, tancerkę hula... Krążyli wokół, nie natrafiając jednak na tajemnicze nocne kule złowrogich gazów, przywiązane niezwykłymi węzłami rodem z orientu do wbitych w ziemię sztyletów. Nie dostrzegli też obłąkanych bileciarzy, spragnionych potwornej zemsty. Stojące obok budki z biletami organy nie wydawały z siebie śmiertelnych okrzyków ani też nie nuciły bezsensownych pieśni. Pociąg? Stojący na boczniccy pośród ciepłej trawy, był stary, owszem, i pokrywał go rdzawy nalot, jednakże przypominał jedynie gigantyczny magnes, który odwiedził wszystkie cmentarzyska lokomotyw na trzech kontynentach i zgromadził wokół siebie kolekcję tłoków, kominów, kół zamachowych i innych używanych koszmaków. Jego sylwetka nie budziła już grozy. Machina zdawała się jedynie prosić o pozwolenie pozostania na jesiennej łące, by lec na ziemi – znużone kotły wypuściły z siebie tak wiele pary i stalowych dymów... – Jim! Will! To była panna Foley, ich nauczycielka z siódmej klasy. Zbliżała się do nich, cała w uśmiechach. – Chłopcy – rzekła. – Co się stało? Wyglądacie, jakbyście coś zgubili. – No, cóż – odpowiedział Will. – Czy słyszała pani zeszłej nocy organy? – Organy? Nie... – Zatem czemu przyszła tu pani tak wcześniej rano?

– spytał Jim. – Uwielbiam lunaparki – odparła panna Foley, drobna kobieta, zagubiona w szarej otchłani pięćdziesiątki, i uśmiechnęła się promiennie. – Kupię wam hot dogi. Zjedzcie sobie, podczas gdy ja poszukam mojego niemądrego siostrzeńca. Widzieliście go może? – Siostrzeńca? – Roberta. Zatrzymał się u mnie na kilka tygodni. Jego ojciec nie żyje, a matka jest chora. Mieszkają w Wisconsin. Wzięłam go do siebie. Wybiegł z domu wcześniej rano. Powiedział, że się tu spotkamy, ale znacie chłopców! Naprawdę wyglądacie ponuro – wepchnęła im w dłonie bułki. – Jedzcie! Rozchmurzcie się! Karuzela rusza za dziesięć minut. Tymczasem pomyszkuję chyba w lustrzanym labiryncie i... – Nie! – wtrącił Will. – Co nie? – spytała panna Foley. – Nie w lustrzanym labiryncie. – Will przełknął ślinę. Ujrzał przed sobą otchłań niezliczonych odbić – tyle, że ta otchłań nie miała dna. Była jak groźna zima czekająca, by zabić jednym spojrzeniem. – Panno Foley – rzekł wreszcie, ze zdumieniem słuchając własnych słów – proszę tam nie iść. – Czemu nie? Jim, zafascynowany, patrzył mu prosto w twarz. – No dalej, powiedz nam. Czemu nie? – Ludzie się gubią – stwierdził niezręcznie Will. – Tym bardziej warto tam zajrzeć. Może Robert błąka się wśród luster i nie znajdzie wyjścia, póki nie złapię go za ucho... – Nigdy nie wiadomo – Will nie mógł oderwać oczu od milionów ślepych zwierciadeł – co może pływać wśród tych luster. – Pływać! – roześmiała się

panna Foley. – Cóż za urocze myśli krążą ci po głowie, Willy. Cóż, owszem, ale ze mnie całkiem stara ryba. A zatem... – Panno Foley! Nauczycielka pomachała im, na moment zamarła, po czym zrobiła krok naprzód i zniknęła w oceanie zwierciadeł. Patrzyli, jak zagłębia się w nim, wędruje, tonie coraz głębiej i głębiej, i wreszcie rozplywa się, szara wśród srebra. Jim złapał Willa za łokieć. – O co tu chodziło? – Do diaska, Jim, te lustra to jedyna rzecz, jaka mi się nie podoba. Tylko one przypominają mi zeszłą noc. – O rany! Chyba za długo stałeś w słońcu – prychnął Jim. – Ten labirynt jest... – Jego głos odpłynął. Chłopak zaczął węszyć w chłodnym powietrzu, wypływającym spod lodowców wyniosłych odbić. – Co mówiłeś, Jim? Jednakże Jim nie odpowiedział. Po długiej chwili przycisnął dłonie do karku. – A zatem to prawda! – wykrzyknął zdumiony. – Co, prawda? – Włosy! Przez całe życie o tym czytałem. W opowieściach grozy pisze się zawsze, jak jeżą się na głowie. Moje właśnie to zrobili! – O rany, Jim! Moje też! Stali jak zaczarowani, napawając się wspaniałą gęsią skórką na karkach i tym, że włosy porastające ich głowy stanęły dęba. Przed sobą ujrzeli nagłe zawirowanie światła i cieni. W głębi lustrzanego labiryntu pokazały się dwie, cztery, tuzin panien Foley. Chłopcy nie wiedzieli, która jest prawdziwa, toteż pomachali wszystkim. Jednakże żadna z panien Foley nie dostrzegła ich ani nie odpowiedziała gestem. Jak ślepa szła ciągle naprzód. Jak ślepa pukała ciągle paznokciami w zimne szkło. – Panno Foley! Jej oczy, rozwarłe szeroko jakby pod wpływem lampy błyskowej, były białe niczym u posągu. Wtem odezwała się, ukryta głęboko za szkłem. Mruknęła coś. Jęknęła. Zaczęła płakać. Krzyczeć. Wrzeszczeć. Tłukła głową o zwierciadlane tafle, waliła w nie łokciami, obijała się o nie jak oszołomiona ćma. Podniosła ręce w obronnym geście. – O Boże, pomocy – jęknęła. – Pomóż mi, Boże. Jim i Will ujrzeli w lustrach własne poblądłe twarze, szeroko otwarte oczy. Jednocześnie skoczyli do środka. – Panno Foley, tutaj! – Jim uderzył czołem w lustro. – Tędy! – Jednakże Will widział przed sobą tylko lodowate szkło. Z pustego przejścia wynurzyła się ręka. Dłoń starej kobiety, po raz ostatni niknącej pod wodą. Jej palce czepiały się wszystkiego, byle tylko zostać na powierzchni. Tym wszystkim okazał się Will. Wciągnęła go za sobą. – Will! – Jim! Jim! Jim złapał go i ją także, i wyciągnął oboje z milczącego labiryntu, w którym niezliczone zwierciadła napływały falami z opustoszałych mórz. Cała trójka wyszła na słońce. Panna Foley, przyciskając dłoń do stłuczonego policzka, jęknęła, mruknęła coś i zaśmiała się szybko, po czym odetchnęła i otworzyła oczy. – Dziękuję wam, Jim, Will. Tak bardzo wam dziękuję. Prawie utonąłam! To znaczy... Och, Will. Miałeś rację. Mój Boże, widzieliście? Zgubiła się, utonąła tam, biedna dziewczynka, biedne zagubione maleństwo... Uratujcie ją, musimy ją uratować... – Panno Foley, to boli – Will stanowczo powstrzymał ją od tłuczenia pięściami w jego ramię. – Tam nikogo nie ma. – Widziałam ją! Proszę, spójrzcie! Uratujcie ją! Will wskoczył w drzwi labiryntu i zatrzymał się. Bileter posłał mu obojętne wzgardliwie spojrzenie. Chłopiec wycofał się do panny Foley. – Przysięgam, nikt nie wszedł tam przed panią ani potem. To moja wina. Żartowałem na temat wody, przestraszyła się pani, błędząc w tych korytarzach i na pewno wydało się pani, że... Ale jeśli nawet go słyszała, nadal przygryzała kostki dłoni. Jej głos należał do kogoś, kto po dłuższym czasie wynurzył się spośród fal, rozpaczliwie chwytając oddech; wyrwał się z budzącej grozę otchłani czasu, w której nie pozostała już żadna nadzieja i nagle znów był wolny. – Zniknęła? Opadła na dno! Biedna mała. Znałam ją. Znam cię, powiedziałam, kiedy dostrzegłam ją minutę temu. Pomachałam do niej. Ona odpowiedziała tym samym. Cześć, krzyknęłam, podbiegłam, i łup!, upadłam. Ona także. Upadły ich tuziny, tysiące. Zaczekaj, rzekłam. Wyglądała tak wspaniale, tak pięknie, tak młodo. Ale jej widok przeraził mnie. Co tu robisz?, spytałam ją. Ależ to ja jestem prawdziwa, odparła. Tak przynajmniej mi się wydawało. Ty nie!, roześmiała się głęboko pod wodą i odbiegła w głąb labiryntu. Musimy ją znaleźć, zanim... Panna Foley, wstrząsana dreszczami, odetchnęła głęboko i umilkła. Will obejmował ją mocno. Jim spoglądał w głąb chłodnych

zwierciadeł, szukając niewidocznych rekinów. – Panno Foley – rzekł. – Jak wyglądała ta dziewczynka? Głos panny Foley zabrzmiał słabo, lecz spokojnie. – W istocie... przypominała mnie samą, wiele, wiele lat temu. – Wrócę już do domu – dodała po chwili. – Panno Foley, my... – Nie. Zostańcie. Nic mi nie jest. Bawcie się dobrze, chłopcy. Powodzenia. Po tych słowach odeszła powoli, samotna, wśród namiotów. Gdzieś niedaleko jakieś duże zwierzę opróżniło pęcherz. Wiatr uniósł ze sobą woń amoniaku. – Idę stąd – oświadczył Will. – Will – odparł Jim. – Zostaniemy tu aż do zachodu słońca, póki nie zapadnie zmrok. I wszystko sprawdzimy. Tchórzysz? – Nie – mruknął Will. – Ale... czy ktoś ma ochotę zanurkować z powrotem w toń labiryntu? Jim przez długą chwilę spoglądał w bezdenne morze, teraz połyskujące jedynie czystym, nieskalanym światłem. Przed ich oczami rozciągała się tylko pustka, pomnożona tysiące razy. Nicość. – Nikt. – Jim odczekał chwilę i dodał. – Chyba.

Rozdział XVI

O zachodzie słońca zdarzyło się coś złego. Jim zniknął. Przez całe popołudnie z krzykiem szaleli na kolejnych przejażdżkach, przewracali brudne butelki po mleku, rozbijali talerze, wygrywając coraz to nowe lalki, chłonęli zapachy, słuchali i rozglądali się, odnajdując swoje miejsce w jesiennym tłumie, depczącym grube trociny. A potem, zupełnie niespodziewanie, Jim zniknął. Will zaś, nie pytając nikogo poza samym sobą, z całkowitą milczącą pewnością zaczął przedzierać się przez wieczorny tłum, aż wreszcie dotarł do czekającego pod śliwkowym niebem labiryntu, zapłacił dziesięć centów i przekroczył próg, wołając cicho, raz jeden, imię przyjaciela. – ...Jim...? I rzeczywiście Jim tam był. Na wpół widoczny, na wpół skryty w falach zimnego szkła, niczym człowiek porzucony na brzegu morza przez najbliższego przyjaciela, który odszedł i nie wiadomo, czy kiedykolwiek wróci. Jim tkwił w miejscu, zupełnie jakby przez pięć minut nie mrugnął nawet oczami, zapatrzony; z półotwartymi ustami czekał na następną falę, pragnąc ujrzeć więcej i więcej. – Jim! Wynoś się stąd! – Will... – westchnął słabo Jim – daj mi spokój. – Diabła tam! – Jednym skokiem Will dopadł przyjaciela, złapał go za pasek i szarpnął. Cofając się powoli, Jim najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że towarzysz wyciąga go siłą z labiryntu, bowiem nie ustawał w zachwytach wobec jakiegoś niewidzialnego cudu. – Och, Will, och, Willy, Will, och, Willy... – Jim, ty wariacie, zabieram cię do domu. – Co? Co? Co? Nagle owiało ich świeże chłodne powietrze. Niebo było już ciemniejsze niż śliwki, chmury nad ich głowami jarzyły się ostatnim blaskiem słońca. Wieczne zorze płonęły na rozgorączkowanej twarzy Jima i jego rozchyłonych ustach, odbijały się w szeroko otwartych, straszliwie głębokich lśniących zielonych oczach. – Jim, co tam widziałeś? To samo, co panna Foley? – Co? – Chyba rozwalę ci nos. Chodź. – Will zakrzętnął się wokół. Ciągnąc i popychając, powlókł za sobą tę gorączkę i zachwyt – swego nie stawiającego oporu przyjaciela. – Nie mogę ci powiedzieć, Will, nie uwierzyłbyś, nie mogę, tam w środku, och, tam w środku... – Zamknij się! – Will szturchnął go w ramię. – Śmiertelnie mnie wystraszyłeś. Tak jak ona nas wcześniej. Do licha! Pora na kolację. Rodzice pomyślą, że tu umarliśmy. Maszerowali szybko, miażdżąc podeszwami jesienną trawę, pozostawiając za sobą namioty rozbite na pachnących sianem i przegniłymi liśćmi polach. Will patrzył w stronę miasta, Jim oglądał się za siebie na pociemniałe proporce. Słońce zniknęło już za horyzontem. – Will, musimy tu wrócić. Dziś w nocy... – Wracaj sobie sam. Jim przystanął. – Nie pozwoliłbyś mi na to. Zawsze będziesz obok, prawda, Will? Żeby mnie chronić? – I kto tu mówi o ochronie! – roześmiał się Will, umilkł jednak, bowiem Jim patrzył na niego; ostatnie przebłyski dnia zamierały na jego ustach i w wąskich ciemnych nozdrzach, połyskując w nagle zapadniętych oczach. – Zawsze będziesz ze mną, prawda, Will? Wystarczyło, by Jim odetchnął; ciepłe powietrze owiało twarz Willa i jego krew zatętniła odwiecznie znajomymi

odpowiedziami: tak, tak, wiesz przecież, tak. I odwróciwszy się, obaj wpadli na brzęczący ciemny wzgórek skórzanej torby.

Rozdział XVII

Stali nad nią w milczeniu. Niemal ukradkiem Will kopnął torbę, która wydała z siebie jęk żelaznej niestrawności. – Ależ to należy do sprzedawcy piorunochronów – westchnął. Jim wsunął dłoń w skórzane gardło i wydobył z niego metalowy pręt, na którym tłoczyły się chimery, chińskie smoki o wybałuszonych oczach, szczerzące kły ponad mszystozieloną zbroją, krzyże i półksiężycy; wszystkie symbole świata, które zapewniały ludziom bezpieczeństwo, a przynajmniej miały to robić, przywarły do tego kawałka metalu, przygniatając dłonie chłopca niezwykłym ciężarem i głębią znaczeń. – Burza nie nadeszła. Ale on odszedł. – Dokąd? I czemu zostawił swoją torbę?

Obaj obejrzeni się w stronę lunaparku, płóciennych namiotów, skąpanych w słabnym czerwonym blasku. Z mroku wynurzyły się chłodne cienie i spowiły wesołe miasteczko. Ludzie w samochodach, trąbiąc donośnie, zmierzali w znużeniu do domów. Chłopcy, dosiadający szkieletów rowerów, gwizdali na psy. Wkrótce noc obejmie we władanie całe obozowisko, a cienie urządzają sobie przejażdżkę na diabelskim młynie, przesłaniając chmury. – Ludzie – odparł Jim – nie zostawiają dorobku całego życia porzuconego na polu. W tej torbie mieści się cały majątek starego. Coś ważnego... – Jim wypuścił z płuc haust ognistego powietrza – sprawiło, że zapomniał. Toteż odszedł, beztrąsco zostawiając tu swój worek. – Dokąd? Co może być tak ważnego, że zapomina się o wszystkim? – Tego nikt nie potrafi ci powiedzieć. – Jim przyjrzał się z ciekawością swemu przyjacielowi. Jego policzki musnęło pierwsze dotknięcie zmierzchu. – Sam musisz się tego dowiedzieć. Tajemnice i tajemnice, handlarz burzy, jego torba. Jeśli teraz tam nie skoczymy, być może nigdy się tego nie dowiemy. – Jim, za dziesięć minut... – Jasne! Zapadnie noc. Wszyscy wrócą do domów na kolację. Zostaniemy tylko mu dwaj. Czyż to nie wspaniałe? Tylko my! Z powrotem!

Mijając lustrzany labirynt ujrzeni dwie armie – miliard Jimów, miliard Willów – zderzające się ze sobą, stapiające, znikające. I podobnie jak owe armie zniknęło też prawdziwe wojsko, złożone z ludzi. Chłopcy stali samotnie pośrodku obozowiska, myśląc o wszystkich swych kolegach w mieście zasiadających do ciepłego posiłku w jasnych, bezpiecznych jadalniach.

Rozdział XVIII

Czerwone litery ostrzegały: "ZEPSUTE! WSTĘP WZBRONIONY!" – Znak wisi tu przez cały dzień. Nie wierzę w podobne informacje – oznajmił Jim. Spojrzeli na karuzelę, drzemającą spokojnie pośród suchego szelestu liści i ryku wiatru w gałęziach dębów. Jej koniki, kozły, antylopy, zebry, przeszyte wzdłuż kręgosłupów mosiężnymi oszczepami, wisiały na swych miejscach stężałe, błagając o litość oczami koloru strachu, domagając się pomsty zębami barwy grozy. – Według mnie wygląda w porządku. Jim przeskoczył przez rozkołysany łańcuch i znalazł się na głównej płycie karuzeli, gładkiej powierzchni, rozległej niczym księżyc, zamkniętej kręgiem oszalałych, na zawsze zaklętych istot. – Jim! – Will, to jedyna atrakcja, której nie sprawdziliśmy, więc... Jim zachwiał się na nogach. Pod wpływem jego ciężaru szalony świat karuzeli zakołysał się. Po chwili wędrował już pośród mosiężnego lasu, mijając rozedrgane zwierzęta. Z rozmachem wskoczył na grzbiet ogiera barwy mroku. – No, ruszaj.

Z ciemnej otchłani maszynerii wyłonił się mężczyzna.

– Jim! Mężczyzna sięgnął ku niemu z mroku pomiędzy rurami puszczających organów parowych i powleczonych srebrnym księżycowym blaskiem bębnow i jednym szybkim gestem dźwignął w

powietrze wrzeszczącego chłopca. – Ratunku! Will, pomocy! Will skoczył pomiędzy zwierzęta. Nieznajomy uśmiechnął się lekko, jakby na powitanie, i przytrzymał go obok Jima. Przyjaciele spojrzeli w dół na oślepiające, płomienistorude włosy, błękitne, aż skrzące się oczy i mięśnie, grające pod skórą. – Nieczynne – oznajmił mężczyzna. – Nie umiecie czytać? – Puść ich – polecił łagodny głos. Wiszący w powietrzu Jim i Will zerknęli na drugiego mężczyznę, stojącego tuż za łańcuchami. – Już – dodał głos. Strażnik przeniósł ich poprzez mosiężny las dzikich milczących stworzeń i posadził na ziemi. – My tylko... – zaczął Will. – Byliście ciekawi? Drugi mężczyzna był wysoki jak latarnia. Jego biała twarz, pokryta księżycowymi kraterami, rzucała blask na tych, którzy stali poniżej. Kamizelka miała barwę świeżej krwi. Brwi, oczy i garnitur były czarne niczym lukrecja, zaś żółty jak słońce kamień, spoglądający na nich ze szpilki w krawacie, wyglądał jak trzecie oko – ten sam spokojny odcień, jasny i przejrzysty. Jednakże Willa w owym niezwykłym momencie zafascynował przede wszystkim garnitur mężczyzny. Bowiem zdawał się on utkany ze szczeciny dzika, szorstkich włosów, zwiniętych jak sprężynki, zjeżonych, wiecznie błyszczących i rozdygotanych ciemnych konopi; garnitur połyskiwał lekko, jakby uszyto go z milionów czarnych wibrujących igiełek, niezdolnie kłujących skórę, pokrywających wysokie ciało mężczyzny rozedrganą, dokuczliwą masą. Wydawało się, że nieznajomy powinien cierpieć niezdolne katusze, że lada moment zacznie krzyczeć i zedrze z siebie ubranie. A jednak stał przed nimi, spokojny niczym księżyc w pełni, odziany w kłujący garnitur i obserwujący żółtymi oczami Jima – tylko Jima. Ani razu nie spojrzał na Willa. – Nazywam się Dark. W dłoni błysnęła biała karta wizytowa. Po sekundzie zmieniła kolor na niebieski. Szept. Czerwony. Błysk. Z drzewa przedstawionego na wizytówce zwisał zielony człowiek. Śmig. Szxxx. – Dark. A mój rudowłosy przyjaciel to pan Cooger. Tak jak "Cooger i Dark..." Mig-śmig-szxxx. Na białym kwadraciku pojawiały się i znikwały kolejne napisy. "...Połączone Rewie Cieni..." Szast-prast. Przygarbiona czarownica grzebała w słojach z podgniętymi ziołami.. "...i znana na całym kontynencie kompania teatralna Pandemonium..." Podał Jimowi kartę. Napis na niej zmienił się i teraz brzmiał:

Nasza specjalność: badania, oliwienie, czyszczenie i naprawa żuków-żałobników.

Jim odczytał to spokojnie, po czym niespiesznie wsunął rękę do głębokiej, wypełnionej licznymi skarbami kieszeni, pogrzebał w niej chwilę i uniósł dłoń. Spoczywał na niej martwy brunatny owad. – Proszę – powiedział Jim. – Niech pan to naprawi. Pan Dark wybuchnął śmiechem. – Wspaniale. Chętnie to zrobię – wyciągnął rękę i mankiet jego koszuli podjechał do góry. Na przegubie mężczyzny zatańczyły fioletowe, czarne, zielone i jaskrawobłękitne węgorze, robaki oraz arabeski. – O rany! – krzyknął Will. – Pan musi być Tatuowanym Człowiekiem! – Nie – Jim uważnie przyglądał się nieznajomemu. – Ilustrowanym. To wielka różnica. Pan Dark skinął głową, zadowolony. – Jak się nazywasz, chłopcze? Nie mów mi, pomyślał Will i zawahał się. Czemu nie? zastanawiał się. Czemu? Wargi Jima nawet nie drgnęły. – Simon – odparł. Uśmiechnął się, aby pokazać, że to kłamstwo. Pan Dark odpowiedział uśmiechem na znak, że o tym wie. – Chcesz zobaczyć więcej, "Simonie"? Jim nie chciał dać mu satysfakcji. Nie odpowiedział. Powoli, z wyraźną przyjemnością, pan Dark podciągnął rękaw aż do łokcia. Przedramię mężczyzny było niczym wijąca się kobra, rozkołysana, gotowa do ataku. Pan Dark zacisnął pięść, poruszył palcami. Mięśnie pod skórą zatańczyły. Will pragnął podbiec i zobaczyć samemu, mógł jednak tylko patrzeć z daleka myśląc: Jim, o Jim! Jim i wysoki mężczyzna stali naprzeciw siebie, obserwując się nawzajem, jakby ten drugi był jedynie odbiciem w wieczornej sklepowej wystawie. Szorstki garnitur pana Darka rzucał cień na policzki Jima i przesłaniał deszczową chmurą jego szeroko otwarte, zapatrzone oczy, które po raz pierwszy straciły swój ostry koci wyraz. Jim stał tam niczym biegacz, który przebył długą trasę, z gorączkowo otwartymi ustami, z rękami gotowymi na przyjęcie każdego daru. W tej chwili był to dar obrazów,

odgrywających milczącą pantomimę, gdy pan Dark zmuszał swe ilustracje do tańca na chłodnej skórze, skrywającej ciepłe pulsujące ciało. Na niebie rozbłyskały gwiazdy. Jim patrzył, Will nic nie widział, zaś hen daleko, ostatni ludzie zmierzali w stronę miasta, siedząc wygodnie w swych ciepłych samochodach. Wreszcie Jim westchnął słabo: – O jejku... ..i pan Dark zsunął rękaw. – Przedstawienie skończone. Czas na kolację. Zamykamy lunapark o siódmej. Wszyscy wychodzą. Wróć jeszcze, "Simonie", i przejedź się na karuzeli, kiedy już ją naprawimy. Weź tę kartę. Dostaniesz darmowy bilet. Jim nie odrywając wzroku od ukrytego przegubu wsunął wizytówkę do kieszeni. – Do zobaczenia! Jim odbiegł. Will ruszył za nim. Po chwili Jim zatrzymał się, zerknął przez ramię, skoczył i po raz drugi w ciągu godziny zniknął. Will uniósł wzrok ku koronie drzewa, w której jego przyjaciel usadowił się, ukryty wśród gałęzi. Obejrzał się. Pan Dark i pan Cooger stali odwróceny plecami, zajęci przy karuzeli. – Szybko, Will! – Jim...? – Zobaczą cię. Skacz! Will skoczył. Jim podciągnął go do góry. Wielkie drzewo zadrżało. Po niebie z rykiem przetoczył się gwałtowny powiew wiatru. Jim pomógł zadyszkanemu przyjacielowi usadowić się na gałęzi. – Nie powinno nas tu być! – Zamknij się! Patrz! – szepnął Jim. Gdzieś z głębi maszynierii, napędzającej karuzelę, rozległo się ostre stukanie i brzęk metalu, cichy zgrzyt i świst parowych piszczałek. – Co on miał na rękę, Jim? – Obrazek. – Jasne. Ale jaki? – To był... – Jim przymknął powieki. – To był... obrazek... węża... właśnie, węża. – Kiedy jednak otworzył oczy, nie popatrzył na Willa. – Dobra, jeśli nie chcesz, to nie mów. – Powiedziałem ci, Will, waż. Później poproszę, aby i tobie go pokazał. Chcesz? Nie, pomyślał Will, nie chcę. Spojrzał w dół na miliard śladów stóp, odcisniętych w trocinach pustych alejek i nagle poczuł, że północ jest znacznie bliższa niż południe. – Wracam do domu... – Jasne, Will, idź. Lustrzane labirynty, stare nauczycielki, zgubione torby z piorunochronami, sprzedawcy piorunochronów, którzy znikają bez śladu, obrazki tańczących węży, nie zepsute karuzele, a ty chcesz wracać? Nie ma sprawy, mój stary. Do zobaczenia. – Ja... – Will ponownie zerknął w dół i zamarł. – Horyzont czysty? – wykrzyknął czyjś głos. – Czysty! – odparł ktoś po drugiej stronie alejki. Pan Dark poruszył się niecałe dwadzieścia metrów dalej. Podszedł do czerwonej skrzynki kontrolnej obok budki z biletami na karuzelę. Rozejrzał się na wszystkie strony. Spojrzał też w górę, ku drzewu. Will i Jim przywarli do gałęzi, starając się stać jak najmniejsi. – No to już!

Z trzaskiem, zgrzytem i brzęczeniem uprząży karuzela poruszyła się. Mosiężne ozdoby zadygotały, unosząc się i opadając. Przecież ona jest zepsuta, pomyślał Will. Nie działa! Spojrzał ukradkiem na Jima.

Karuzela poruszała się, owszem, ale... Do tyłu. Małe organy parowe, ukryte wewnątrz maszynierii, potrząsały nerwowo swymi drżącymi końskimi bębenkami, pobrzękiwały księżycowymi cymbałami, klepały kastanietami i z łkaniem poświstywały trzciniowymi gwizdkami, fujarkami, barokowymi fletami. Muzyka, pomyślał Will. Ją także grają do tyłu! Pan Dark szarpnął się gwałtownie i uniósł głowę, jakby dosłyszał myśli chłopca. Wiatr kołysał czarnymi koronami drzew. Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Karuzela poruszała się coraz szybciej, ze zgrzytem i jękiem, do tyłu! Pan Cooger, mężczyzna o płomiennie czerwonych włosach i jaskrawobłękitnych oczach, przechadzał się alejką, po raz ostatni sprawdzając, czy nikt nie ukrył się w pobliżu. Przez chwilę zatrzymał się pod drzewem. Will mógł spokojnie napluć mu na głowę. Wówczas jednak organy wydały z siebie szczególnie gwałtowny bolesny krzyk, który sprawił, że w dali zawyły psy, zaś pan Cooger zawrócił, podbiegł ku karuzeli i wskoczył w wirujący do tyłu świat zwierząt, które ogonami naprzód przemierzały nie kończący się szlak, zmierzając ku nieznanym, nieosiągalnym celom. Uderzając dłońmi o mosiężne słupki, jednym skokiem zajął miejsce i siedział tam w milczeniu, a jego zjeżone rude włosy, różowa twarz i niewiarygodnie bystre błękitne oczy wirowały do tyłu, do tyłu, do wtóru muzyki, jęczącej niczym wstrzymywany oddech. Muzyka, pomyślał Will.

Co to za melodia? I skąd wiem, że odgrywiają ją od tyłu? Mocniej przytulił się do gałęzi, próbując zapamiętać kolejne dźwięki i odtworzyć je w myślach we właściwej kolejności. Lecz mosiężne dzwonki i werble wibrowały w jego ciele, szarpały serce tak, że czuł, iż puls także bije mu do tyłu, krew zawraca w żyłach niezwykle falami, przenikając całe ciało. Wstrząśnięty, o mało nie upadł, toteż z całych sił przywarł do konaru i wisiał tam, poblady, chłonąc obraz kręcącej się do tyłu maszyny i pana Darka, czuwającego z boku przy skrzynce kontrolnej. To Jim pierwszy zauważył, że dzieje się coś nowego. Kopnął zatem przyjaciela, który obejrzał się gwałtownie. Jim gorączkowo skinął głową, wskazując mężczyznę dosiadającego karuzeli, gdy ten znów pojawił się przed nimi. Twarz pana Coogera topniała niczym różowy wosk. Jego ręce przypominały dłonie lalki. Kości zapadały się pod ubraniem; następnie sam strój skurczył się wraz z malejącym ciałem. Jego twarz pojawiała się i ginęła w cieniu, za każdym razem topniejąc coraz bardziej. Will ujrzał, jak głowa przyjaciela unosi się i zatacza niewielki krąg. Karuzela wirowała niczym ogromny księżycowy sen, konie parły do tyłu, muzyka zachłystywała się, podczas gdy pan Cooger, najzwyczajniej w świecie, niczym cień, światło i czas, stawał się coraz młodszy. I młodszy. I młodszy. Za każdym razem, gdy pojawiał się przed ich oczami, siedział samotny na swym miejscu. Jego kości uginały się niczym rozgrzane świece, powracające do czasów młodości. Spoglądał pogodnie na ogniste konstelacje, na drzewa z ukrytymi w koronach chłopcami, które uciekały przed nim, podczas gdy on odjeżdżał coraz dalej. Jego nos małał, woskowe uszy przekształciły się w małe dziecięce różyczki. Kiedy zaczynał swą podróż w tył, pan Cooger był czterdziestolatkiem; teraz miał zaledwie dziewiętnaście lat. Jednakże odwrócona defilada koni, prętów, muzyki nie ustawała w biegu. Mężczyzna stawał się młodzieńcem, młodzieniec chłopcem... Pan Cooger miał siedemnaście, szesnaście lat... I jeszcze raz, i jeszcze, pod niebem i drzewami. Will szeptał, Jim odliczał kolejne okrążenia, a nocne powietrze, rozgrzane od tarcia słonecznego mosiądzu i biegnących do tyłu zwierząt, roztopiało woskową kukłę, coraz bardziej i bardziej, zmywając z niej kolejne warstwy do wtóru coraz dziwniejszej muzyki. Aż wreszcie wszystko ustało, zapadła cisza, organy zamilkły z jękiem, żelazna maszyna zatrzymała się, sycząc. Z ostatnim słabym westchnieniem, przypominającym szmer pustynnego piasku, przesypującego się w górę arabskiej klepsydry, karuzela zakołysała się na wodach trawiastego oceanu, po czym zastygła bez ruchu. Postać siedząca na ławeczce białych drewnianych sanek była bardzo mała. Pan Cooger miał dwanaście lat. Nie. Usta Willa bezdźwięcznie wypowiedziały to słowo. Nie. Jim uczynił to samo. Mała figurka opuściła milczący świat karuzeli. Jej twarz skrywał cień, jednakże dłonie, różowe i pomarszczone niczym u noworodka, uniosły się w surowym blasku lamp. Dziwny mężczyzna-chłopiec spojrział w górę, a potem w dół, wyczuwając w pobliżu woń przerażenia, grozy i zdumienia. Will skulił się i zamknął oczy. Czuł, jak straszliwe spojrzenie przenika liście niczym ostra, ciśnięta w powietrze strzałka. Nagle mała figurka śmignęła jak spłoszony królik w głąb pustej alejki.

Jim pierwszy rozsunął liście. Pan Dark także zniknął w wieczornej ciszy. Zdawało się, że zeskok na ziemię zabrał Jimowi całe wieki. Will opadł w ślad za nim i obaj zamarli bez ruchu. W ich duszach dźwięczał donośny alarm. Byli wstrząśnięci milczącą pantomimą, która rozegrała się przed ich oczami, poruszeni wydarzeniami tym bardziej jeszcze oszalamiającymi, że wybiegały w noc, dając początek nieznanemu. To Jim odezwał się pierwszy, gdy obaj trwali tak, oszołomieni i drżący, trzymając się za ręce i patrząc na mały cień, pędzący przez łąkę, wabiący ich, wzywający, by poszli w jego ślady. – Will, gdybyśmy tylko mogli pójść do domu! Gdybyśmy mogli spokojnie zjeść kolację! Ale jest już za późno. Widzieliśmy... i musimy zobaczyć więcej. Prawda? – Boże – westchnął Will z nieszczęśliwą miną. – Chyba tak. I pobiegli razem w ślad za czymś, czego nie znali, zmierzając do celu, który mogli jedynie odgadnąć.

Rozdział XIX

Kiedy znaleźli się na szosie, ostatnie wyblakłe akwarele, malowane promieniami słońca, zniknęły już za łańcuchem wzgórz, zaś ścigana przez nich postać była tak daleko, że w blasku latarni dostrzegali tylko ciemną plamkę, zmierzającą prosto w mrok. – Dwadzieścia osiem – wydyszał Jim. – Dwadzieścia osiem razy! – Karuzela! Jasne! – Will gwałtownie skinął głową. – Obróciła się dwadzieścia osiem razy. Liczyłem. Na przodzie maleńka postać zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Jim i Will uskoczyli za drzewo czekając, by ruszyła naprzód. Ona, sylwetka, pomyślał Will. Czemu tak ją nazywam? To chłopak, mężczyzna... nie... coś, co się zmieniło. Oto, czym jest. Wkrótce dotarli do granicy miasta i zagłębili się w wąskie ulice. Biegąc obok przyjaciela Will rzekł: – Jim, na karuzeli musiało być dwóch różnych ludzi, pan Cooger i ten chłopak... – Nie. Ani na moment nie oderwałem od niego wzroku. Przebiegli obok zakładu fryzjerskiego. Will dostrzegł znak w oknie, ale go nie widział, przeczytał go nie czytając, zapamiętał i zapomniał. Pędzili dalej. – Hej! Skręcił w ulicę Culpepper! Szybko! Skręcili za róg. – Zniknął! W blasku lamp rozciągała się przed nimi długa pusta ulica. Wiatr rozgarniał liście, zalegające chodniki, pobazgrane kredą przez graczy w klasy. – Will, na tej ulicy mieszka panna Foley. – Jasne, w czwartym domu, ale... Jim ruszył naprzód swobodnym krokiem, pogwizdując od niechcienia, z rękami w kieszeniach. Will maszerował u jego boku. Kiedy znaleźli się obok domu panny Foley, zerknęli w górę. W jednym z promieniejących łagodnym blaskiem frontowych okien stała jakaś postać, wyglądając na ulicę. Chłopak, nie mniej nie więcej, tylko dwunastoletni. – Will! – westchnął cicho Jim. – Ten chłopak... – Jej siostrzeniec...? – Siostrzeniec, akurat! Odwróć głowę. Może potrafi czytać z ruchów warg. Idź dalej. Wolno. Do węgła i z powrotem. Widzisz jego twarz? Oczy, Will! To jedyna część człowieka, która się nie zmienia, czy jest młody, czy stary, sześćdziesięcioletni. Chłopięca twarz, jasne, ale oczy należą do pana Coogera! – Nie! – Tak! Przez chwilę obaj napawali się gwałtownym biciem swoich serc. – Nie zatrzymuj się. – Szli dalej. Jim trzymał mocno ramię przyjaciela, prowadząc go. – Widziałeś chyba oczy pana Coogera? Kiedy nas podniósł, żeby zmiażdżyć nam głowy? I widziałeś chłopaka, gdy zsiadł z karuzeli? Spojrzał na drzewo, o włos mijając wzrokiem moją kryjówkę. Zupełnie jakby otworzył drzwi do pieca. Nigdy nie zapomnę tych oczu! A teraz widzę je w oknie. Odwróć się. Chodźmy z powrotem, wolno, spokojnie... Musimy przecież ostrzec pannę Foley, co kryje się w jej domu, prawda? – Jim, posłuchaj. Co cię obchodzi panna Foley albo to, co trzyma w domu!? Jim nie odpowiedział. Idąc ramię w ramię z Willem obejrzał się jedynie na swego przyjaciela i mruknął, pozwalając, by powieki opadły na jego błyszczące zielone oczy i znów się uniosły. Willa ponownie ogarnęło uczucie, które budził w nim niegdyś stary, niemal zapomniany pies. Co roku ów pies przez wiele miesięcy żył przykładnie, grzeczny, posłuszny i spokojny, aby pewnego dnia uciec i nie wracać całymi dniami. A kiedy w końcu zjawiał się z powrotem, okulały, pokryty rzepami, był brudny, cuchnął błotem i śmietniskiem; najwyraźniej tarzał się w brudnych zakątkach i wysypiskach tego świata po to, by wrócić do domu z zabawnym uśmiechem na pysku. Tato nazwał psa Platon, na pamiątkę sławnego filozofa, bowiem po jego oczach widać było, że nie istnieje nic, czego by nie wiedział. Po powrocie żył niewinnie, jak gdyby nigdy nic, przez długie miesiące odtwarzając utarte wzory, po czym znów zniknął i wszystko zaczynało się od nowa. Teraz, idąc obok przyjaciela, Will miał wrażenie, że Jim skomli cichutko. Czuł, jak włosy na ciele przyjaciela jeżą się, jak jego uszy przylegają do czaszki. Widział, jak węszy w nowej nieznannej ciemności. Jim wyczuwał wonie, których nikt inny nie znał, słyszał tykanie zegarów, odmierzających inny czas. Nawet jego język, oblizujący na zmianę górną i dolną wargę, wydawał się obcy, gdy znów przystanęli przed domem panny Foley.

Frontowe okno było puste. – Zamierzam podejść do drzwi i zadzwonić – oznajmił Jim. – Co? Chcesz spotkać go twarzą w twarz?. – Rany koguta, Will! Musimy przecież sprawdzić. Uścisnąć jego łapę, spojrzeć mu prosto w oczy czy coś takiego. A jeśli to naprawdę on.. – Nie ostrzeżemy przecież panny Foley w jego obecności. Zadzwonimy później, głupku. No już, ruszamy! Will westchnął i pozwolił poprowadzić się po stopniach, pragnąc, a jednocześnie nie chcąc wiedzieć, czy chłopak w domu ukrywa pod swymi powiekami pana Coogera, który przycupnął tam, od czasu do czasu rozbłyskując jak świetlik. Jim zadzwonił. – A jeśli to on otworzy? – spytał Will. – Rany, tak bardzo się boję, że zaraz rozsypię się ze strachu. Jim, ty się nie boisz. Dlaczego? Jim przyjrzał się uważnie swym nieruchomym dłoniom. – A niech mnie! – westchnął. – Masz rację. Rzeczywiście nie boję się. Drzwi otwarły się i panna Foley spojrzała na nich z promiennym uśmiechem, – Jim! Will! Jak miło. – Panno Foley! – wypalił Will. – Wszystko w porządku? Jim rzucił mu ostre spojrzenie. Panna Foley roześmiała się. – Tak. A czemu pytasz? Policzki Willa poczerwieniały. – Wszystkie te lunaparkowe zwierciadła... – Bzdura. Już dawno o tym zapomniałam. To co, chłopcy? Wejdziecie? Przytrzymała drzwi. Will szurnął nogami i przystanął tuż za progiem. Za plecami panny Foley wisiała zasłona z paciorków – ciemnobłękitna gradowa chmura, przesłaniająca wejście do salonu. W miejscu, gdzie barwny deszcz dotykał podłogi, widać było czubki małych zakurzonych butów. Zły chłopak czaił się tuż za zasłoną z tysięcy szklanych kropel. Zły? Willa zdziwiło to określenie, które samo przyszło mu do głowy. Dlaczego zły? Dlatego. "Dlatego" stanowiło wystarczający powód. Chłopak, owszem, i zły. – Robercie? – panna Foley odwróciła się i zawołała w stronę ciemnoniebieskiej kaskady deszczowych paciorków. Ujęła dłoń Willa i pociągnęła go do środka. – Chodź, poznaj moich dwóch uczniów. Deszcz rozprysnął się na boki. Spomiędzy strug koralików wyłoniła się gładka różowa ręka, samotnie badająca pogodę, panującą w przedsionku. Dobry Boże, pomyślał Will, zaraz spojrzę mi w oczy! Dostrzeże karuzelę i siebie samego jadącego w tył, ciągle w tył. Wiem, że obraz ten utrwalił się na moich źrenicach, jakbym został trafiony piorunem. – Panno Foley! – rzucił na głos. Teraz spomiędzy ciemnych zastygłych naszyjników burzy wyłoniła się krągła różowa twarz. – Musimy pani powiedzieć coś strasznego. Jim szturchnął go mocno ostrzegając, aby nie mówił nic więcej. Pośród ciemnych strug paciorków stanęła drobna postać. Deszcz zaszumił gwałtownie za plecami chłopca. Panna Foley z wyczekiwaniem nachyliła się ku Willowi. Tymczasem Jim z całych sił ścisnął łokieć przyjaciela. Will, zarumieniony, zająknął się, po czym wyrzucił z siebie: – Pan Crosetti! I nagle ujrzał wyraźnie w myślach znak w oknie zakładu fryzjerskiego, napis, który dostrzegł przebiegając, ale go nie zobaczył:

ZAMKNIĘTE Z POWODY CHOROBY

– Pan Crosetti! – powtórzył, po czym dodał szybko... – On... nie żyje! – Co takiego...? Fryzjer? – Fryzjer? – powtórzył jak echo Jim. – Widzi pani moje włosy? – Will odwrócił się, drżący, unosząc dłoń ku głowie. – To on je ostrzygł. Właśnie przed chwilą przeszliśmy koło jego zakładu. W oknie widniał napis, a ludzie powiedzieli nam... – Co za szkoda! – Panna Foley wyciągnęła rękę, przyzywając do siebie nieznanego. – Chłopcy, to jest Robert, mój siostrzeniec z Wisconsin. Jim wyciągnął rękę. Siostrzeniec Robert przyjrzał się jej uważnie. – Czemu tak na mnie patrzysz? – spytał. – Wyglądasz jakoś znajomo – odparł Jim. Jim! – wrzasnął w duchu Will. – Zupełnie jak mój wujek – dodał jego przyjaciel, spokojny i opanowany. Siostrzeniec zerknął na Willa, który uparcie wpatrywał się w podłogę, lękając się, że chłopak dostrzeże, jak oczy wirują mu w rytm zapamiętanego tańca karuzeli. Nagle szaleńczo zapragnął zanucić odgrywaną do tyłu melodię. No już, pomyślał, staw mu czoło. Spojrzał wprost na chłopaka.

I poczuł, jak podłoga ugina mu się pod nogami, bowiem choć widział przed sobą różową maskę

na święto duchów, przedstawiającą twarz małego ślicznego chłopca, w masce owej ziały otwory, z których wзираły oczy pana Coogera – stare, prastare oczy, jaskrawe i lśniące niczym błękitne gwiazdy, których blask wędruje na Ziemię miliony lat. Z maleńkich nozdrzy wyciętych w lśniącej woskowej skorupie wydostawał się oddech pana Coogera, wilgotny lodowaty powiew. Za przegrodą białych jak lukier zębów poruszał się cukrowy język. Gdzieś poza otworami na oczy trzasnęła migawka owych owadzich źrenic; soczewki eksplodowały niczym słońca, po czym z powrotem zapłonęły łagodnym blaskiem. Obcy przybysz odwrócił wzrok w stronę Jima. Trzask. Uchwycił go, wymierzył, utrwalił, wywołał i ukrył gdzieś w ciemności. Trzask. A przecież był to tylko zwykły chłopak, stojący w przedsionku obok dwóch innych chłopców i kobiety. Przez cały ten czas Jim patrzył na niego, spokojny, nieporuszony, sporządzając własny portret Roberta. – Jedliście kolację, chłopcy? – spytała panna Foley. – Właśnie siadaliśmy do stołu. – Musimy już iść! Wszyscy spojrzeli na Willa, jakby zdumieni, że nie chce zostać tu na wieki. – Jim – wyjąkał. – Twoja mama jest sama w domu... – Jasne – odparł z wahaniem przyjaciel. – Wiem, co zrobimy. – Siostrzeniec urwał, czekając, aż zwróci na niego uwagę. Kiedy ich twarze obróciły się ku niemu, pan Cooger, ukryty wewnątrz, z bezgłośnym trzaskiem uchwycił kolejne zdjęcie, nasłuchując przez sztuczne uszy, obserwując ich czarującymi, nieprawdziwymi oczami, oblizując usta lalki szorstkim psim językiem. – Wpadnijcie potem na deser, co wy na to? – Deser? – Zabieram ciotkę Willę do lunaparku. – Chłopiec pogładził ramię panny Foley, a ta roześmiała się nerwowo. – Do lunaparku? – wykrzyknął Will, po czym zniżył głos. – Panno Foley, mówiła pani... – Mówiłam, że byłam niemądra i sama się nastraszyłam – odparła nauczycielka. – Jest sobotni wieczór. Najlepsza pora.

– Dołączycie do nas? – spytał Robert, trzymając dłoń panny Foley. – Później? – Świetnie – wykrzyknął Jim. – Jim – wtrącił Will. – Cały dzień byliśmy poza domem. Twoja mama jest chora. – Zapomniałem – Jim posłał mu spojrzenie przepelnione najczystszy jadem. Trzask. Siostrzeniec prześwietlił ich promieniami rentgena, bez wątpienia dostrzegając zimne kości, drzące w ciepłym cieple. Wyciągnął rękę. – A zatem do jutra. Spotkajmy się przy namiotach. – Świetnie! – Jim uściśnął drobną dłoń. – Do zobaczenia! – Will wyskoczył za drzwi, po czym odwrócił się, podejmując ostatnią bolesną próbę. – Panno Foley...? – Tak, Will? Proszę nie iść z tym chłopcem, pomyślał. Proszę nie zbliżać się do lunaparku. Niech pani zostanie w domu, błagam! Na głos jednak powiedział tylko: – Pan Crosetti nie żyje. Skinęła głową, wzruszona, czekając, aż się rozplacze. I gdy tak czekała, Will wywłócił Jima na zewnątrz; drzwi zatrasnęły się, przesłaniając pannę Foley i różową drobną twarz z migawkami źrenic, trzaskającymi kolejne ujęcia dwóch podenerwowanych chłopców. Kiedy zbiegali po schodach w październikowej ciemności, w głowie Willa znów zaczęła wirować karuzela, a liście nad ich głowami szeleściły i potrzaskiwały niczym frytki w oleju wiatru. Po paru krokach Will wyrzucił z siebie: – Jim, uściśnąłeś mu rękę! Panu Coogerowi! Nie zamierzasz się chyba z nim spotykać!? – To rzeczywiście pan Cooger, bez dwóch zdań. O rany, te oczy! Gdybym spotkał go dzisiaj, raz na zawsze rozstrzygnęlibyśmy całą tę sprawę. Co cię gryzie, Will? – Gryzie mnie? – Byli już na dole i przerzucając się gwałtownymi szaleńczymi szeptami zerkali ku pustym oknom, w których od czasu do czasu przemykał niewyraźny cień. Will przystanął. Nagle muzyka w jego głowie odwróciła swój bieg. Oszołomiony zmrużył oczy.

– Jim, ta melodia, którą organy wygrywały, kiedy pan Cooger stawał się coraz młodszy... – Tak? – To był "Marsz Żałobny". Grany od tyłu! – Jaki "Marsz Żałobny"? – Jaki!? Jim, Chopin napisał tylko jeden!

– Ale czemu grali go od tyłu? – Bo przecież pan Cooger maszerował coraz dalej od grobu, nie w jego stronę. Stawał się coraz młodszy, mniejszy, zamiast starzeć się i umierać. – Will, jesteś niesamowity! – Jasne, ale... – Will zeszytniał. – On tam jest. Znowu w tym oknie. Pomachaj mu. Do

zobaczenia! A teraz chodź i zacznij coś gwizdać. Tylko nie Chopina, na miłość boską! Jim pomachał. Will także. Obaj zanucili "Och, Zuzanno". Cień w wysokim oknie pożegnał ich, unosząc rękę. Chłopcy pospieszyli w dół ulicy.

Rozdział XX

W dwóch domach czekały na nich dwie kolacje. Willa skrzyczało dwoje rodziców, Jima tylko matka. Obaj zostali posłani głodni na górę. Wszystko zaczęło się o siódmej wieczór. Skończyło – o siódmej zero trzy. Drzwi trzasnęły. Szczęknęły zamki. Zegary tykały cicho. Will stał przy drzwiach. Telefon został na zewnątrz, poza jego zasięgiem. A zresztą nawet gdyby zadzwonił, panna Foley nie odpowiedziałaby. Do tej pory zdążyła już opuścić miasto... Dobry Boże. Zresztą, co by jej powiedział? Panno Foley, ten siostrzeniec nie jest siostrzeńcem? Ten chłopak to nie chłopak? Czy roześmiałaby się? Na pewno. Bowiem siostrzeniec był siostrzeńcem, chłopak chłopcem – albo przynajmniej takim się zdawał. Will odwrócił się w stronę okna. Po drugiej stronie Jim w swym pokoju stanął przez tym samym dylematem. Obaj zmagali się ze sobą. Było zbyt wcześnie, by podnieść okna i porozumieć się scenicznym szeptem. Rodzice na dole czujnie nadstawiali radary uszu. Chłopcy padli na łóżka w swych oddzielnych domach, pogrzebali pod materacami w poszukiwaniu kawałków czekolady, zachowanych na czarną godzinę i zjedli je z ponurymi minami. Zegary tykały. Dziewiąta. Dziewiąta trzydzieści. Dziesiąta. Klamka szczęknęła cicho, kiedy ojciec otworzył drzwi. Tato, pomyślał Will, wejdź. Musimy porozmawiać. Jednakże ojciec w milczeniu przeżuwał oddech, stojąc za progiem. Will wyczuwał jedynie jego wieczne zagubienie, zawsze zakłopotaną, na wpół oszołomioną twarz. Nie wejdzie, pomyślał Will. Może coś wyminąć, zmienić temat, wycofać się, owszem. Ale wejść do środka, usiąść, posłuchać? Czy kiedykolwiek tak zrobił? Albo zrobi? – Will...? Chłopak sprężył się cały. – Will – rzucił ojciec. – Uważaj. – Uważaj? – A wykrzyknęła matka, zbliżając się korytarzem. – Czy to wszystko, co zamierzasz mu powiedzieć? – A co jeszcze mógłbym rzec? – Tato ruszył na dół. – Za każdym razem, gdy podskakuje, przechodzi mnie dreszcz. Jak można połączyć dwóch tak odmiennych ludzi? On jest zbyt młody, a ja za stary. Boże, czasami żałuję, że w ogóle... Drzwi zatrzasnęły się. Tato odchodził w dal. Jego kroki dźwięczały na chodniku. Will pragnął podnieść okno i zawołać go. Nagle ojciec zagubił się, rozplątał w mroku nocy. To nie ja, nie martw się o mnie, tato, pomyślał. Teraz chodzi o ciebie. Tato, zostań! Tam nie jest bezpiecznie! Zostań! Nie krzyknął jednak. A kiedy w końcu cicho uniósł szybę, ulica była pusta. Wiedział, że to jedynie kwestia czasu, zanim w bibliotece po drugiej stronie miasta zapłonie światło. Kiedy rzeki przelewały się przez brzegi, kiedy z nieba padał ogień, jakimż cudownym miejscem była biblioteka i jej liczne sale, wypełnione książkami. Przy odrobinie szczęścia nikt by cię tam nie znalazł. Jak mogliby trafić na twój trop, skoro wędrowałeś po Tanganice w 98 roku, Kairze w 1812, Florencji w 1492!?! – ...uważaj... Co tato chciał przez to powiedzieć? Czy wyczuł woń paniki, usłyszał muzykę; czy sam zawędrował w pobliże namiotów? Nie. Nie tato, nigdy. Will cisnął szklaną kulka w okno Jima. Puk. Cisza. Wyobraził sobie przyjaciela, siedzącego samotnie w ciemności, jego oddech jarzący się w powietrzu niczym fosfor, kiedy Jim w duchu odlicza czas. Puk. Cisza. To niepodobne do Jima. Dotąd okno zawsze uchylało się, pojawiała się w nim ciemnowłosa głowa, przywabiona krzykami, sekretnymi szeptami, chichotem, rozruchami i oskarżeniami o bunt. – Jim, wiem, że tam jesteś! Puk. Cisza. Tato wyszedł do miasta. Panna Foley jest z-dobrze-wiesz-kim, pomyślał. O rany, Jim! Musimy coś zrobić! I to dziś! Rzucił ostatnią małą kulka. „puk... Pocisk zniknął w wysokiej trawie. Jim nie podszedł do okna. Dzisiaj, pomyślał Will. I przygryzając kostki dłoni położył się sztywno na łóżku.

Rozdział XXI

Powierzchnię alejki za domem pokrywał staroświecki chodnik z sosnowych desek. Leżał tam, odkąd Will sięgał pamięcią, od czasów, gdy cywilizacja bezmyślnie wylała pobocza ulic nudnym, twardym, ustępliwym betonem. Dziadek Willa, człowiek uczuciowy i impulsywny, nie miał w zwyczaju pozwalać, by jakakolwiek zmiana dokonana się bez hałasu, napiął zatem swoje mięśnie w obronie znikającego zabytku i z pomocą tuzina robotników zgromadził dobrych piętnaście metrów chodnika w alejce. Drewniany chodnik spoczął tam niczym szkielet nieznanego potwora i tak już pozostał przez długie lata, spieczony promieniami słońca i podgniły po deszczach. Zegar miejski wybił dziesiątą. Leżąc w łóżku Will uświadomił sobie, że rozmyśla o potężnym darze dziadka, pochodzącym z jakże odległych czasów. Czekał, aż chodnik przemówi. W jakim języku? Cóż... Jak powszechnie wiadomo, chłopcy nigdy nie podchodzą do drzwi, aby wezwać swych przyjaciół. Wołają ciskać grudkami ziemi o ściany, zrzucić żołędzie z dachów albo zostawiać tajemnicze liściki, uczepione do ogonów latawców, uwiązanych do parapetów na strychu. Podobnie miała się rzecz z Jimem i Willem. Jeśli zamierzali poskakać po grobach albo wrzucić przez komin zgorzkniałych sąsiadów znalezionego właśnie zdechłego kota, późną nocą jeden z chłopców wykradał się na dwór i w blasku księżyca tańczył na starym, jęczącym głucho chodniku ksylofonowy taniec. Przez lata zdołali nastroić chodnik, odrywając deskę dźwięczącą jak A i przybijając ją w innym miejscu, przesuając deskę F i mocując ją ponownie, aż w końcu chodnik przekształcił się w prawdziwy instrument – a przynajmniej taki, na jaki pozwalała pogoda i ograniczone możliwości dwóch przedsiębiorczych chłopców. Po melodii wytupywanej na deskach można było poznać cel nocnej wyprawy. Jeśli Will słyszał Jima, wystukującego mocno pierwszych siedem czy osiem nut "Way Down Upon the Swanee River", wykradał się przez okno wiedząc, że czeka ich wycieczka w świetle księżyca, z biegiem strumienia, aż do rzecznych jaskiń. Jeżeli uszu Jima dobiegał tupot przyjaciela, który

niczym oparzony pies podskakiwał na deskach w rytm melodii, przypominającej nieco "Marching Through Georgia", oznaczało to, iż śliwki, brzoskwinie bądź jabłka uprawiane za miastem dojrzały już dostatecznie, by najeść się ich do bólu brzucha.

Toteż tej nocy Will wstrzymywał oddech czekając, aby wezwała go jakaś melodia. Jaką muzykę wybierze Jim, żeby przedstawić lunapark, pannę Foley, pana Coogera lub złego siostrzeńca? Dziesiąta piętnaście. Dziesiąta trzydzieści. Cisza. Willowi nie podobała się wizja Jima, siedzącego w sypialni i myślącego – o czym? – o lustrzanym labiryncie, o tym, co tam ujrzał? A ujrzawszy, co planował dalej? Poruszył się niespokojnie. Szczególnie nie podobała mu się myśl o Jimie pozbawionym ojca, który stanąłby pomiędzy nimi a namiotami i tym wszystkim, co kryje mrok. Oraz o matce, tak bardzo pragnącej utrzymać go przy sobie, że po prostu musiał się wyrwać, wydostać, odetchnąć świeżym nocnym powietrzem, poznać swobodne mroczne wody, pędzące chyżo ku wielkim morzom wolności. Jim, pomyślał Will. Niech zabrzmie muzyka. I o dziesiątej trzydzieści za oknem rozległy się pierwsze dźwięki. Will usłyszał – a może tylko wydawało mu się, że słyszy? – Jima, który w blasku gwiazd podskakiwał gwałtownie niczym wiosenny kocur na wielkim ksylofonie. I ta melodia! Czyż nie przypominała pogrzebowej pieśni, odgrywanej przez stare karuzelowe organy? Will zaczął podnosić szybę, aby się upewnić, nagle jednak okno Jima bezszelestnie uniosło się w górę. Przyjaciel wcale nie był na chodniku. To tylko rozbiegane myśli Willa przywołały tę melodię. Will zaczął szeptać, urwał jednak nagle. Bowiem Jim bez słowa ześliznął się po rynnie. Jim, pomyślał Will. Jego przyjaciel, już na trawniku, zeszywniał, jakby usłyszał swoje imię. Nie idziesz chyba beze mnie, Jim? Jim zerknął w górę. Jeśli nawet dostrzegł Willa, nie dał tego po sobie poznać. Jim, pomyślał Will, nadal jesteśmy przyjaciółmi. Wyczuwamy zapachy, których nikt nie dostrzega,

słyszemy rzeczy, których inni nie słyszą, mamy w żyłach tę samą krew, biegamy tymi samymi szlakami, a teraz, po raz pierwszy wymykasz się sam! Beze mnie! Jednakże podjazd był pusty. Jim przemykał się obok żywopłotu niczym salamandra. Will bez wahania wysliznął się przez okno, zjechał po kracie i przemknął przez żywopłot. Dopiero wtedy pomyślał: ja też jestem sam. Jeśli zgubię Jima, znajdę się samotnie nocą poza domem. Dokąd w ogóle zmierzam? Tam, dokąd pójdzie Jim. Boże, spraw, abym dotrzymał mu kroku. Jim śmigał naprzód niczym czarna sowa w pościgu za myszą. Will biegł za nim susami jak bezbronny myśliwy, obserwujący sowę. Ich cienie żeglowały naprzód po morzu paździenikowych trawników. A kiedy przystanąli... Ujrzeni przed sobą dom panny Foley.

Rozdział XXII

Jim obejrzał się przez ramię. Will zamarł niczym krzak pośród krzaków, cień wśród cieni; jego oczy, dwie szklane kulki błyszczące w blasku gwiazd, pochwyciły widok przyjaciela, wołającego szeptem w stronę okien na piętrze. – Hej tam... hej... O jejku, pomyślał Will, on chce, żeby rozpruto mu brzuch i napchano go potłuczonym szkłem z lustrzanego labiryntu. – Hej! – powtórzył szeptem Jim. – Ty! Na oświetlonej słabym blaskiem rolecie pojawił się cień. Drobnym cieniem. Najwyraźniej siostrzeniec przyprowadził pannę Foley do domu. Każde z nich znalazło się już w swojej sypialni

albo... O Boże, pomyślał Will, mam nadzieję, że bezpiecznie wróciła do domu. Może jak sprzedawca piorunochronów ona też... – Hej...! Jim spoglądał w górę z owym zabawnym wyrazem twarzy, zdradzającym szaleńcze wyczekiwanie. Will często widywał go u przyjaciela letnimi wieczorami przy oknie cienistego Teatru w domu kilka przecznic dalej. Spoglądając w górę z miłością i czułością niczym kot, Jim czekał, aż pojawi się ta szczególnie ciemna mysz. Przygarbiony, z każdą chwilą wydawał się coraz wyższy, jakby istota w oknie na górze, która nagle zniknęła, pociągnęła za sobą jego kości. Will zazgrzytał zębami. Czuł, jak cień przemyka przez dom niczym chłodny oddech. Nie mógł czekać dłużej. Wyskoczył naprzód. – Jim! Złapał ramię przyjaciela. – Will, co ty tu robisz? – Jim, nie rozmawiaj z nim! Chodźmy stąd! Jak rany, pożre cię i wypluje twoje kości. Jim uwolnił się szarpnięciem. – Will, wracaj do domu. Wszystko zepsujesz. – On mnie przeraża, Jim. Czego od niego chcesz? Tego popołudnia... w labiryncie, widziałeś coś?! – ...tak... – Jak rany, co to było?! Will złapał Jima za koszulę i poczuł, jak serce przyjaciela tłucze się o żebra. – Jim... – Puść mnie – powiedział Jim z przerażającym spokojem. – Jeśli się dowie, że tu jesteś, nie wyjdzie. Willy, jeżeli mnie nie puścisz, zapamiętam to sobie, kiedy... – Kiedy co? – Kiedy dorosnę, do diaska, dorosnę! Jim splunął. Will odskoczył jak trafiony piorunem. Spojrzał na swoje puste ręce i uniósł jedną, aby otrzeć ślinę z policzka. – Och, Jim – westchnął z żalem. Nagle usłyszał karuzelę, ślizgającą się na czarnych wodach nocy i wirującą w mroku, i ujrzał Jima, dosiadającego czarnego ogiera, galopującego w dal, krążącego wśród cieni, rzucanych przez drzewa. Zapragnął wykrzyknąć "Uważaj! Karuzela! Chcesz, żeby ruszyła naprzód, prawda, Jim? Naprzód! Nie w tył! A ty zamierzasz jej dosiąść: jeden obrót i masz piętnaście lat, następny – szesnaście, jeszcze trzy razy – dziewiętnaście; muzyka – masz dwadzieścia lat! Zsiadasz stamtąd, wysoki i silny, ale już nie jesteś Jimem, trzynastolatkiem tuż przed kolejnymi urodzinami, stojącym na pustej alejce obok mnie – małego, młodego, zalęknionego!" Will zamachnął się i wymierzył Jimowi mocną fangę w nos. Następnie skoczył na niego, złapał w żelazny uchwyt i z krzykiem powalił w krzaki. Klepnął dłonią usta przyjaciela i wepchnął w nie palce, nie zważając na zaciskające się szczęki i wściekłe wrzaski. Frontowe drzwi otworzyły się. Will przygniótł Jima do ziemi, wyciskając powietrze z jego płuc i zamykając mu usta. Ktoś stanął na werandzie. Niewielki cień przebiegł wzrokiem miasto w poszukiwaniu Jima. Nie znalazł go jednak. Był to tylko chłopiec, Robert, przyjazny siostrzeniec. Z

rękami w kieszeniach ruszył od niechcenia naprzód, pogwizdując pod nosem, aby odetchnąć nocnym powietrzem tak jak każdy chłopiec, jak wszyscy chłopcy spragnieni przygód, które muszą sami sobie znaleźć, bowiem rzadko przytrafiają się one byle komu. Poobijany, zamknięty w śmiertelnym uścisku, złączony z Jimem, Will spojrział w górę i wstrząśnięty ujrzał przed sobą zwyczajnego chłopca – beztroskie spojrzenie, nonszalancką pozę, drobną spokojną postać, w której wnętrzu, w świetle latarni, nie dostrzegł ani śladu dorosłego mężczyzny. W każdej chwili Robert krzyżąc donośnie mógł skoczyć ku nim, by dołączyć do zabawy, splatając nogi, blokując ręce, walcząc i prychnając niczym majowe szczytęta. I wszystko skończyłoby się, kiedy cała trójka, rozbawiona do łez, spoczęłaby na trawie, zużywszy całe zapasy grozy i rozpuściwszy swój strach w kroplach rosy. Ich marzenia o niczym zniknęłyby, jak to mają we zwyczaju sny, gdy powieki unoszą się gwałtownie. Istotnie bowiem widział przed sobą siostrzeńca o okrągłej przyjaznej twarzy, gładkiej i jasnej niczym brzoskwinia. Robert uśmiechnął się do dwóch chłopców, których dostrzegł, splecionych w uścisku na trawie. Nieoczekiwanie zawrócił i śmignął do domu. Musiał wbiec na górę, rozejrzeć się szybko i z powrotem popędzić na dół, bowiem nagle, podczas gdy dwaj chłopcy zmagali się ze sobą, próbując uzyskać przewagę w zapasach, walce i złości, na trawnik spadł istny deszcz brzęczących złocistych iskerek. Siostrzeniec przechylił się przez poręcz werandy i miękko niczym pantera wylądował na trawie, spowity w obłok cienia. W jego dłoniach lśniły gwiazdy, które szciodrze, szerokim gestem, rozsypywał wokół. Iskierki śmignęły w powietrzu, rzucając jasne błyski i mrugając u boku Jima. Obaj chłopcy leżeli jak skamieniali, czując na sobie deszcz złocistego brylantowego ognia. – Na pomoc! Policja! – krzyknął Robert. Will był tak wstrząśnięty, że wypuścił Jima. Jim był tak wstrząśnięty, że wypuścił Willa. Obaj jednocześnie sięgnęli po chłodne, rozsypane wokół lodowate krople. – O rany! Bransoletka! – Pierścionek! Naszyjnik! Robert wymierzył solidnego kopniaka dwóm kubłom, stojącym przy krawężniku. Pojemniki runęły z hukiem. Nad ich głowami zapłonęło światło w sypialni. – Policja! – Robert cisnął ostatnią falę świecidełek wprost pod nogi dwóch przyjaciół. Na jego brzoskwiniowej twarzy wykwitł nowy uśmiech, przesłaniając eksplozję uczuć, zamykając ją gdzieś, w głębi. Odwrócił się i śmignął w dół ulicy. – Zaczekaj! – Jim zerwał się z ziemi. – Nie zrobimy ci krzywdy. Will podstawił mu nogę; Jim upadł. Okno na górze otwarło się. Wyrzała z niego panna Foley. Jim, klęcząc na trawie, obracał w dłoni damski zegarek. Will przyglądał się trzymanemu w rękach naszyjnikowi. – Kto tam? – krzyknęła. – Jim? Will? Co wy tam macie? Lecz Jim już biegł. Will zatrzymał się dostatecznie długo, by ujrzeć jak okno pustoszeje z jękiem – to panna Foley cofnęła się, aby obejrzeć swój pokój. Kiedy usłyszał donośny krzyk, zrozumiał, że odkryła kradzież. Pędząc naprzód wiedział, że robi dokładnie to, czego chciał siostrzeniec. Powinien zawrócić, pozbierać biżuterię i wyjaśnić panie Foley, co się stało. Ale musiał przecież uratować Jima! W dali za sobą usłyszał nowe krzyki: panny Foley żądającej, by zapalić więcej świateł. Will Halloway! Jim Nightshade! Nocni biegacze! Złodzieje! To my, pomyślał Will. O mój Boże, to my! Od tej pory nikt już nie uwierzy w ani jedno nasze słowo, ani o lunaparku, ani o karuzeli, o lustrach czy złym siostrzeńcu. O czymkolwiek! Biegli dalej, trzy stworzenia, skąpane w blasku gwiazd. Czarna wydra. Kocur. Królik. To ja, pomyślał Will, ja jestem królikiem. Był też biały i ogromnie zalękniony.

Rozdział XXIII

Wpadli na teren lunaparku z prędkością dobrych trzydziestu kilometrów na godzinę, plus minus jeden kilometr; siostrzeniec prowadził, Jim pędził tuż za nim, a Will nieco dalej, czując gwałtowne wybuchy znużenia w stopach, sercu, głowie.

Siostrzeniec najwyraźniej zaczynał się bać. Obejrzał się za siebie, bez niedawnego uśmiechu.

Przechytrzyliśmy go, pomyślał Will. Sądził zapewne, że zostanie, że wezwę policję, a oni zatrzymają mnie i nie uwierzą moim słowom albo że sam się ukryję. Teraz lęka się, że zleję go na kwaśne jabłko i chce wskoczyć na karuzelę, aby stać się starszy i silniejszy ode mnie. Och Jim, Jim, musimy go powstrzymać, sprawić, by pozostał młody, złożyć mu skórę!

Jednakże po kroku Jima zorientował się, że przyjaciel w niczym mu nie pomoże. Jim nie ścigał siostrzeńca – biegł, zwabiony wizją darmowych przejażdżek.

Siostrzeniec zniknął za rogiem namiotu, Jim pobiegł za nim jak cień. Kiedy Will wpadł na wysypaną trocinami alejkę, karuzela już ożyła. Przy wtórze pulsującej, hałaśliwej, piskliwej muzyki drobny siostrzeniec o gładkiej twarzy skoczył na wielką platformę, otoczoną tumanem nocnego kurzu.

Jim, parę kroków za nim, bez słowa obserwował skaczące konie. Jego oczy krzeszały iskry w ciemnych źrenicach wyniosłego ogiera. Karuzela kręciła się naprzód! Jim nachylił się ku niej. – Jim! – krzyknął Will. Siostrzeniec zniknął im z oczu, uniesiony przez maszynę. Kiedy pojawił się znowu, wyciągnął ku nim różowe palce, rzucając cicho, nagłaco: – ...Jim...? Jim przesunął się o krok. – Nie! – Will skoczył naprzód. Zachwiał się na nogach, chwytając przyjaciela. Przez moment obaj usiłowali zachować równowagę, w końcu jednak runęli na ziemię. Siostrzeniec, zaskoczony, zniknął w ciemności. Starszy o rok, pomyślał Will, o cały świat, o rok wyższy, większy, groźniejszy! – O Boże, Jim, szybko! – zerwał się na nogi, podbiegł do skrzynki kontrolnej, kryjącej w sobie złożone tajemnice mosiężnej dźwigni, porcelanowej osłony i iskrzących drutów. Mocno uderzył w przełącznik. Lecz Jim, stojący tuż za nim, złapał go za rękę, mamrocząc pod nosem. – Will, zepsujesz to! Nie! Błyskawicznym ruchem pchnął przełącznik z powrotem na miejsce. Will odwrócił się i wymierzył Jimowi siarczasty policzek. Obaj złapali się za łokcie, zakołysali, stracili równowagę i runęli – wprost na skrzynkę kontrolną. Will ujrzał starszego o rok złego chłopca, ponownie wślizgującego się w mrok. Jeszcze pięć, sześć okrążeń i będzie większy niż oni dwaj razem wzięci. – Jim, on nas zabije! – Nie mnie, nie! Will poczuł ukłucie elektryczności i wrzasnął. Cofnął się i uderzył dźwigienkę przełącznika. Skrzynka kontrolna fuknęła głośno. Ku niebu wzleciała jaskrawa błyskawica. Jim i Will, ogłuszeni wybuchem, leżeli na ziemi patrząc, jak karuzela zaczyna szaleć. Zły chłopiec przemknął obok nich, przywierając do mosiężnego pręta. Zaklął i splunął, zmagając się z wiatrem i siłą odśrodkową. Próbował przepchnąć się między konikami i prętami ku krawędzi karuzeli. Jego twarz pojawiała się i zniknęła, pojawiała się i zniknęła. Ze skrzynki kontrolnej trysnął snop błękitnych iskier. Karuzela skoczyła naprzód. Siostrzeniec pośliznął się i upadł. Stalowe kopyto czarnego ogiera trafiło go prosto w skroń, na której wykwitło krwawe piętno. Jim syknął, szarpnął się rozpaczliwie i przeturlał na bok, lecz Will nie ustępował, przygniatając go do ziemi, odpowiadając wrzaskiem na wrzask. Obaj byli bladzi ze strachu; ich serca waliły ja oszalałe. Elektryczne wyładowania z przełącznika rozbłyskiwały niczym białe gwiazdy w powodzi fajerwerków. Karuzela wirowała. Trzydzieste okrążenie, czterdzieste. – Will, puszczaj! Pięćdziesiąte. Organy skowyczały, wypuszczając z siebie kłęby rozgrzanej pary, aż w końcu wyschły i umilkły. Klawisze wystukiwały bełkotliwą melodię, przez otwory w puszczalkach wydobywał się jedynie cichy, gasnący świergot. Nad zlanymi potem chłopcami rozbłyskiwały pioruny, niecąc ogień wśród milczącego końskiego stada i oświetlając mu drogę, ciągle naprzód i naprzód, i dookoła. Postać leżąca na platformie nie była już chłopcem, lecz mężczyzną. Nie, nie mężczyzną, ale czymś więcej, znacznie więcej, znacznie, znacznie więcej. Dokoła, dokoła. – On, on, och, spójrz, Will, on... – wykrztusił Jim i zaczął płakać, ponieważ tylko to mu pozostało. Tkwił bez ruchu w uścisku przyjaciela, przygwożdżony do ziemi. – O Boże, Will, wstawaj! Musimy odwrócić jej bieg. W namiotach rozbłysły światła. Ale nikt nie wyszedł. Czemu nie? – pomyślał oszalały Will. Z powodu wybuchu? Burzy elektrycznej? Czy dziwolągi sądzą, że cały świat zbiegnie się do lunaparku? Gdzie

jest pan Dark? W mieście? Knuje coś ukradkiem? Co, gdzie, dlaczego? Wydało mu się, że słyszy, jak szaleńczo tłukące się serce skulonej z bólu postaci, rozciągniętej na platformie karuzeli przyspiesza i zwalnia, gwałtownie przyspiesza i znów zwalnia, tętni z niewiarygodną szybkością, po czym ustaje niczym księżyc zniżający się na niebie białą zimową nocą. Ktoś, coś na karuzeli jęknęło cicho. Dzięki Bogu, jest ciemno, pomyślał Will. Dzięki Bogu, ktoś zniknął, pojawiło się coś, a teraz i ono także odchodzi. No już... No już... Cień spoczywający na rozdygotanej platformie maszyny usiłował dźwignąć się na nogi, ale było już późno, późno, jeszcze później, bardzo późno, najpóźniej, och, jak bardzo późno. Mroczna postać runęła na ziemię. Karuzela wirowała jak ziemia, odbierając mu powietrze, słońce, rozagę i romantyczność, pozostawiając jedynie mrok, chłód i starość. W ostatnim spazmie skrzynka kontrolna rozpadła się na kawałki. Wszystkie światła w lunaparku nagle zgasły. Karuzela, owiana chłodnym nocnym wiatrem, zwolniła biegu. Will wypuścił Jima. Ile okrążeń wykonała, zastanawiał się Will. Sześćdziesiąt, osiemdziesiąt... dziewięćdziesiąt...? Ile razy? – pytała twarz Jima, potwornie wykrzywiona, obserwująca martwą karuzelę, która zadygotała po raz ostatni i zatrzymała się wśród martwych traw. Zastygły w bezruchu świat nie krył w sobie niczego, co ich serca, dłonie czy umysły mogły odesłać w przeszłość. Podeszli powoli do karuzeli. Ich buty szeptały w trawie. Cienista postać leżała nie opodal krawędzi, na deskach, z obróconą twarzą. Jedna dłoń zwisała z platformy. Nie należała do chłopca. Wyglądała jak wielka woskowa ręka, skurczona w ogniu. Włosy mężczyzny były długie, cienkie, białe. Każdy oddech nocy unosił je wokół głowy niczym najłżejszy puch. Schylili się, aby zobaczyć twarz. Oczy zastygły zamknięte. Chrzastki nosa zapadły się. Usta przypominały zniszczony biały kwiat, którego wykrzywione płatki tworzyły cienką woskową osłonę ponad zaciśniętymi zębami. Spomiędzy szczęk wylewały się słabe bełkotliwe odgłosy. Mężczyzna był zbyt drobny na swoje ubranie, mały jak dziecko, lecz wysoki, napięty i stary, tak bardzo stary... Nie miał dziewięćdziesięciu czy stu lat, o nie, nawet nie sto, ale sto dwadzieścia, może sto pięćdziesiąt. Will dotknął go. Mężczyzna był zimny niczym martwa biała żaba. Roztaczał wokół siebie woń księżycowych pastwisk i starych egipskich bandaży. Wyglądał jak rzeczy, które można obejrzeć w muzeum, owinięte w przesiąknięte nikotyną płótna, bezpiecznie zamknięte za szkłem. Jednak mężczyzna żył, zwinięty w ciasny kłębek. Na ich oczach skulił się w oczekiwaniu śmierci. Will zwymiotował z boku karuzeli. A potem, wpadając na siebie nawzajem, Jim i Will rzucili się pędem naprzód, miażdżąc pod nieczułymi stopami oszalałe liście, niewiarygodną trawę i niematerialną ziemię lunaparku. Biegli obok siebie, alejką w stronę miasta.

Rozdział XXIV

Ćmy objały się z trzaskiem o wysoką, skrytą pod metalowym kołpakiem latarnię, kołyszącą się samotnie nad skrzyżowaniem. W dole, na porzuconej stacji benzynowej, pośrodku wiejskiej głuszy rozległ się kolejny cichy trzask. Do budki telefonicznej wielkości trumny wcisnęło się dwóch pobladyłych chłopców, rozmawiających z ludźmi zagubionymi gdzieś po drugiej stronie wzgórz. Za każdym razem, gdy w dali pisnął nietoperz albo któraś z chmur na moment przesłoniła gwiazdy, przerażeni chłopcy chwyтали się za ręce. Will odwiesił słuchawkę. Policja i karetka były już w drodze. Z początku Jim i on zaczęli klócić się szeptem, wędrując na osłabłych nogach. Powinni wrócić do domu, zasnąć, zapomnieć – nie! Lepiej wskoczyć do pociągu towarowego, zmierzającego na zachód – także nie! Bowiem jeśli pan Cooger przeżył to, co mu uczynili, ów starzec, najstarszy ze starców, podaży za nimi i będzie ich ścigał po całym świecie, aż w końcu rozedrze ich na strzępy. Wstrząsani dreszczami, dotarli w końcu do budki telefonicznej, a teraz ujrzeli radiowóz policyjny podskakujący na drodze do wtóru jęczącej syreny. Tuż za nim jechała karetka. Mężczyźni spojrzeli na dwóch chłopców, szczękających donośnie zębami. Na ich twarzach tańczyły drobne cienie ciem. Trzy

minuty później wszyscy zmięli w głąb ciemnej jalejki. Jim prowadził, cały czas mamrocząc pod nosem. – On żyje. Musi żyć. Nie chcieliśmy tego zrobić! Przepraszamy! – Spojrzał na czarne namioty. – Słyszycie? Przepraszamy! – Spokojnie, chłopcze – rzucił jeden z policjantów. – Idź dalej. Dwaj stróże prawa w granatowych mundurach, dwóch pielęgniarzy, przypominających duchy i dwaj chłopcy skręcili po raz ostatni, mijając diabelski młyn, i dotarli do karuzeli. Jim jęknął. Konie wierzgały w nocnym powietrzu, zastygłe w pół skoku. Światło gwiazd migotało, odbijając się od mosiężnych prętów. To wszystko. – Zniknął... – Był tutaj, przysięgamy! – powiedział Jim. – Miał sto pięćdziesiąt, dwieście lat i umierał. – Jim – upomniał go Will. Czterej mężczyźni poruszyli się niespokojnie. – Musieli odnieść go do namiotu – Will ruszył naprzód. Policjant złapał go za łokieć. – Powiedziałeś: stu pięćdziesięcioletni? – spytał Jima. – A czemu nie trzystuletni? – Może rzeczywiście! O Boże – Jim odwrócił się, krzycząc: – Panie Cooger, sprowadziliśmy pomoc! W namiocie dziwołagów zamrugały światła. Wielkie proporce przy wejściu załopotały, gdy rozbłysły nad nimi latarnie. Policjanci unieśli wzrok. CZŁOWIEK SZKIELET, PYŁOWA WIEDZMA, SIŁACZ, WEZUWIO PIJĄCY LAWĘ. Wielkie napisy wymalowane na osobnych chorągwiach tańczyły w powietrzu. Jim przystanął przy wejściu. – Panie Cooger? – zawołał błagalnie. – Jest pan tam? Klapy namiotu wypuściły z siebie chmurę ciepłego powietrza. – Co takiego? – spytał policjant. Jim spojrział na nie, odczytując ich mowę. – Mówią "tak". Mówią "wejdźcie". Posłuchał. Pozostali ruszyli w ślad za nim. Wewnątrz, mrużąc oczy, rozejrzeli się, dotrzymując skryte wśród cieni masztów wysokie platformy dziwołagów, na których czekały zebrane z całego świata istoty o okaleczonych twarzach, kościach bądź umysłach. Nie opodał przy rozklekotanym stole czterech mężczyzn grało w pomarańczowe, jaskrawozielone i żółte jak słońce karty, na których przedstawiono księżycowe bestie i słonecznych ludzi-gwiazdy. Najbliżej rozparł się Szkielet, na którym można by grać jak na flecie; dalej Balon – co noc przedziurawiany, o świcie zawsze nadymał się na nowo; dalej karzeł zwany Brodawką, którego dałoby się nadać pocztą w charakterze niewielkiej taniej paczki, a przy nim jeszcze mniejszy wybryk czasu i komórek, Krasnal, tak drobny i przycupnięty w tak dziwny sposób, że zza kart zaciśniętych w powykręcanej artretyzmem dłoni nie widać było twarzy. Krasnal! Will spojrział na niego zdumiony. Coś w tych rękach wydało mu się znajome. Kto to był? Co? Dlaczego? Lecz jego wzrok nadal wędrował po namiocie. Oto Monsieur Guillotine – ubrany w czarne spodnie, długie czarne pończochy, z głową ukrytą pod czarnym kapturem i ramionami splecionymi na piersiach stał obok swej groźnej maszyny, której ostrze wznosiło się wysoko na tle materii

namiotu, zgłodniały nóż połyskujący niczym meteor, pragnący ze świstem przeciąć powietrze. Poniżej z uchwytu sterczała głowa manekina oczekująca śmierci. Niedaleko zastygł Siłacz, same liny i ścięgna, stal i żelazo, miażdżący kości, łamiący szczęki, rozciągający podkowki. A tam ujrzeli Pijącego Lawę, Wezuwia o obtartym języku i poparzonych zębach, który posyłał w górę dziesiątki ognistych kul, z sykiem płomieni wirujących w powietrzu i śmigających w mroku pod sufitem. Niedaleko kolejnych trzydzieści dziwołagów obserwowało latające ognie ze swych budek, póki Pijący Lawę nie odwrócił się, nie ujrział intruzów i nie porzucił stworzonego przez siebie wszechświata. Miniaturowe słońca zatoneły w wannie. W powietrze wzniosły się obłoki pary. Wszyscy zamarli. Jakiś owad przestał bzyzczeć. Will rozejrzał się szybko. I tam, na największej scenie, z igłą do tatuażu tkwiącą niczym strzałka w pokrytej różami dłoni, stał pan Dark, Człowiek Ilustrowany. Jego ciało pokrywały dziesiątki obrazków. Obnażony do pasa nakłuwał sam siebie, dodając kolejny wzór do swej lewej dłoni, urządzeniem przypominającym ważkę. Teraz, kiedy owad w jego palcach ucichł, mężczyzna obrócił się, zaś Will, spoglądając za niego, wykrzyknął: – Tam jest! Tam jest pan Cooger! Policjanci i pielęgniarze ożywili się gwałtownie. Za plecami pana Darka

tkwiło krzesło elektryczne. Zniszczony, zrujnowany człowiek, którego po raz ostatni widzieli jęczącego bezwładnie, leżącego na zepsutej karuzeli niczym stos kości i lśniącego białego wosku siedział wyprostowany, przypięty do urządzenia przepelnionego mocą

błyskawic. – To on! On... umierał. Balon uniósł się na nogi. Wysoki Szkielet zawirował w miejscu. Brodawka podskoczył w trocinach niczym wielka pchła. Krasnal upuścił karty i wyrócił swymi na wpół oszalałymi, na wpół zidiociałymi oczyma. Znam go, pomyślał Will. O Boże, co oni mu zrobili? Sprzedawca piorunochronów! To przecież on! Ściśnięty, skurczony, zmiażdżony, przekształcony potworną mocą, wykrzywiony okrucieństwa... Sprzedawca piorunochronów. W tym momencie jednak zdarzyły się dwie rzeczy, następując

po sobie z godną podziwu punktualnością. Monsieur Guillotine odchrząknął, i ostrze lśniąca na tle płóciennego nieba śmignęło jak jastrząb, opadający ku swej ofierze. Szmer, świst, jęk, grzmot – huk! Odrąbana głowa manekina potoczyła się naprzód. Przez moment wyglądała jak głowa Willa, jego twarz, zniszczona, odcięta. Pragnął ją podnieść, sprawdzić, czy istotnie ma jego rysy. A jednocześnie tego nie chciał. Kto ośmieliłby się uczynić coś podobnego? Nigdy, nawet przez miliard lat nie zdołałby opróżnić wiklinowego kosza. Wówczas wydarzyła się druga rzecz. Mechanik pracujący na tyłach stojącej pionowo kabiny, przypominającej trumnę ze szklanym wiekiem, uwolnił napięty drut. To sprawiło, że w maszynierii pod szyldem "Mille Tarot, Pyłowa Wiedźma" zaskoczyło ostatnie kółko zębate. Woskowa figura kobiety, zamknięta w szklanej skrzyni, skłoniła głowę i skierowała ku chłopcom swój długi szpiczasty nos, kiedy mijali ją prowadząc mężczyzn. Chłodna woskowa dłoń poruszyła Pył Przeznaczenia na półeczce wewnątrz trumny; jej oczy nie widziały; zasnuwała je pajęczyna, dzieło czarnej wdowy, niezliczone ciemne nici. Wiedźma była prawdziwym woskowym straszidłem. Oglądający ją policjanci rozpromienili się, po czym ruszyli dalej, posyłając Monsieur Guillotine'owi szerokie uśmiechy w podziękę za jego sztukę. Obaj wyraźnie się odprężyli, jakby nie mieli już za złe tego, że wezwano ich tak późno na wesołą wyprawę w świat akrobatów i domorosłych magików. – Drodzy panowie – pan Dark i tłum jego ilustracji ruszył naprzód po sosnowej platformie. Pod każdym ramieniem mężczyzny wyrastała dzungla, na bicepsach wiły się egipskie kobry. – Witajcie. Zdażyliście akurat na czas. Wszyscy wypróbujemy nasze nowe sztuczki – pan Dark pomachał ręką i dziwne potwory na jego piersi wyszczerzyły kły. Cyklop, którego kretyńskie zmrużone oko było jednocześnie pępkiem pana Darka, poruszył się na jego brzuchu, wtórując każdemu krokowi. Boże, pomyślał Will, czy on prowadzi ten tłum ze sobą? A może to obrazki pociągają go za skórę? Will poczuł, jak dziwolągi, przycupnięte na wszystkich trzeszczących platformach wśród poruszonych szarych trocin, obracają się niczym zakłete, patrzą na swego przywódcę, podobnie jak pielęgniarze i policjanci, obserwując ilustrowane skupisko ludzi, które w jednym wspólnym ruchu dominowało nad otoczeniem wypełniając powietrze namiotu milczącymi okrzykami, domagającymi się uwagi. Teraz zaś część owej wyklutej ważkowatą igłą społeczności przemówiła. Głos pana Darka zabrzmiał donośnie, zagłuszając kaligraficzną eksplozję, pokrywającą jego spoconą skórę. Z głębi jego piersi dobiegły pierwsze dźwięki organów. Jaskrawobłękitni mieszkańcy skóry pana Darka zadrżeli, podobnie jak prawdziwe dziwolągi, skulone na wysypanej trocinami podłodze. Głos mężczyzny odbił się echem w ciałach Jima i Willa, przenikając je aż do szpiku kości. Chłopcy zadygotali; w tej chwili czuli się potworniejsi niż najstraszniejsze potworki. – Panowie! Chłopcy! Właśnie doszlifowaliśmy nowy numer. Obejrzycie go jako pierwsi! – krzyknął pan Dark. Pierwszy policjant, z dłonią spoczywającą nonszalancko na rękojeści pistoletu, mrużąc oczy spojrział na roztańczone zgromadzenie stworów i ludzi. – Ten chłopiec powiedział... – Powiedział?! – Człowiek Ilustrowany roześmiał się krótko. Dziwolągi podskoczyły w oszalałym tańcu, po czym znieruchomiały, gdy właściciel lunaparku przemówił

ponownie, łagodnym, kojącym tonem, poklepując i uspokajając swe własne ilustracje, co w jakiś sposób uciszyło też zebrane w namiocie istoty. – Powiedział? Ale co on widział? Chłopcy zawsze wpadają w popłoch w lunaparku, nieprawdaż? Uciekają jak króliki, gdy tylko dziwolągi wystawią głowy ze swych kryjówek. A szczególnie dziś wieczór. Policjanci obejrzeni się na figurę z papier mache, uwięzioną na krześle elektrycznym. – Kto to? – On? – Will dostrzegł, jak w zasnutych dymem oczach pana Darka rozbłyska płomień, natychmiast stłumiony. – Nasz nowy nabytek, Pan Electrico.

– Nie! Spójrzcie na tego starca! Patrzcie! – krzyknął Will. Policjanci odwrócili głowy, zerkając ciekawie na źródło demonicznego krzyku. – Nie widzicie? – rzucił Will. – On nie żyje! Jedyne, co podtrzymuje go w tym fotelu, to rzemienie. Pielęgniarsze spojrzeli na starca – wielki płatek śniegu, ciśnięty na czarne krzesło i utulony w jego ramionach. O rany, pomyślał Will, zdawało się nam, że wszystko będzie takie proste. Ten starzec, pan Cooger, umiera, więc sprowadzamy mu lekarza, by go ocalić, a on nam wybacza i może lunapark nie robi nam krzywdy, puści nas wolno. Ale teraz? Co będzie dalej? On nie żyje! Jest już za późno! Wszyscy nas nienawidzą! I Will stał tak pośród innych, czując falę zimna otaczającą tę starożytną mumię, chłód promieniujący z lodowatych ust i oczu, widocznych pod zamrożonymi powiekami. Wewnątrz złodowaciałych nozdrzy nie poruszył się nawet jeden włos. Żebra pana Coogera, skryte pod zbyt obszerną koszulą, były sztywne jak kamień, a jego zęby pod gliniastymi wargami ziały chłodem niczym suchy lód. Gdyby wystawić go na dwór w południe, uniosłaby się z niego mgła. Pielęgniarsze popatrzyli po sobie, po czym obaj skinęli głowami. Widząc to, policjanci postąpili krok naprzód. – Panowie! Dłoń pana Darka niczym tarantula śmignęła w stronę mosiężnej tablicy rozdzielczej. – Za chwilę sto tysięcy woltów przesyje ciało pana Electrico! – Nie, nie pozwólcie mu! – krzyknął Will. Policjanci postąpili kolejny krok. Sanitariusze otwarli usta, by coś powiedzieć. Pan Dark posłał Jimowi wymowne spojrzenie. – Nie! – krzyknął chłopak. – Wszystko w porządku! – Jim! – Will, spokojnie, wszystko będzie dobrze. – Cofnijcie się! – Pająk ścisnął z całych sił przełącznik. – Ten człowiek jest pogrążony w transie! W ramach naszego nowego numeru zahipnotyzowałem go! Gdybyście go obudzili, mógłby zrobić sobie krzywdę. Pielęgniarsze zamknęli usta, policjanci zatrzymali się w pół kroku. – Sto tysięcy wolt! A jednak wyjdzie z tego żywy! Zdrów na ciele i umyśle! – Nie! Jeden z policjantów złapał Willa. Człowiek Ilustrowany i wszyscy ludzie i bestie pokrywający jego ciało pochwycili wyłącznik i pchnęli go. Światła w namiocie nagle zgasły. Policjanci, pielęgniarsze, chłopcy – wszyscy podskoczyli niczym wóz na kocich łbach lub pokrywka na gotującym się garnku. Teraz, w mroku nadchodzącej północy, krzesło elektryczne stało się paleniskiem, na którym starzec płonął niczym jesienne błękitne drzewko. Policjanci cofnęli się gwałtownie, sanitariusze wystąpili naprzód, podobnie jak dziwolągi, w których oczach płonął błękitny ogień. Człowiek Ilustrowany z ręką przyklejoną do przełącznika spojrzął na starego, tak bardzo starego mężczyznę. Sam starzec był martwy jak kamień, owszem, ale spowijała go żywa elektryczność. Prądy tańczyły na uszach zimnych niby muszle, migotały w głębokich niczym puste kamienne studnie nozdrzach; błękitne węgorze mocy wiły się na modliszkowych dłoniach i suchych owadzych kolanach. Wargi Człowieka Ilustrowanego rozwarły się szeroko – może nawet coś krzyczał, ale nikt nie był w stanie go usłyszeć w ogłuszającym syku, skowycie, ryku i skwierczeniu mocy, która spowijała mężczyznę i więżący go fotel. Ożyj! – krzyczał trzask. Ożyj! – nawoływały szalejące barwy i światła. Ożyj! – wrzeszczały usta pana Darka, lecz nikt nie usłyszał jego okrzyku oprócz Jima, który czytał z ruchów warg – w jego umyśle słowa te zabrzmiały donośnie niczym grom – i Willa, czyniącego to samo. Ożyj! – powtarzał właściciel lunaparku, nakazując starcowi, aby wrócił do życia, poruszył się, odetchnął, aby w jego żyłach zaczęła krążyć krew, w ustach pojawiła się ślina, umysł uwolnił się z okowów, woskowa dusza stopniała... – On jest martwy! – Jednakże Willa także nikt nie usłyszał, nieważne, jak usilnie

starał się wznieść swój głos ponad ryk błyskawic. Żyj! Pan Dark oblizwał usta, napawając się tym słowem. Żyj. Ożyj. Pchnął przełącznik na najdalszą pozycję. Żyj, żyj. Gdzieś w dali protestowały dynama, piszcząc, zgrzytając, jęcząc w okowach niewiarygodnej energii. Światło zmieniło się, rozbłysło głęboką zielenią. Jest martwy, martwy, pomyślał Will. Ale ożyje, odpowiedziały maszyny, płomienie i ogień oraz tłum barwnych bestii na ilustrowanej skórze. Włosy starca uniosły się, otoczone płonąca aureolą. Ściekające z jego palców iskry wypalały misterne wzory na sosnowych deskach. Zielone migotanie zasnuło oczy pod martwymi powiekami. Człowiek Ilustrowany nachylił się gwałtownie nad starą, prastarą istotą; fale potu zalewały przyczajone na jego skórze bestie. Prawą rękę wyciągnął naprzód i kołysząc nią miarowo w powietrzu każdym gestem żądał: żyj, żyj. I starzec ożył. Will ochrypl od ciągłego krzyku. Nikt jednak go nie usłyszał. Bowiem w tym momencie, bardzo powoli, jakby poruszona gromem, jakby elektryczny ogień stanowił jej nowy świt, jedna martwa powieka uniosła się wolno. Dziwolągi patrzyły w milczeniu. Gdzieś daleko, zagubiony wśród burzy, Jim także wrzeszczał ile sił w płucach. Will wiedział o tym, bowiem trzymał go za łokieć i czuł krzyk, przelewający się przez kości przyjaciela. Usta starca rozwarły się ciężko, pomiędzy jego wargami zatańczyły miniaturowe złowrogie błyskawice, między zębami przeskakiwały iskry. Człowiek Ilustrowany zmniejszył moc. Odwróciwszy się, padł na kolana i wyciągnął rękę. Na platformie rozległ się niemal niedosłyszalny szelest, jakby pod koszulą starca poruszył się suchy jesienny liść. Dziwolągi wypuściły z płuc powietrze. Starzec odetchnął. Tak, westchnął Will, oddychając za niego, pomagając mu, sprawiając, by ożył. Wdech, wydech, wdech, wydech – a przecież wszystko to wyglądało jak zwykła sztuczka, gra. Co mógł powiedzieć, co zrobić? – ...płuca... tak... tak... tak... – szepnął ktoś w oddali. Czyżby Pyłowa Wiedźma, zamknięta w szklanej skrzyni? Wdech. Dziwolągi oddychały. Wydech. Ich ramiona opadły. Wargi starca zadrżały lekko. – ...bicie serca...raz... dwa... dalej... dalej... Znowu Wiedźma? Will lękał się spojrzeć. Na szyi starego mężczyzny zaczęła pulsować żyłka, miarowo niczym tykanie zegarka. Bardzo powoli prawe oko starca otwarło się szerzej, spoglądając naprzód niczym zepsuty aparat fotograficzny. Zupełnie jakby patrzyło się przez bezdenną dziurę w przestrzeni. Starzec stawał się coraz cieplejszy. Chłopców, stojących poniżej, ogarnął nagły chłód. Teraz stare, przeraźliwie mądre mądrością strachu oko było już tak głębokie i tak żywe w stłuczonej porcelanowej twarzy, że gdzieś pośród tłumy zebranych w nim obrazów pojawił się także zły siostrzeniec, wyglądający spomiędzy dziwolągów, pielęgniarzy, policjantów i... Willa. Will ujrzał samego siebie i Jima, dwie maleńkie figurki, odbijające się w samotnym oku. Gdyby starzec zamrugał, jego powieka z pewnością zmiażdżyłaby obie sylwetki. Człowiek Ilustrowany, nadal klęcząc, odwrócił się wreszcie i obdarzył wszystkich szerokim uśmiechem. – Panowie, chłopcy, oto widzicie człowieka, który żyje dzięki błyskawicom.

Drugi policjant roześmiał się; jego dłoń zsunęła się z kabury. Will prześliznął się na prawo. Stare wilgotne oko podążyło jego śladem, zasysając w swą pustkę obraz chłopca. Will odskoczył na lewo. Podobnie uczyniło lepkie spojrzenie starca, podczas gdy jego lodowate wargi poruszyły się powoli, formułując dźwięki. Dobywający się z odległej głębiny głos starca odbił się o wilgotne ściany ciała, po czym echem trafił do ust: – Witam... mmmmmmm... Słowo to z powrotem runęło w otchłań. – Wiiii... tammmmmm... mmmmm... Policjanci szturchnęli się nawzajem z identycznymi uśmiezkami na twarzach. – Nie! – krzyknął Will. – To nie jest żadna sztuczka. On naprawdę nie żył i znów umrze, jeśli odetnie się prąd! Własną dłonią zatkał sobie usta. O Boże, co ja robię? Chcę przecież, żeby żył. Aby mógł nam wybaczyć, dał nam spokój! Ale, o Boże, jeszcze bardziej pragnę, żeby umarł, żeby wszyscy umarli – tak bardzo mnie przerażają, aż

żołądek ściska mi się jak w imadle. – Przepraszam... – szepnął. – Nie musisz! – zawołał pan

Dark. Dziwolągi poruszyły się, patrząc ciekawie, co uczyni teraz posąg, usadzony w zimnym migoczącym fotelu. Jedyne oko starca zamknęło się powoli. Usta skłębły niczym gruda żółtego błota w siarkowej kąpieli. Człowiek Ilustrowany przesunął odrobinę przełącznik, uśmiechając się szeroko w przestrzeń. Następnie wsunął w pustą wykrzywioną dłoń starca stalową szpadę. Ze zwiędłych, szorstkich policzków, porośniętych rzadką szczecina wystrzeliły snopy kłujących iskierek. Głębokie oko rozwarło się ponownie niczym otwór po pocisku. Spragnione Willa, odnalazło go, chłonąc jego obraz. Z ust uniosła się para: – Widziałem... chłopcców... zzzzzakradli sssię... do... namiotu... Opróżnione miechy napełniły się ponownie, po czym niewielkimi ruchami zaczęły pompować bagienne powietrze: -...próbowaliśśmy... właśśnie... więc... possstanowiłem... odegrać tę... sssztuczkę... udaćć... że umarłem.. Ponowna przerwa, podczas której starzec chłonał tlen jak piwo, elektryczność jak wino. – Upadłem bezzzz... ruchu... jakbym był... martwwwy... chłopccy... uciekli zzzz... krzykiem... Stary człowiek z sykiem wyrzucał z siebie kolejne sylaby. – Ha. – Przerwa. – Ha. – Przerwa. – Ha. Elektryczne błyski niczym fastryga łączyły poświstujące wargi. Człowiek Ilustrowany odchrząknął delikatnie. – Ta sztuczka bardzo męczy pana Electrico... – Och, oczywiście – jeden z policjantów drgnął jak wyrwany z transu. – Przepraszamy – dotknął dłonią czapki. – Świetne przedstawienie. – Świetne – powtórzył jeden z sanitariuszy. Will obejrzał się szybko, pragnąc przyrzeć się ustom pielęgniarza i sprawdzić, jak wyglądają, wymawiając to słowo, jednakże Jim przesłaniał mu widok. – Chłopcy! Tuzin darmowych biletów! – pan Dark wyciągnął rękę. – Biercie! Jim i Will ani drgnęli. – I co? – spytał jeden z policjantów. Will nieśmiało sięgnął po kartoniki barwy ognia, zamarł jednak, gdy pan Dark spytał: – Jak się nazywacie? Funkcjonariusze mrugnęli do siebie. – Powiedzcie mu, chłopcy. Cisza. Dziwolągi obserwowały ich w milczeniu. – Simon – rzekł wreszcie Jim. – Simon Smith. Dłoń pana Darka zacisnęła się na biletach. – Oliver – rzucił Will. – Oliver Brown. Człowiek Ilustrowany odetchnął głęboko. Dziwolągi także wciągnęły powietrze. Owo donośne westchnienie zdawało się poruszyć pana Electrico. Jego szpada drgnęła. Z jej czubka wystrzeliła iskra, uderzając w ramię Willa; następna błękitnozielona eksplozja dosięgła jego przyjaciela. Miniaturowa błyskawica śmignęła w stronę Jima. Policjanci wybuchnęli śmiechem. Jedyne oko starca rozbłysło. – Przezzzywam... wassss... durniami i błazzzzami... przezzzywam wassss...panem Sssłabym... i panem Bładym...! Pan Electrico skończył. Ostrze szabli delikatnie uderzyło ich po ramionach. – Żzzzyjcie krótko... i niessszczęśśliwie... Po tych słowach jego usta zamknęły się, głębokie oko zasnuło bielmo. Wstrzymując swój piwniczny oddech pozwolił, by drobne iskry zatańczyły w jego krwi niczym bąbelki w ciemnym szampanie. – Bilety – mruknął pan Dark. – Darmowe przejażdżki. Darmowe przejażdżki. Przyjdźcie, kiedy chcecie. Wróćcie tu. Wróćcie. Jim i Will złapali bilety. W podskokach wypadli z namiotu. Policjanci uśmiechając się i pozdrawiając wszystkich zebranych ruszyli ku wyjściu spokojnym, pewnym krokiem. Sanitariusze podążyli za nimi bez cienia uśmiechu, niczym białe ponure duchy. Zastali chłopców skulonych na tylnym siedzeniu radiowozu. Obaj wyglądali, jakby pragnęli wrócić do domu.

CZEŚĆ II

POGONIE

Rozdział XXV

Czuła lustra czekające na nią w każdym pokoju jej domu. Była świadoma ich obecności tak samo jak leżący w łóżku człowiek nie otwierając oczu wie, że za oknem spadł właśnie pierwszy zimowy śnieg. Już wiele lat wcześniej panna Foley zauważyła, że w całym domu tłoczą się jasne odbicia jej własnej osoby. Uznała, iż lepiej będzie nie dostrzegać zimnych tafli grudniowego lodu w przedsionku, nad biurkiem i stolikiem, w łazience. Lepiej lekko ślizgać się po niepewnej powierzchni; jeśli przystanie, ciężar jej nagłej uwagi może zmiażdżyć delikatną skorupę. Gdyby to się zdarzyło, niewątpliwie zatonełaby w otchłani tak zimnej i odległej, że mieściła w sobie całą przeszłość, wyrytą na marmurowych nagrobkach. Zastryk lodowatej wody wypełniłby jej żyły. Oszołomiona lustrzanym odbiciem, całą wieczność stałaby bez ruchu, niezdolna oderwać wzrok od działania Czasu. A jednak tego wieczoru, gdy echo kroków trzech biegnących chłopców zamarło w oddali, panna Foley nadal czuła śnieg padający w lustrach jej domu. Pragnęła przeniknąć dłonią szkło, aby sprawdzić, jaka pogoda panuje po drugiej stronie. Lękała się jednak, że lustra połączą się wówczas, otaczając ją miliardami odbić jej własnej osoby, armią kobiet maszerujących w przeszłość ku czasom, gdy były dziewczynkami, i dziewczynek

zmierzających w lata najwcześniejszego dzieciństwa. Tak wiele osób zgromadzonych w jednym domu z pewnością udusiłoby się w tłoku. Co zatem miała począć z lustrami, Willem Hallowayem, Jimem Nightshadem i... siostrzeńcem? Dziwne. Czemu nie pomyślała: "moim siostrzeńcem"? Ponieważ, odparła w myślach, od pierwszej chwili, gdy tylko stanął w drzwiach, nie pasował do tego miejsca. Przedstawione przez niego świadectwa nie dowodziły niczego, ona zaś czekała... na co? Na dzisiejszy wieczór. Lunapark. Na muzykę, której, jak twierdził siostrzeniec, musiała wysłuchać, przejażdżki, których musiała doświadczyć. Wystarczy tylko trzymać się z daleka od labiryntu, w którym drzemie zima. Będą pływać wokół, szybując na karuzeli, wciąż spowitej w uroczy płaszcz lata, słodki niczym zapach koniczyny, nabrzmiątych miodem roślin i dzikiej mięty. Wyjrzała na mroczny trawnik, skąd wciąż jeszcze nie pozbiierała rozsypanej biżuterii. W jakiś sposób zdołała odgadnąć, że siostrzeniec użył tych drobiazgów, aby pozbyć się obu chłopców, którzy mogli powstrzymać ją przed wykorzystaniem leżącego na kominku biletu: KARUZELA. WSTĘP DLA JEDNEJ OSOBY. Czekala na powrót siostrzeńca. Czas jednak płynął i wiedziała, że musi działać. Trzeba coś zrobić – nie po to, by zaszkodzić chłopcom, ale po to, by uchronić się przed ingerencją Jima, Willa i im podobnych, wtykających nos w nie swoje sprawy. Nikt nie może stanąć między nią a siostrzeńcem, nią a karuzelą, wspaniałą jazdą w aurze lata. To samo powiedział siostrzeniec, nie mówiąc ani słowa. Uścisnął tylko jej dłonie; pachnący szarlotką oddech z małych różowych ust owiał jej twarz. Panna Foley podniosła słuchawkę. Wyglądając przez okno ujrzała światło w kamiennym budynku biblioteki, widok, który wszyscy mieszkańcy miasteczka znali od lat. Wykręciła numer. Po sekundzie w słuchawce odezwał się stłumiony głos. – Czy to biblioteka? – spytała. – Pan Halloway? Mówi panna Foley, nauczycielka Willa. Czy mógłby pan spotkać się ze mną za dziesięć minut na posterunku policji?... Panie Halloway? Chwila ciszy.

– Jest pan tam jeszcze...?

Rozdział XXVI

– Przysięgłbym – powiedział jeden z sanitariuszy – że kiedy tam weszliśmy, stary nie żył. Karetka i radiowóz jednocześnie ruszyły ze skrzyżowania, zmierzając z powrotem w stronę miasteczka. Sanitariusz wykrzyczał swoje podejrzenia przez okno. Jeden z policjantów odkrzyknął: – Żartujesz! Siedzący wygodnie w karetce mężczyźni wrzucyli ramionami. – Tak. Jasne. To tylko żart. Jechali dalej. Ich twarze były spokojne i nieprzeniknione, równie białe jak ich fartuchy.

Tuż za nimi podążał radiowóz z Jimem i Willem skulonymi na tylnym siedzeniu. Chłopcy

próbowali coś jeszcze powiedzieć, lecz policjanci zaczęli rozmawiać i śmiać się, powtarzając relacje ze wszystkiego, co wiedzieli, w końcu więc Jim i Will ponownie skłamali, podając fałszywe nazwiska i informując stróżów prawa, że mieszkają tuż obok posterunku. Poprosili, by policjanci wysadzili ich przy dwóch ciemnych domach w pobliżu i wbiegli na werandy, chwytając za klamki. Skryci w cieniu odczekali, póki radiowóz nie skręci za róg, wówczas zaś cicho zeszli na dół. Przez długą chwilę stali, wpatrując się w żółte światła, płonące w oknach budynku niczym maleńkie słońca rozjaśniające nocne ciemności. Will spojrzał na swego przyjaciela i ujrzał na jego twarzy wydarzenia całego wieczoru. Jim jak zakłęty wpatrywał się w jasne okna, zupełnie jakby lękał się, że w każdej chwili wszystkie pomieszczenia w tym domu może wypełnić ciemność, na zawsze tłumiąc przyjazny blask.

Po drodze do miasta, pomyślał Will, wyrzuciłem swoje bilety. Ale on... Jim nadal trzymał je w dłoni. Will zadrżał. O czym myślał Jim, czego pragnął, jakie snuł plany teraz, gdy martwy człowiek ożył dzięki potężnej ognistej sile rozpalonego do białości elektrycznego krzesła? Czy nadal uwielbiał lunaparki? Will badał wzrokiem twarz przyjaciela. I rzeczywiście, w jego oczach dostrzegł słabe echa ostatnich wydarzeń. Bowiem Jim pozostał sobą. Zawsze będzie Jimem, nawet stojąc tu na chodniku z policzkami skąpanymi w spokojnym blasku Sprawiedliwości. – Komendant policji – rzekł wreszcie Will. – On nas wysłucha... – Jasne – wtrącił Jim. – Obudzi się tylko po to, by posłać po dwa kaftany bezpieczeństwa. Do diabła, Williamie, nawet ja nie wierzę w to, co się zdarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. – Ale przecież teraz, kiedy wiemy, o co toczy się gra, musimy znaleźć kogoś ważniejszego! Musimy próbować. – Dobrze, w takim razie powiedz mi, o co? Co złego zrobił do tej pory lunapark? Przeraził kobietę w lustrzanym labiryncie? Policja odpowie, że sama się wystraszyła. Włamali się do domu? Jasne. A gdzie jest włamywacz? Ukrywa się pod postacią starca? Kto w to uwierzy? Kto by uwierzył, że ów starzec zaledwie parę godzin temu był dwunastolatkiem? I co jeszcze? A, tak. Zniknął handlarz piorunochronami. Istotnie, i zostawił swą torbę. Oczywiście równie dobrze mógł opuścić miasto... – Ten karzeł w namiocie... – Ja go widziałem, ty go widziałeś i rzeczywiście przypomina nieco handlarza, ale znów: czy zdołasz udowodnić, że kiedykolwiek był duży? Nie, tak jak nie potrafisz dowieść, że Cooger był kiedyś mały. Czyli pozostajemy z niczym, Will. Stoimy tu, na chodniku, i nie mamy żadnych dowodów potwierdzających to, co mówiliśmy. Poza tym jesteśmy tylko dziećmi. W grę wchodzi nasze słowo przeciw słowom ludzi z lunaparku. A do tego policjanci świetnie się tam bawili. O rany, wszystko się poplątało! Gdy tylko, gdyby tylko nadal istniała możliwość przeproszenia pana Coogera... – Przeproszenia?! – ryknął Will. – Tego żarłocznego krokodyla? Na Jozafata! Nadal nie dostrzegasz, że nie można zawierać układów z tymi więźlakami i głupierzami? – Więźlakami? Głupierzami? – Jim spojrzał na niego uważnie, bowiem tak właśnie chłopcy określali istoty, które nawiedzały ich i nękały w snach. W koszmarnych wizjach Willa pozbawione twarzy więźlaki jęczały i bełkotały nieskładnie. W równie okropnych snach Jima głupierze, jak je nazywał, wyrastały wszędzie wokół niczym potworne grzybiaste bezy, pożerające szczury, które żywiły się pajakami, te zaś z kolei, wielkie i groźne, chwytaly i zjadały koty. – Więźlaki! Głupierze! – powtórzył Will. – Czego jeszcze chcesz? Żeby spadł ci na głowę dziesięcotonowy sejf? Spójrz tylko, co zdążyło już spotkać dwóch ludzi, pana Electrico i tego straszego szalonego karła! Ta przeklęta machina niszczy ludzi. Wiemy, sami to przecież widzieliśmy. Może specjalnie zgniętni w niej sprzedawcę piorunochronów? A może coś poszło nie tak? Fakt pozostaje faktem, że wylądował pod prasą, przejechał go walec parowy karuzeli. A teraz jest tak szalony, że nawet nas nie poznaje. Czy to nie wystarczy, żeby napędzić ci stracha, Jimmy? Może nawet pan Crosetti... – Pan Crosetti wyjechał na urlop. – Może tak, może nie. Widziałem tylko jego zakład i tabliczkę w oknie: ZAMKNIĘTE Z POWODU CHOROBY. Jakiej

choroby, Jim? Czyżby zjadł zbyt wiele cukierków w lunaparku? Złe się poczuł podczas ulubionej przejażdżki? – Przestań, Will. – O, nie, nie przestanę. Jasne, z początku karuzela wygląda naprawdę zachęcająco. Myślisz, że mnie podoba się to, że cały czas jestem trzynastolatkiem? Przeciwnie. Ale na miłość boską, Jim, przyznaj się, wcale nie pragniesz mieć dwudziestu lat! – A o czym niby rozmawialiśmy przez całe lato? – Rozmawialiśmy, jasne. Gdybyś jednak rzeczywiście skoczył na głęboką wodę i dosiadł tej przeklętej maszyny, która wydłużyłaby ci kości, nie wiedziałbyś, co ze sobą począć. – Wiedziałbym – odparł Jim, pogrążony w mroku. – Wiedziałbym. – Pewnie. Po prostu poszedłbyś sobie i zostawił mnie tutaj. – Wcale nie – zaprotestował jego przyjaciel. – Nigdy bym cię nie zostawił, Will. Bylibyśmy razem. – Razem? Byłbyś przecież wyższy o pół metra. Wędrowałbyś po okolicy, oswajając się ze swym nowym ciałem. Patrzyłbyś na mnie z góry, Jim. I o czym moglibyśmy ze sobą rozmawiać, skoro ja mam w kieszeniach kłębki sznurka od latawca, kulki i żabie oczka, a ty z czystymi pustymi kieszeniami naigrywałbyś się ze mnie? Co by nam zostało? Potrafiłbyś przecież znacznie szybciej biegać i zostawiłbyś mnie bez namysłu. – Nigdy, Will... – Bez cienia wahania. Idź zatem, Jim, po prostu idź i zostaw mnie samego, bo wciąż mam swój scyzoryk i wolę siedzieć pod drzewem, grając w kapsle, ty natomiast wariujesz już na samą myśl o konikach ścigających się na karuzeli, tyle że teraz, dzięki Bogu, przerwały swój wyścig... – Przez ciebie! – wykrzyknął Jim, przystając nagle. Will zeszywniał, zaciskając pięści. – Chcesz powiedzieć, że nie powinienem był przeszkadzać młodemu paskudzie, by stał się starszym paskudą i poskręcał nam karki? Powinienem pozwolić mu dokończyć przejażdżkę i napluć nam w oczy? A ty zapewne przejechałbyś się z nim, machając mi na pożegnanie, raz dokoła, drugi, trzeci, mnie zaś pozostałoby jedynie odpowiedzieć ci tym samym? Jim, czy to właśnie chciałeś powiedzieć? – Ciii – odparł Jim. – Jak już mówiłeś, i tak jest za późno. Karuzela się zepsuła... – A kiedy ją naprawią, wsadzą okropnego starego Coogera na jednego z koni i przywrócą mu młodość, on zaś przypomni sobie nasze imiona i natychmiast rzucą się w pogoń za nami. Albo może tylko za mną? Ty, jeśli chcesz, możesz spróbować się z nimi pogodzić, powiedzieć mu, jak się nazywam i gdzie mieszkam.. – Nie zrobiłbym tego, Will – Jim dotknął go lekko. – Och, Jim, Jim, rozumiesz chyba, prawda? Wszystko w swoim czasie, jak mówił w zeszłym tygodniu pastor podczas kazania. Jedno po drugim, nie parę rzeczy naraz, pamiętasz? – Wszystko – odparł Jim – w swoim czasie... W tym momencie usłyszeli głosy, dobiegające z posterunku policji. W jednym z pomieszczeń, po prawej stronie od wejścia, kobiecy głos zadał jakieś pytanie. Odpowiedziały mu głosy męskie. Will skinął głową i chłopcy pobiegli cicho naprzód. Przecisnąwszy się przez krzaki zajrzeli do środka. W pokoju siedziała panna Foley. A naprzeciw niej ojciec Willa. – Nie rozumiem – rzekła nauczycielka. – Jak Jim i Will mogli włamać się do mojego domu, ukraść te rzeczy i uciec... – Widziała pani ich twarze? – spytał pan Halloway. – Kiedy krzyknęłam, obejrzel się i wówczas oświetliła ich jedna z latarni. Nie wspomina o swoim siostrzeńcu, pomyślał Will. To zresztą oczywiste. Z pewnością tego nie robi. Widzisz, Jim, pragnął zawołać, to była pułapka. Siostrzeniec czekał, abyśmy się zjawili. Chciał narobić nam tyle kłopotów, że później, gdybyśmy nawet wspomnieli komuś o lunaparku, o tym, co dzieje się tam w nocy, o karuzeli, rodzice policja i wszyscy inni nie uwierzyliby nam, ponieważ wiedzieliby, że nasze słowo się nie liczy. – Nie zamierzam składać skargi – ciągnęła panna Foley. – Ale jeśli chłopcy są niewinni, to gdzie się podziewają? – Tutaj! – wykrzyknął ktoś blisko. – Will! – syknął Jim. Za późno, bowiem Will wyskoczył już z ukrycia i przez okno wgramolił się do środka. – Jestem – oznajmił z prostotą, stając na podłodze.

Rozdział XXVII

W milczeniu szli do domu skapaną w blasku księżyca ulicą. Pan Halloway maszerował

pomiędzy chłopcami. Kiedy dotarli na miejsce, ojciec Willa westchnął. – Jim, nie widzę powodu, dla którego miałbym niepokoić twoją matkę o tak późnej porze. Jeśli przyrzekniesz mi, że opowiesz jej o wszystkim przy śniadaniu, puszcę cię. Potrafisz wejść do środka nie budząc jej? – Jasne. Proszę zobaczyć, co tu mamy. – My? Jim przytaknął i podprowadził ich do ściany domu. Zaczął grzebać pod gęstą zasłoną mchu i liści, pokrywającą szczelnie mur, aż w końcu znalazł żelazne uchwyty, które chłopcy przybili w sekrecie, tworzące ukrytą drabinę, prowadzącą wprost do sypialni Jima. Pan Halloway roześmiał się krótko, niemal boleśnie, i potrząsnął głową z dziwnym przejmującym smutkiem. – Od jak dawna to trwa? Nie, nie mów mi. W waszym wieku też to robiłem. – Powiódł wzrokiem po płataninie bluszczu, pośród której ziało okno sypialni. – To wielka frajda, móc swobodnie biegać po nocy. Człowiek czuje się wówczas taki wolny. – Zdusił cisnące się na usta słowa. – Nie siedzicie zbyt długo poza domem? – W tym tygodniu po raz pierwszy wyszliśmy po północy. Ojciec zastanowił się przez chwilę. – Przypuszczam, że moje pozwolenie wszystko by zepsuło? To właśnie ów dreszczyk emocji, towarzyszący wykradaniu się nad jezioro, na cmentarz, do sadów brzoskwiniowych w ciepłe letnie noce, liczy się najbardziej... – Rany, panie Halloway, czy pan też kiedyś... – Owszem. Ale nie wspomnijcie przypadkiem matkom, że wam o tym powiedziałem. No już, na górę – wskazał ręką. – Przez następny miesiąc macie szlaban. – Tak jest! Jim zawisł na rękach i zręcznie niczym małpka wspiał się ku gwiazdom. Śmignął przez okno, zamknął je za sobą i zaciągnął zasłony. Tato powiódł wzrokiem po ukrytych szczeblach, zbiegających spod nieba ku nocnemu światu, pełnemu ulic, zapraszających do stumetrówki, przegradzających szlaki płótków z czarnych gęstych krzaków, otaczających cmentarz krat i murów, wprost stworzonych do skoku wzwyż. – Wiesz, czego nie znoszę najbardziej, Will? Tego, że nie mogę już biegać swobodnie jak wy. – Tak jest – odparł syn. – Ustalmy wszystko jeszcze raz – rzucił tato. – Jutro pójdziesz do panny Foley i sprawdzisz trawnik. W świetle zapalek i latarek mogliśmy przeoczyć jakiś cenny drobiazg. Następnie zgłosisz się na policję i zameldujesz o całej sprawie. Macie szczęście, że się przyznaliście i panna Foley nie wniosła oskarżenia. – Tak jest. Podeszli do ściany domu. Tato przecesał palcami zasłonę bluszczu. – U nas też? Jego dłoń natrafiła na uchwyt, który Will przybił między liśćmi. – U nas też. Starszy mężczyzna wyjął kapciuch z tytoniem, napełnił fajkę i spoglądając na gąszcz pnączy, skrywający uchwyty, które prowadziły do łóżek i bezpiecznych sypialni, zapalił ją powoli. – Znam cię – powiedział. – Nie zachowujesz się, jakbyś był winny. Niczego nie ukradłeś. – Owszem. – Dlaczego zatem przyznałeś się przed policją? – Ponieważ panna Foley – nie mam pojęcia czemu – pragnie, abyśmy zostali uznani za winnych. A skoro mówi, że coś zrobiliśmy, to tak jest w istocie. Widziałeś sam, jaka była zdumiona, kiedy wskoczyliśmy przez okno. Nigdy nie pomyślałaby, że się przyznamy. A jednak to zrobiliśmy. Mamy dość nieprzyjaciół bez dodatkowego narażania się wymiarowi sprawiedliwości. Uznałem, że jeśli zgłosimy się sami, puszcza nas. I tak też się stało. Jednocześnie jednak wygrała panna Foley, bowiem teraz jesteśmy przestępcami. Jeśli nawet opowiemy o wszystkim, co widzieliśmy, nikt nam nie uwierzy. – Ja uwierzę. – Naprawdę? Will przebił wzrokiem ciemność, spowijającą twarz ojca. Ujrzał biel skóry, oczu, włosów. – Tato, poprzedniej nocy, o trzeciej nad ranem... – O trzeciej nad ranem... Tato wzdrygnął się, jakby na dworze powiał nagle zimny wiatr, jakby woń tajemnicy przeniknęła do niego, a on nie mógł się ruszyć, nawet wyciągnąć ręki, poklepać Willa po ramieniu. I Will wiedział, że musi milczeć, że nie wolno mu wspomnieć o tym, co ich spotkało. Jutro, tak, któregoś innego dnia, owszem, bowiem może kiedyś po wschodzie słońca okaże się, że namioty zniknęły, dziwolągi odjechały na koniec świata, zostawiając ich samych, wiedząc, że nastraszyły ich dostatecznie, by nie mieszały się do nie swoich spraw i trzymali języki za zębami. Może wszystko samo minie? Może... Może... – Tak, Will? – spytał ojciec z trudem. Trzymana w dłoni fajka zgasła. – Mów dalej. Nie, pomyślał Will, jeśli już muszą,

niech prześladują tylko mnie i Jima, resztę zostawiając w spokoju. Każdego, kto dowiedział się czegoś o cyrku, spotyka krzywda, więc nikt nie może wiedzieć. Na głos rzekł: – Za parę dni, tato. Opowiem ci wszystko, przysięgam. Na honor mamy. – Honor mamy – odparł ojciec po długim milczeniu. – To dla mnie dostatecznie dobra gwarancja.

Rozdział XXVIII

W nocnym powietrzu unosił się słodki pył z jesiennych liści, przypominający swą wonią lotne piaski starożytnego Egiptu, z których wiatr usypywał kolejne wydmy. Jak to możliwe, pomyślał Will, że w takiej chwili myślę o pyle sprzed czterech tysięcy lat, świadectwie dawnych czasów, przesypanych się po świecie i czuję smutek, ponieważ nikt go nie zauważa – poza mną

i może tatą, a nawet my nie poruszamy tego tematu. Bowiem nastąpiła właśnie ta szczególna chwila pomiędzy kolejnymi

czynami, gdy w jednej sekundzie myśli przypominają rozbrykanego psa, w drugiej – jedwabistego uspiętego kota. To pora, kiedy należy się udać do łóżek, ale oni wahają się jeszcze niczym krnąbrni chłopcy, zaś ich myśli wędrują pozornie bez celu, z każdą chwilą zbliżając się do nocy i poduszki. To czas, kiedy mówi się wiele, choć nie wszystko, czas po pierwszych odkryciach, ale nie ostatnich. Pragnienie, aby wiedzieć wszystko i niczego nie znać. Nowa obca słodycz, którą czują mężczyźni, prowadzący własne męskie rozmowy. Potencjalna gorycz zrozumienia. Toteż, choć już dawno powinni byli wrócić na górę, nie mogli rozstać się z chwilą, zapowiadającą kolejne podobne noce, gdy mężczyzna i dorastający chłopiec zaśpiewają jednym głosem. W końcu Will spytał ostrożnie: – Tato, czy jestem dobrym człowiekiem? – Tak sądzę. Tak, wiem, że jesteś. – Czy to mi pomoże, kiedy coś pójdzie nie tak? – Owszem. – I wspomże mnie w potrzebie? No wiesz, co by się stało, gdybym znalazł się nagle wśród złych ludzi i w promieniu wielu mil nie byłoby nikogo dobrego? – Pomoże ci własne dobro. – To nie wystarczy, tato. – Dobro nie stanowi gwarancji dla twego ciała. Zapewnia jedynie spokój ducha... – Ale czasami, tato, czy nie boisz się, że nawet... – ...duch nie zaznaje spokoju? – Ojciec skinął głową. Jego twarz zdradzała zdenerwowanie. – Tato – zagadnął Will słabym głosem. – A ty? Jesteś dobrym człowiekiem? – Wobec ciebie i twojej matki, owszem. Próbuję. Ale nikt nie jest bohaterem we własnych oczach. Żyję ze sobą od wielu lat, Will, i wiem o sobie wszystko, co warto wiedzieć... – A kiedy zsumujesz tę wiedzę...? – Zsumuję? Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie mogę narzekać. – Czemu zatem, tato, nie jesteś szczęśliwy? – spytał Will. – Trawnik przed domem o – spójrzmy – wpół do drugiej w nocy to nie najlepsze miejsce na filozoficzne dysputy... – Chciałbym tylko wiedzieć. Zapadła cisza. Po długiej chwili tato westchnął cicho. Ujął Willa pod ramię, razem usiedli na stopniach werandy. Tam zapalił fajkę i zaciągając się dymem, rzekł:

– W porządku. Twoja matka śpi. Nie wie, że włóczymy się poza domem jak dzikie koty, prowadząc doniosłe rozmowy. A teraz powiedz mi, od jak dawna sądzisz, że dobrzy ludzie muszą być szczęśliwi? – Od zawsze. – Zatem od dziś wiedz, że to nieprawda. Czasami człowiek, który wygląda na najszcześniejszego w mieście, paradujący z najszerszym uśmiechem, w istocie dźwiga największe brzemie grzechu. Istnieją różne rodzaje uśmiechów; naucz się rozróżniać mrok i zło od jasnej wesołości. Ten, który zaśmiewa się najgłośniej, najczęściej ma sporo do ukrycia. Dobra zabawa pozostawiła go z nieczystym sumieniem. A ludzie naprawdę kochają grzech, Will, bez dwóch zdań. Uwielbiają go we wszystkich jego odmianach, postaciach, barwach i zapachach. Zdarzają się chwile, kiedy nasz apetyt łacniej zaspokoi koryto niż domowy stół. Kiedy słyszysz człowieka, który zbyt głośno wychwala innych, zadajesz sobie pytanie, czy nie wyszedł właśnie z chlewu. Z drugiej zaś strony, nieszczęśliwy, blady, stłamszony człowieczek, mijający cię bez słowa, na pierwszy rzut

oka winny wszystkich grzechów tego świata, często jest dobry, naprawdę dobry, Will. Bowiem dobro to coś strasznie niewdzięcznego. Ludzie usiłują je osiągnąć i czasami załamują się pod jego ciężarem. Znałem kilku takich. Zostanie rolnikiem wymaga znacznie większego wysiłku niż bycie zwykłym wieprzem. Przypuszczam, że całe to rozmyślanie o naturze dobra i zła sprawia, że którejs nocy w naszym murze ochronnym pojawia się pierwsza szczelina. Ludziom o szczególnie wysokich standardach wystarcza czasem jedno spadające z wysoka piórko, by nieodwołalnie skrzywić im kręgosłup. Taki człowiek nie da sobie spokoju, nie pogodzi się ze sobą, jeśli nawet o włos zboczy ze ścieżki cnoty.

Byłoby naprawdę wspaniale, gdybyś mógł po prostu być dobry i zachowywać się tak, nie myśląc o tym przez cały czas. Ale to bardzo trudne, wiesz. Tak jak z ostatnim kawałkiem cytrynowego ciasta, czekającym w lodówce. Nie jest twoje, a jednak przewracasz się w łóżku zły potem, marząc o nim, nieprawdaż? Czy muszę ci o tym mówić? Albo kiedy ciepłego letniego dnia tkwisz przykuty do szkolnej ławki, podczas gdy za oknami szmerze rzeka, chłodna, orzeźwiająca, wyśpiewując melodie na kamieniach. Chłopcy słyszą jej zew z odległości wielu mil. I tak, minuta po minucie, godzina za godziną, przez całe życie, trwa wewnętrzna walka, która nigdy się nie kończy. Z każdą sekundą podejmujesz nowy wybór pomiędzy dobrem a złem, a zegar tyka miarowo, odmierzając kolejne chwile i powtarza bez przerwy: idź popływać

albo duś się we własnym sosie, zjedz albo zostań głodny. I zostajesz, ale Will, kiedy już raz podejmiesz decyzję, to wiesz chyba, jak jej nie zmienić? Znasz największy sekret? Nie myśl więcej o rzece. Albo o cieście. Jeśli bowiem to uczynisz, oszalejesz. Dodaj do tego wszystkie rzeki, w których dotąd nie pływałeś, ciastka, których nie zjadłeś, i kiedy osiągniesz mój wiek, przekonasz się, że ominęło cię wiele wspaniałych rzeczy. Wówczas jednak pocieszasz się myślą, że za każdym razem mogłeś się też utopić albo zadławić cytrynowym lukrem. Może się jednak zdarzyć, że kierowany zwykłym niemądrym tchórzostwem odpychasz od siebie zbyt wiele rzeczy i czekasz, nie podejmując niezbędnego ryzyka. Spójrz na mnie: ożeniłem się, kiedy miałem trzydzieści dziewięć lat, Will, trzydzieści dziewięć! Byłem jednak tak zajęty dźwiganiem się z kolejnych upadków, iż uznałem, że założę rodzinę dopiero wtedy, gdy mocno stanę na nogach. Za późno odkryłem, iż nie można czekać w nieskończoność na osiągnięcie doskonałości. Trzeba opuścić bezpieczne schronienie i ruszyć naprzód, padając i powstając wraz z innymi. Toteż w końcu pewnego wieczoru przerwałem zapasy z samym sobą i kiedy twoja matka przyszła do biblioteki po książkę, zamiast lektury znalazła tam mnie. Ja zaś pojąłem, że jeśli weźmie się na wpół złego mężczyznę i taką kobietę i połączy razem ich dobre połowy, otrzyma się całego dobrego człowieka. To właśnie ty, Willu. Wspólnie cię stworzyliśmy. Najdziwniejsze zaś, synu, a także nieco smutne jest to, że choć ty zawsze ganiasz gdzieś poza domem, ja zaś tkwię na dachu, latając książkami dziury w poszyciu i porównując życie do biblioteki, już dawno przekonałem się, że jesteś mądrzejszy i lepszy, niż ja będę kiedykolwiek... Fajka ojca zgasła. Urwał i wytrząsnął popiół, nabijając ją na nowo. – Ależ nie! – zaprotestował Will. – Owszem – rzucił ojciec. – Byłbym głupcem nie wiedząc, że nim jestem. Moja jedyna mądrość to dostrzeżenie mądrości w tobie. – To dziwne – rzucił Will po długiej chwili ciszy. – Dziś w nocy powiedziałaś mi więcej niż ja tobie. Muszę się zastanowić. Może przy śniadaniu opowiem ci wszystko. W porządku? – Zaczekam, dopóki nie będziesz gotowy. – Bo ja... chcę, żebyś był szczęśliwy, tato... – Ze złością zdusił napływające do oczu łzy. Nie znosił podobnego okazywania uczuć. – Wszystko będzie dobrze, Will. – Nie zawahałbym się przed niczym, gdybym tylko zdołał cię tym uszczęśliwić. – Willy, Williamie. – Tato ponownie zapalił fajkę i patrzył, jak wiatr unosi w dal potarganą smużkę dymu. – Powiedz po prostu, że będę żył wiecznie. To mi wystarczy. Jego głos! – pomyślał Will. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Ma tę samą barwę, co jego włosy. – Tato –

powiedział. – Nie bądź taki smutny. – Ja? Jestem przecież pierwowzorem smutnego człowieka. Czytam książkę i płaczę. Film, tak samo. Sztuki teatralne? Te naprawdę poruszają moje serce. – Czy istnieje coś – dopytywał się chłopiec – co cię nie smuci? – Tylko jedno. Śmierć. – O rany! – wykrzyknął Will, wyraźnie zdumiony. – Przecież śmierć jest najsmutniejsza. – Nie – odparł mężczyzna; jego głos dorównywał białą włosom. – Śmierć sprawia, że wszystko inne staje się smutne, jednakże ona sama jedynie przeraża. Gdyby nie istniała śmierć, cały świat pozbyłby się skazy. Zupełnie jak lunapark, pomyślał Will. W jednej ręce trzyma śmierć niczym grzechotkę, w drugiej życie jak lizak. Tym pierwszym potrząsa, aby cię przerazić, i kusi drugim sprawiając, że napływa ci śliska. Którą rękę wybierzesz? Zerwał się na nogi. – Tato, posłuchaj! Będziesz żył wiecznie! W przeciwnym razie wszystko stracone. Jasne, parę lat temu chorowałeś – ale to już minęło. Owszem, masz już pięćdziesiąt cztery lata, lecz nadal jesteś młody! I jeszcze jedno... – Tak, Willy? Ojciec czekał, nie spuszczać zeń wzroku. Will zachwiał się na nogach, przygryzł wargę i w końcu wypalił: – Nie zbliżaj się do lunaparku. – To dziwne – odparł ojciec. – Miałem właśnie zamiar poprosić cię o to samo. – Nie wróciłbym tam, nawet gdyby ktoś zapłacił mi miliard dolarów! Ale, pomyślał Will, nie powstrzyma to lunaparku przed pościgiem za moją osobą. – Przrzekasz, tato? – Czemu nie chcesz, żebym tam poszedł, Will? – To jedna z tych rzeczy, o których opowiem ci jutro, za tydzień, a może za rok. Musisz mi zaufać, tato. – Ufam ci, synu – ojciec ujął jego dłoń. – Przrzekam. I obaj, jakby ostatnie słowo ojca stanowiło tajemny sygnał, odwrócili się w stronę domu. Ich czas minął; było bardzo późno. I tak powiedzieli dostatecznie dużo. – Skoro wyszedłeś tą drogą – stwierdził tata – powinieneś nią wrócić. Will w milczeniu podszedł do muru i lekko dotknął żelaznych uchwytów, ukrytych pod grubą warstwą rdzawych liści. – Tato... Nie usuniesz mi ich chyba...? Ojciec także pomacał najniższy szczebel. – Któregoś dnia, kiedy się nimi znudzisz, sam je zdemontujesz. – Nigdy się nie znudzę. – Tak sądzisz? Owszem, w twoim wieku uważa się jeszcze, że nigdy nic cię nie znudzi. Uciekaj. Will dostrzegł tęskne spojrzenie ojca, wędrujące w górę ukrytą żelazną ścieżką. – Może chciałbyś wspinać się tędy razem ze mną? – Nie, nie – odparł szybko ojciec. – Bo jeśli chcesz – dodał Will – proszę bardzo. – Nie trzeba. Idź już. Nadal jednak nie odrywał wzroku od bluszczu, drżącego w promieniach księżyca. Will skoczył, chwycił pierwszy, drugi, trzeci szczebel, po czym spojrzał w dół.

Z tej wysokości stojący na ziemi tata wyglądał, jakby skurczył się nagle. Will nie chciał zostawić go samego w mroku nocy, niczym starą porzuconą rzecz, tkwiącego nieruchomo z podniesioną ręką. – Tato – szepnął. – Strach cię obleciał. – Kto tak twierdzi? – wykrzyknął szeptem ojciec. I skoczył. Śmiejąc się bezdźwięcznie, chłopiec i mężczyzna podjęli wspinaczkę po ścianie budynku, jeden za drugim, zręcznie przekładając dłonie i stopy. Nagle Will usłyszał, jak ojciec osuwa się w dół, w ostatniej chwili łapiąc kolejny uchwyt. Trzymaj się mocno, pomyślał. – Ach...! Mężczyzna syknął pod nosem. Nie puszczaj! Zamykając oczy, Will modlił się w duchu. Trzymaj... się... mocno...! Stary mężczyzna odetchnął głęboko, zaklął soczyście dźwięcznym szeptem, po czym podjął przerwana wspinaczkę. Will otworzył oczy i także ruszył w górę. Resztę drogi pokonali bez przeszkód. Wysoko, coraz wyżej, świetnie, cudownie, wspaniale, koniec! Wskoczyli do środka i usiedli na parapecie, dwie sylwetki identycznych rozmiarów, wagi i barwy, skąpane w blasku gwiazd. Siedzieli tak, objęci, czując cudowne zmęczenie, złączeni w cichym, zduszonym śmiechu. W obawie, że obudzą Boga, kraj, żonę, matkę i samo piekło, zatykali sobie usta dłońmi, czując pod wargami wibrującą radość. Jeszcze przez chwilę siedzieli bez ruchu, patrząc na siebie błyszczącymi oczyma, w których lśniły łzy miłości. Wreszcie ojciec uściśnął go po raz ostatni i odszedł, zamykając za sobą drzwi sypialni. Upojony wydarzeniami nocy, zapomniawszy o strachu w obliczu nowych wspaniałych rzeczy, jakie odkrył w swym własnym ojcu, Will unosząc pijane zmęczeniem ręce

zrzucił z siebie ubranie, które osunęło się na podłogę i czując rozkoszny ból w nogach, padł niczym kłoda na łóżko...

Rozdział XXIX

Przespał dokładnie godzinę. A potem, jakby przypomniał sobie coś, co dostrzegł wcześniej kątem oka, obudził się, usiadł na łóżku i spojrzał na dach Jima. – Piorunochron – jęknął. – Zniknął. I rzeczywiście. Czyżby go skradziono? Nie. Jim go zdjął? Jasne! Czemu? Dla zabawy. Z uśmiechem wspiał się na dach i zerwał żelastwo, rzucając wyzwanie burzy, aby uderzyła właśnie w jego dom. Bał się? Nie. Strach to elektryczny strój, który Jim miał dopiero przymierzyć. Jim! Will zapragnął nagle wybić to przekłete okno i z powrotem zamocować piorunochron. Jeszcze przed świtem, pomyślał, diabelski lunapark wyśle kogoś, aby nas odszukał. Nie wiem, skąd się zjawia i jak będą wyglądali, ale, Boże, twój dach Jim jest taki pusty! Chmury szybko płyną na niebie, burza pędzi ku nam i... Nagle zamarł. Czy szybujący w powietrzu balon wydaje jakiś dźwięk? Nie. No, niezupełnie. Każdy balon ma własny głos. Wzdycha niczym wiatr, unoszący firanki białe jak morska piana. Jego głos przypomina dźwięk, wydawany przez wirujące we śnie gwiazdy, albo odgłos zwiastujący wzejście i zajście księżyca. To ostatnie jest najbliższe rzeczywistości. Balon żegluje na firmamencie niczym księżyc, przemierzający otchłanie wszechświata. Jak można go usłyszeć? Co uprzedza jego nadejście? Czy ucho wychwyci ów dźwięk? Nie. Jednakże uczynią to włoski na karku, meszek w uszach; włosy na rękach pocierają o siebie niczym nogi świerszcza, wibrując w rytm dziwnej muzyki. Toteż leżąc w łóżku wiesz, czujesz, jesteś pewien, że w głębi oceanu nieba pojawił się balon. Will wyczuł ruch w domu Jima; delikatne czułki jego przyjaciela także wychwyciły poruszenie wód nad miastem, rozstępujących się, aby przepuścić Lewiatana. Obaj chłopcy poczuli, jak jakiś cień napiera na dróżkę pomiędzy ich domami. Obaj unieśli okna, wysunęli głowy i otwarli usta, jak zawsze zaskoczeni tym, że zareagowali dokładnie w tej samej chwili. Wciąż zdumiewała ich delikatna pantomima intuicji i lęku, potężna więź, łącząca ich od lat. Następnie wznieśli ku niebu twarze, posrebrzone promieniami wschodzącego księżyca. W tym momencie balon uleciał w powietrze i zniknął. – Rany koguta, co tu robił balon? – spytał Jim. Wcale jednak nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Bowiem spoglądając w górę obaj wiedzieli, że ów statek powietrzny wyruszył na łowy i wędruje nad miastem w poszukiwaniu zdobyczy. Był wręcz stworzony do tego celu: nie potrzebował ryku motorów, wizgu opon na twardym asfalcie, echa kroków na ulicy. Wystarczył mu jedynie wiatr, przelewający się szeroką rzeką przez chmury. Wiklinowy kosz posepnie szybował w powietrzu, zawieszony pod wielkim sztormowym żaglem. Żaden z chłopców nie zatrzaskał okna i nie zaciągnął zasłon. Wiedzieli, że muszą czekać bez ruchu, bowiem znów usłyszeli ów dźwięk, niczym pomruk w czyimś obcym śnie... Temperatura spadła o dwadzieścia stopni. Wyblakły od burzy balon zaczął opadać jak szept, gwałtownie zniżając się ku ziemi. Jego słoniowaty cień przemykał po roziskrzonych trawnikach i tarczach zegarów słonecznych,

gasząc blask nocnych klejnotów. I gdy chłopcy gwałtownie unieśli oczy, przenikając wzrokiem ciemność, ujrzeli coś przycupniętego, poruszającego się lekko w wiklinowej karocy. Czyżby była to głowa i ramiona? Tak! A blask księżyca spowijał je niczym srebrny płaszcz. Pan Dark! – pomyślał Will. Siłacz! – pomyślał Jim. Brodawka! Szkielet! Pijący Lawę! Wisielec! Monsieur Guillotine! Nie. Pyłowa Wiedźma. Wiedźma, która kreśliła w swym pyłe czaszki i kości, po czym zdmuchiwała je bez śladu. Jim spojrzał na Willa, a Will na Jima; obaj odczytali z ruchu warg: Wiedźma! Czemu jednak akurat woskowa starucha wyprawiała się na nocne poszukiwania, zastanawiał się Will. Czemu nie ktoś z owych stworów o oczach pełnych jaszczurczego jadu, wilczego ognia, węzowej śliny? Dlaczego mieliby wysyłać rozsypującą się starą figurę, ślepą jak kijanka, o powiekach zaszytych

nicia czarnej wdowy? A potem, spoglądając w górę, obaj zrozumieli. Bowiem ciało Wiedźmy, choć odlane z dziwnego wosku, w szczególny sposób żyło. Owszem, była ślepa, ale wysuwała przed siebie pokryte rdzawymi plamami palce, które gładziły, przebierały śluz powietrza, przechwytywały i rozcierały wiatr, zdierały warstwy przestrzeni, gasiły gwiazdy, zamierały bez ruchu i tańczyły niespokojnie, a kiedy wreszcie dostrzegły cel, wskazywały go niechybnie, podobnie jak długi, spiczasty nos czarownicy. I chłopcy pojęli jeszcze więcej. Wiedzieli już, że wiedźma jest ślepa, ale ślepa w osobliwy sposób. Potrafiła zanurzyć w powietrzu dłonie i wychwytywać zawirowania świata, dotykać dachów domów, zagłębiać długie palce w kosze na strychach, przesiewać kurz, badać przeciągi, przenikające korytarze i dusze, przenikające ludzkie ciała, prądy krwi, wędrujące z miechów płuc do tętniących przegubów, huczących skroni, pulsujących gardeł, i z powrotem, ku płucom. Tak jak chłopcy instynktownie wyczuli balon, opadający ku nim niczym jesienny deszcz, Wiedźma czuła dusze, nawiedzające i opuszczające ich rozedrgane nozdrza. Każda dusza, ogromny ciepły odcisk palca, była inna w dotyku: Wiedźma mogła ugniatać ją w dłoniach niczym glinę. Dusze miały też odmienną woń: Will słyszał, jak starucha węszy, odbierając mu życie; i smak: próbowała każdej z nich swymi bezzębnymi ustami, swym żmijowym językiem; i dźwięk: wpychała chustki dusz do jednego ucha i wyciągała drugim.

Jej dłonie grały na klawiszach powietrza – jedna szukała Willa, druga Jima. Cień balonu obryzgał ich nagłą ulewą paniki, napełnił umysły grozą. Wiedźma wypuściła powietrze. Balon, uwolniony od dodatkowego balastu, skoczył do góry. Złowieszczy cień zniknął. – O Boże – mruknął Jim. – Teraz wiedzą, gdzie mieszkamy! Obaj wzdrygnęli się. Jakiś potworny ciężar musnął szczyt dachu Jima i ze zgrzytem przejechał po dachówkach. – Will! Dorwała mnie! – Nie. Zdaje się, że... Coś niewidzialnego z chrzęstem, sykiem, szmerem przemknęło po dachu Jima. A potem Will ujrzał, jak roztańczony balon umyka w stronę wzgórz. – Odeszła, odleciała! Jim, ona zrobiła coś z twoim dachem. Dawaj tu małpi most! Jim wysunął z okna długi smukły pręt do wieszania bielizny. Will zamocował go do swojego parapetu, po czym zawisł na nim i kołysząc się na rękach przeszedł na drugą stronę. Tam Jim wciągnął go przez swoje okno. Następnie na bosaka przemknęli do szafy z ubraniami i podsadzając się i podciągając nawzajem, przecisnęli się przez klapę, prowadzącą na strych. Poczuli w nozdrzach woń starego tartaku. Wokół panowały mrok i cisza. Przycupnięty na skraju dachu, cały drżący, Will wyszeptał: – Jim! Popatrz! I w blasku księżyca zobaczyli to, po co przyszli. Na ciemnych dachówkach odznaczał się wyraźnie jasny szlak, podobny do śladu, pozostawionego przez nagiego ślimaka na chodniku. Srebrzysty śluz połyskiwał lekko. Był to jednak ślad, zostawiony przez ślimaka olbrzymia, który jeśli by w ogóle istniał, ważyłby jakieś pięćdziesiąt kilo. Srebrzysta wstęga miała metr szerokości. Zaczynała się tuż przy wypełnionej liśćmi rynnie, stamtąd zmierzała ku górze i rozedrgana opadła po drugiej stronie. – Czemu? – wykrztusił Jim. – Dlaczego? – To łatwiejsze niż szukanie numerów domów albo nazw ulic. Zaznaczyła twój dach tak, aby można go było dostrzec z odległości wielu mil, czy to nocą, czy za dnia! – Rany Julek! – Jim schylił się i dotknął śladu. Jego palec pokryła warstewka cuchnącej mazi. – Will, co teraz zrobimy? – Mam przecucie – szepnął jego przyjaciel – że nie wrócą aż do rana. Nie mogą tak po prostu wywołać awantury. Na pewno mają jakiś plan. A w tej chwili... Oto, co zrobimy! Na trawniku w dole, zwinięty w kłęb niczym ogromny boa dusiciel, czekał na nich ogrodowy wąż. Will błyskawicznie zszedł na dół. Po drodze nie potracił niczego, nikogo też nie obudził. Jim, nadal tkwiący na dachu, nie zdążył nawet zdziwić się porządnie, kiedy zadyszany przyjaciel pojawił się z powrotem, ściskając w dłoni wąż, z którego z sykiem spływała woda. – Will, jesteś genialny! – Jasne! Szybko! Razem podciągnęli wąż, polewając wodą dachówki, splukując srebro, zmywając złowrogą rtęciową farbę. Nie przerywając pracy Will uniósł wzrok, spoglądając w czyste nocne

niebo i ujrzał szybujący na wietrze balon, próbujący podjąć jakąś decyzję. Czy wyczuł, co robią? Czy powróci? Czy Wiedźma ponownie oznaczy dach i będą musieli zmyć go jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze, aż do świtu? Tak, jeśli będzie trzeba. Gdybym tylko, pomyślał Will, zdołał powstrzymać Wiedźmę raz na zawsze. Pozostali nie znają naszych nazwisk i nie wiedzą, gdzie mieszkamy. Pan Cooger zbyt blisko otarł się o śmierć, by pamiętać i powiedzieć komukolwiek. Krasnal – jeżeli to rzeczywiście sprzedawca piorunochronów – oszalał i, jeśli Bóg da, nic sobie nie przypomni. Aż do rana. Nie ośmiela się też zawracać głowy pannie Foley. Toteż zgrzytając zębami na odległych łąkach wysłali na poszukiwania Pyłową Wiedźmę.

– Jestem durniem – wyszeptał cicho Jim, splukując dach w miejscu, gdzie wcześniej tkwił piorunochron. – Czemu go tu nie zostawiłem? – Piorun jeszcze nie uderzył – odparł Will. – I jeśli się pospieszymy, nie zrobi tego. Jeszcze tutaj... Ponownie polali dach. W dole szczęknęło okno. – To mama – roześmiał się ponuro Jim. – Myśli, że pada deszcz.

Rozdział XXX

Deszcz ustał. Dach był czysty. Chłopcy wypuścili z dłoni wąż pozwalając, by z głuchym plaskiem runął na skrytą w mroku nocy trawę tysiąc mil w dole. Za miastem balon nadal kołysał się pomiędzy wrogą północą a przyjaznym, wyczekiwany wschodem słońca. – Na co ona czeka? – Może potrafi wywęszyć to, co robimy. Ponownie przeszli przez strych i wymieniwszy wiele gorączkowych, mrozących krew w żyłach uwag, znaleźli się w swoich pokojach i łóżkach. Teraz leżeli w ciszy, samotni, słuchając, jak pospieszne bicie ich serc i zegarów odmierza czas, pozostały do świtu. Cokolwiek planują, pomyślał Will, musimy zadziałać pierwsi. Nagle zapragnął, by balon powrócił, by czarownica odgadła, że zmyli jej znak i przyleciała ponownie, aby oznaczyć dach. Dlaczego? Dlatego. Uświadomił sobie, że wpatruje się w swój harcerski zestaw łuczniczy: wielki, przepiękny łuk i kołczan ze strzałami, wiszący na wschodniej ścianie sypialni. Przepraszam, tato, pomyślał i z uśmiechem zerwał się na nogi. Tym razem muszę wyjść sam. Nie chcę, żeby w ciągu najbliższych godzin, może dni, wróciła i zameldowała o nas. Zerwał ze ściany łuk i strzały, zawahał się, myśląc gorączkowo, po czym bezszelestnie podniósł okno i wyrzwał na zewnątrz. Nie ma potrzeby zdzierać sobie gardła, wystarczy mocno pomyśleć. Oni nie potrafią czytać w myślach. Wiem o tym. W przeciwnym razie nie posłaliby jej tutaj. I ona także tego nie umie, wyczuwa jednak ciepło ciała, jego temperaturę, zapach, podniecenie, toteż jeśli zacznę podskakiwać z uciechy, moja radość z tego, że ją przechytrzyłem wystarczy, aby ją przywołać. A potem... Czwarta rano, oznajmił senny kurant zegara gdzieś w innej, odległej krainie. Wiedźmo, pomyślał Will, wracaj. Wiedźmo, pomyślał głośnie, słysząc w uszach tętnienie krwi. Dach jest czysty, słyszysz? Wywołaliśmy własny deszcz! Musisz wrócić i oznaczyć go na nowo! Wiedźmo...? I Wiedźma poruszyła się. Poczł, jak pod balonem przesuwają się ziemia. Dobra, Wiedźmo, no dalej, nie ma tu nikogo oprócz mnie, to tylko ja, bezimienny chłopiec. Nie potrafisz czytać w moich myślach, ale wiedz, że pluję na ciebie i krzyczę, że cię przechytrzyliśmy, a ty odbierasz moją radość, więc chodź tu, chodź, wyzywam cię! Musisz się odważyć. Wiele mil dalej rozległ się szmer zasysanego powietrza. Coś wielkiego uniosło się w górę. Rany koguta, pomyślał nagle Will, nie chcę, żeby wracała do tego domu. Ściskając w rękę broń zsunął się po ukrytej wśród bluszczu drabince i śmignął po mokrej trawie. Wiedźmo! Tutaj! Biegł naprzód, pozostawiając za sobą wyraźny ślad. Człł się cudownie, swobodny jak zając, który napoczał nieznaną, przepyszny, słodki i trujący korzeń, doprowadzający go do szaleństwa. Jego kolana unosiły się wysoko, podeszwy miażdżyły mokre liście. Jednym susem przeskoczył żywopłot, trzymając w dłoniach pęk zjeżonych strzał. W ustach człł smak radości i lęku. Obejrzał się za siebie. Balon był bardzo blisko! Z każdym wdechem i wydechem przeskakiwał od drzewa do drzewa, od

chmury do chmury. Dokąd właściwie biegnę? – pomyślał Will. Chwileczkę, dom Redmanów! Od lat nikt tam nie mieszka! Jeszcze tylko dwie przecznice! W nocnej ciszy rozległ się miękki szelest kroków na zaspanych liściach trawników. Odpowiedział mu znacznie głośniejszy szmer istoty na niebie. Księżycowy śnieg pokrywał cały świat, gwiazdy migotały w czarnej otchłani. Po chwili zatrzymał się gwałtownie przed domem Redmanów. Płuca paliły go niczym pochodnie, gdy przygryzając do krwi wargę wykrzyknął bezdźwięcznie: Tutaj! To mój dom! Poczuł, jak wielka rzeka na niebie zmienia gwałtownie swoje koryto. Doskonale, pomyślał. Jego dłoń przekreśliła gałkę drzwi starego domu. O Boże, jęknął nagle w duchu. A jeśli oni są w środku i czekają na mnie? Otworzył drzwi i ujrzał ciemność. W mroku unosiły się tylko cząsteczki kurzu, spłoszone pająki grały na swych harfach. Poza tym nic się nie ruszało. Will popędził na górę trzeszczącymi schodami, przeskakując po dwa stopnie na raz. Wypadłszy na dach złożył swą broń obok komina i wyprostował się. Balon, zielony jak śluz, pokryty wielkimi podobiznami skrzydlatych skorpionów, starożytnych feniksów, dymów, ogni i chmur, zbliżał się z charkotem, unosząc rozkołysany wiklinowy kosz. Wiedźmo, pomyślał Will, tutaj. Wilgotny cień uderzył go niczym skrzydło nietoperza. Will zachwiał się i rozpaczliwie wyciągnął ręce. Cień, niemal namacalny, niczym czarna masa, atakował go raz po raz. Chłopiec upadł, z całych sił ściskając komin. Mrok spowił go, zdusił. W owym cieniu panował przejmujący chłód, niczym w jaskini na dnie morza. Nagle jednak wiatr zmienił kierunek. Wiedźma syknęła, rozzłoszczona. Pływający w powietrzu balon zatoczył szeroki krąg. Wiatr! – pomyślał szaleńczo chłopiec. Jest po mojej stronie! Nie, nie odchodź! – dodał. Wracaj! Bał się bowiem, że Wiedźma wywęszyła jego plan. Istotnie, cierpliwie wymacywała jego zamiary, sapała i dyszała w poszukiwaniu szczegółów. Will patrzył, jak jej długie paznokcie rozdierają powietrze, drapią je niczym wyryty w wosku obraz, szukając znajomych wzorów. Wiedźma przesuwiała przed sobą dłonie, jakby chłopiec był małym piecykiem, przycupniętym spokojnie gdzieś w głębinach piekieł, a ona przysła, by ogrzać przy nim ręce. Kosz kołysał się niczym ogromne wahadło i Will ujrzał nagle zmrużone, zaszyte oczy staruchy, jej zarośnięte mchem uszy, blade, pomarszczone, morelowe usta, które mumifikując wciągane do środka powietrze próbowały smakować, co jest nie tak z zachowaniem chłopca, z jego myślami. Był zbyt dobry, zbyt niezwykły, zbyt łagodny, zbyt dostępny! Z pewnością o tym wiedziała! I wiedząc wstrzymała oddech. Co sprawiło, że balon zawisł w bezruchu między wdechem a wydechem. Następnie Wiedźma eksperymentalnie wciągnęła powietrze. Balon, nagle obciążony, opadł ku ziemi. Wypuściła je – suche, pozbawione wszelkich śladów wilgoci – i statek śmignął w górę. Ona zaś czekała, zatrzymując kwaśny wilgotny dech w głębi suchych tkanek swego dziecięcego ciała. Will pokiwał do niej i zagrał na nosie. Gwałtownie wessała powietrze. Ciężar tego oddechu pociągnął balon w dół. Bliżej, pomyślał Will. Ona jednak ostrożnie zatoczyła krąg wokół domu, wyczuwając ostrą woń adrenaliny, parującej ze skóry chłopca. Will obrócił się na pięcie, nie spuszczać wzroku z wirującej czaszy. Ty tam, pomyślał, chcesz, żebym się pochorował? Obracasz mną, tak? Żeby zakręciło mi się w głowie? Pozostało mu już tylko jedno. Stał nieruchomo, zwrócony plecami do balonu. Wiedźmo, pomyślał, nie oprzesz się. Wyczuł odgłos nadciągającej chmury zielonego szlamu, wydętego worka stęchłego powietrza, ciche skrzywienie wiklinowych ścian, gdy chłodny cień padł na jego nogi, plecy i kark. Blisko! Wiedźma nabrała w płuca powietrza, które zaciążyło niczym nocne brzemie, balast z gwiazd i zimnego wiatru. Bliżej! Słoniowaty cień musnął jego uszy, Will trącił stopą swą broń. Mrok ogarnął go całkowicie. Po jego plecach przebiegł pająk – jej ręka? Zdusiwszy krzyk odwrócił się gwałtownie. Od wychylającej się z kosza Wiedźmy dzieliło go najwyżej pół metra. Błyskawicznie przykucnął i pochwycił długie drzewce. Wiedźma, wyczuwszy, zrozumiała, co chłopak trzyma w ręku, usiłowała z krzykiem wypuścić z siebie dech. Zamiast tego odruchowo zachłysnęła się powietrzem, przybierając na wadze

i dodatkowo obciążając balon. Dno kosza uderzyło o dach. Will naciągnął cięciwę, ogarnięty niepokonaną żądzą zniszczenia. Łuk złamał się w jego rękach. Przez moment chłopiec wpatrywał się w beużyteczną strzałę. Wiedźma wypuściła zebrane w sobie powietrze w jednym donośnym westchnieniu ulgi i triumfu. Balon szarpnął się gwałtownie. Skrzypiący, grzechoczący kosz, niosący w sobie ciężki ładunek, uderzył w Willa. Wiedźma krzyknęła ponownie, ogarnięta szaleńczą radością. Ściskając krawędź kosza, Will zamachnął się wolną ręką i z całych sił cisnął ostrą strzałę wprost w powłokę balonu. Woskowa starucha zachłysnęła się i skoczyła ku niemu, celując szponami w jego twarz. I w tym momencie – Willowi wydawało się, że minęła co najmniej godzina – grot strzały dotarł do celu, rozdzierając powłokę balonu. Ostrze opadło gwałtownie, jakby cięło miękkie zielone ser. Rozdarcie powiększało się z każdą sekundą i po chwili w gigantycznej zielonej gruszczyźnie już szeroki złowieszczy uśmiech. Ślepa wiedźma bełkotała, jęczała, wykrzywiając usta i skrzeczała, protestując gwałtownie, podczas gdy Will kurczowo trzymał się kosza, zaciskając dłonie na wiklinowej ścianie i bezradnie wymachując nogami. Balon pisał, syczał, jęczał niczym żałobnik na własnym pogrzebie. Z rozdarcia wylewało się stęchłe, cuchnące powietrze. Smoczy dech omiół dach i statek powietrzny, odepchnięty gwałtowną siłą, podskoczył. Will wypuścił kosz i z świstem runął w dół. Obrócił się, uderzył w dachówki, zsunął się gwałtownie po starym pochylonym dachu aż na krawędź i stopami naprzód poleciał dalej w pustkę, rozpaczliwie chwytając rynnę. Przez moment zatrzymał się, wreszcie poczuł, jak metalowe koryto ugina się ze zgrzytem. Unosząc wzrok ku niebu dostrzegł balon, rozdarty i pomarszczony, z cichym gwizdem ulatujący w górę niczym zranione stworzenie, pragnące hen, wśród chmur wyrzucić z siebie przerażenie. Oto postrzelony mamut, który nie chce rozstać się z życiem, lecz targany straszliwym bólem wypływa z siebie cuchnący dech.

Wszystko to ujrzał Will w ułamku sekundy, po czym runął w dół. Nie zdążył nawet podziękować losowi za to, że tuż obok rosło drzewo, bowiem natychmiast wpadł w sieć gałęzi. Potłuczony i poraniony, zdołał jednak powstrzymać swój upadek dzięki materacowi z gałązek, liści i kory. Niczym latawiec zawisł twarzą do księżyca. Znużony i wyczerpany, dosłyszał tylko ostatnie skowoty Wiedźmy, niczym echo podążające za balonem, który unosił ją po spirali coraz dalej od domu, ulicy i miasta. W jej lamentach było coś nieludzkiego.

Balon uśmiechał się, rozdarcie w jego powłoce stawało się coraz większe. Ogarnięty delirium statek powietrzny wędrował bez celu, aby umrzeć na łąkach, z których wcześniej przybył, opadając w dół z dala od uszpionych, obojętnych, nieświadomych domów.

Przez długi czas Will nie był w stanie się poruszyć. Zawieszony wśród gałęzi drzewa, w obawie, że mógłby zsunąć się i zabić na czarnej ziemi w dole, czekał, póki dźwięczący w jego głowie młot kowalski nie ucichł nieco. Uderzenia serca także mogły oderwać go od drzewa i skazać na pewną śmierć. Cieszył się jednak, że je słyszy i wie, że żyje. W końcu jednak, uspokoiwszy się, pozbierał nogi i ręce, żarliwie modląc się w duchu i po szerokim pniu zsunął się na ziemię.

Rozdział XXXI

Przez resztę nocy nie wydarzyło się nic szczególnego.

Rozdział XXXII

O świcie kamiennoszare niebo przeciął oślepiający zygzak błyskawicy, pozostawiając po sobie setki słabych błysków. Krople deszczu padały łagodnie na kopuły miasta, z dźwięcznym śmiechem wylewały się z otworów rynien i przemawiały w dziwnych podziemnych językach pod oknami pokojów, w których Jim i Will leżeli w łóżkach, pogrążeni w kapryśnych snach. Bezustannie narzucali na siebie kolejne senne kostiumy tylko po to, by odkryć, że wszystkie je skrojono z tej

samej czarnej zbutwiałej tkaniny. Na zewnątrz, w świecie szelestów i miarowego bębnienia zimnych kropeł, odezwał się kolejny głos. Na dalekich mokrych łąkach, pośród namiotów lunaparku, z nagłym zgrzytem ożyła karuzela. Jej organy parowe wyrzuciły z siebie cuchnące kłęby muzyki. Możliwe, że tylko jedna osoba w całym mieście usłyszała ów dźwięk i odgadła, że karuzela znów działa. Drzwi domu panny Foley otwarły się i zamknęły; w uliczce zabrzmiały szybkie damskie kroki. Wówczas deszcz rozpadał się na całego; błyskawice tańczyły swój kulawy taniec, na zmianę zalewając blaskiem leżącą w dolinie krainę i pogrążając ją w szarym cieniu. W domach Willa i Jima, za oknami jadalni toczyły się długie, ciche rozmowy. Zabrzmiało parę krzyków i kolejne spokojne słowa. Kwadrans po dziewiątej Jim szurając nogami wyszedł na dwór, opatulony w płaszcz przeciwdeszczowy, kaptur i kalosze. Niedzielny wiatr niósł ze sobą kolejne fale deszczu. Chłopiec stał, spoglądając na dach w miejscu, z którego zniknął ślad olbrzymiego pajaka. Po chwili przeniósł wzrok na drzwi Willa nakazując im, aby się otwały. Posłuchały i stanął w nich jego przyjaciel. W ślad za nim ze środka dobiegł głos ojca: – Mam iść z tobą? Will stanowczo potrząsnął głową. Chłopcy, obmywani strugami chłodnej wody z nieba, w ponurych nastrojach ruszyli naprzód, w stronę posterunku policji, gdzie czekała ich kolejna poważna rozmowa, i domu panny Foley, którą musieli ponownie przeprosić. W tej chwili jednak szli niespiesznie z rękami w kieszeniach, wspominając przerażające wydarzenia poprzedniego dnia. W końcu Jim odezwał się pierwszy. – Zeszłej nocy, kiedy zmyliśmy dach i wreszcie zasnąłem, przyśnił mi się kondukt pogrzebowy. Maszerował środkiem głównej ulicy, jakby przybył w gościnę do miasta. – A może... na paradę? – Tak jest! Tysiąc ludzi odzianych w czarne płaszcze, czarne kapelusze, czarne buty i trumna, długa na piętnaście metrów! – Niech mnie dunder świśnie! – Właśnie! Jaki nieboszczyk może mieć piętnaście metrów wzrostu? – pomyślałem. I we śnie podbiegłem i zajrzałem do środka. Tylko się nie śmieję. – Wcale nie mam zamiaru, Jim. – W długiej trumnie leżało coś wielkiego i pomarszczonego jak suszona śliwka albo ogromne winogrono, które wyschło na słońcu. Przypominało to skórę olbrzyma, czy może gigantyczną zaszuszoną głowę. – Balon! – Hej – Jim przystanął. – Musiałeś mieć ten sam sen. Ale przecież... balony nie umierają, prawda? Will milczał. – I nie urządza się im pogrzebów. – Jim, ja... – Ten diabelski balon leżał tam jak hipopotam, z którego nagle spuszczone powietrze... – Jim, zeszłej nocy... – Czarne pióropusze kołysały się dumnie, orkiestra uderzała w pokryte czarnym aksamitem bębny czarnymi kościanymi pałeczkami. O rany! A potem, jakby tego było mało, musiałem rano wstać i opowiedzieć mamie całą historię – no, nie wszystko, ale dostatecznie dużo, by wybuchnęła płaczem. Potem zaczęła krzyczeć i znów płakała wzdychając, że ma syna przestępcę, ale... my przecież nie zrobiliśmy nic złego, prawda, Will? – Ktoś o mało nie przejechał się na karuzeli. Jim podjął przerwany marsz, nie zważając na deszcz. – Chyba nie chcę już więcej mieć z tym do czynienia. – Chyba? Po wszystkim, co widzieliśmy? Dobry Boże, pozwól, że coś ci opowiem. Wiedźma, Jim, balon! Zeszłej nocy, zupełnie sam, ja... Jednakże nie miał już czasu, by cokolwiek opowiedzieć. Zabrakło mu czasu, aby opisać cios, jaki zadał balonowi, który ze świstem wypuściwszy powietrze odleciał, by umrzeć na odległych pustych łąkach, pociągając ze sobą ślepą kobietę. Ich czas się skończył, ponieważ idąc naprzód w lodowatym deszczu usłyszeli nagle żalospny dźwięk. Mijali właśnie pustą parcelę, w głębi której rósł samotny potężny dąb. Pod nim zalegały deszczowe cienie, wśród których rozbrzmiewał znajomy dźwięk. – Jim – rzucił Will – ktoś płacze. – Nie. – Jim szedł dalej. – Tam jest jakaś dziewczynka. – Nie. – Jego przyjaciel patrzył wprost przed siebie. – Co dziewczynka robiłaby pod drzewem w taką pogodę? Chodź już! – Jim! Słyszysz ją przecież! – Nie! Nie słyszę! Nie! Tymczasem płacz przybrał na sile. Napływał falami ponad martwą trawą, ulatywał w powietrze niczym zasmucony ptak i Jim musiał w końcu się odwrócić, bowiem Will zбочzył z drogi, maszerując na przełaj przez kamienisty trawnik. – Jim – ten głos – ja go znam! –

Will, nie idź tam! Jim trwał w miejscu, jednakże Will, potykając się, maszerował naprzód, póki w końcu nie wkroczył w cień deszczowego drzewa. Padające odpryski nieba niknęły pośród jesiennych liści i spływały wzdłuż gałęzi i pnia lśniącymi rzekami, wsiąkając w ziemię. Wówczas to ujrzał małą dziewczynkę, przykucniętą bezradnie. Kryjąc twarz w dłoniach dziewczynka płakała, jakby całe miasto wraz ze wszystkimi mieszkańcami nagle zniknęło, a ona odkryła, że zabłąkała się w strasliwym lesie. Wreszcie Jim zbliżył się ostrożnie i stając na granicy cienia spytał: – Kto to? – Nie wiem. – Jednak Will poczuł napływające do oczu łzy, jakby w głębi serca już się domyślał. – To nie Jenny Holdridge, prawda? – Nie. – Jane Franklin? – Nie. – Jego usta pełne były nowokainy, język poruszał się ciężko pomiędzy odrętwiałymi wargami. Dziewczynka, wyczuwając ich obecność, zapłakała głośnie, wciąż jednak nie uniosła wzroku. – ...mi... pomóc... nikt nie może mi pomóc... po... po... pomóc... nie chcę tego... Po jakimś czasie, kiedy odzyskała nieco sił i uspokoiła się odrobinę, odwróciła twarz; jej napuchnięte oczy spoglądały na świat przez wąziutkie szparki. W pierwszej chwili widok kogoś stojącego tak blisko zaskoczył ją, potem jednak zdumienie ustąpiło miejsca niedowierzaniu. – Jim! Will! O Boże, to wy! – dziewczynka pochwyciła dłoń Jima, który odskoczył z krzykiem: – Nie! Nie znam cię, puszczaj! – Will, pomóż mi! Jim, och proszę, zostańcie, nie odchodźcie! – wykrztusiła. Z jej oczu popłynęły nowe strużki łez. – Nie, nie! – wrzasnął Jim. Szarpnął się, runął na ziemię i skoczył na równe nogi, unosząc pięść do ciosu. Nagle zastygł, rozdygotany, i powoli opuścił rękę. – Och, Will, Will, chodźmy stąd... Tak mi przykro, Boże, Boże! Dziewczynka, stojąca w cieniu drzewa, także odskoczyła. Otworzyła szeroko wilgotne oczy, utrwalając w nich obraz chłopców, po czym jęknęła, kuląc się w sobie i kołysząc w tył i w przód, niczym matka maleńkie dziecko, pocieszając własne ciało... Wkrótce zapewne zacznie śpiewać do siebie pod mrocznym drzewem, i nikt nie zdoła przerwać owej pieśni.

– ...ktoś musi mi pomóc... ktoś musi pomóc jej... – W głosie dziewczynki zabrzmiała rozpacz, jakby opłakiwała kogoś zmarłego. – ...ktoś musi jej pomóc... nikt nie potrafi... nikt nie mógł... to straszne... straszne... – Ona nas zna! – westchnął Will bezradnie, rozdarty pomiędzy chęcią pomożenia nieznajomej a pragnieniem powrotu do Jima. – Nie mogę jej zostawić. – Kłamstwa! – rzucił gniewnie Jim. – Kłamie! Ona nas nie zna! Nigdy dotąd jej nie widziałem! – Ona odeszła, sprowadźcie ją z powrotem, odeszła, sprowadźcie ją z powrotem – zawodziła żałośnie dziewczynka, zamykając oczy. – Ale kogo? – Will ukląkł na jednym kolanie i odważył się dotknąć jej ręki. Dziewczynka błyskawicznie pochwyciła jego dłoń. Natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd, bowiem Will szarpnął się gwałtownie, a ona puściła go i płakała dalej. Will cierpliwie czekał obok, a Jim, stojący daleko pośród martwych traw wzywał go bezustannie. Muszą iść, nie podoba mu się tutaj, muszą iść, muszą. – Zgubiła się – szlochała dziewczynka. – Pobiegnęła w to miejsce i nie wróciła. Czy zechcesz ją znaleźć? Proszę... Will drżącą ręką pogłodził jej policzek. – No już – szepnął. – Wszystko będzie dobrze. Znajdę ją – dodał łagodnie. Dziewczynka otwarła oczy. – Słowo Willa Hallowsaya, w porządku? Jak babcię kocham, wrócimy tu. Za dziesięć minut. Ale nie możesz stąd odejść. – Potrząsnęła głową. – Zaczekasz na nas pod tym drzewem? – W milczeniu przytaknęła. Will wstał. Nawet to niewinne poruszenie przeraziło ją i wzdrygnęła się gwałtownie, toteż odczekał chwilę, po czym patrząc prosto w jej twarz, rzekł: – Wiem, kim jesteś. – Dostrzegł wielkie znajome szare oczy spoglądające na niego z maleńkiej zbolalej twarzyczki. Ujrzał długie, czarne, mokre od deszczu włosy i blade policzki. – Wiem, kim jesteś. Ale muszę to sprawdzić. – Kto mi uwierzy? – jęknęła. – Ja wierzę – odparł Will. A ona oparła się o drzewo, rozdygotane ręce splotła przed sobą. Wydawała się bardzo szczupła, bardzo blada, bardzo zagubiona, bardzo mała. – Czy mogę już iść? – spytał. Skinęła głową. Will odszedł. Na skraju parceli Jim, ogarnięty wściekłością i niedowierzaniem, histerycznie przebierał nogami. – To niemożliwe! – A jednak tak – odparł Will. –

Jej oczy – to po nich można poznać wiek. Tak jak w przypadku pana Coogera i złego chłopca... To jedyny sposób, aby zyskać pewność. Chodź! I poprowadził Jima przez miasto. Wkrótce znaleźli się przed domem panny Foley. Mimo porannego półmroku w żadnym oknie nie płonęło nawet najśłabsze światło. Razem weszli po schodach i zadzwonili – raz, drugi, trzeci. Cisza. Nagle jękliwie zgrzytnęły zawiasy. Drzwi frontowe otwarły się powoli. – Panno Foley? – zawołał cicho Jim. Gdzieś w głębi domu cienie deszczu poruszyły się na szybach. – Panno Foley...? Stanęli w przedsionku obok przesłaniającej wejście kaskady błękitnych paciorków, nasłuchując. Belki dachu wibrowały lekko i skrzypiały pod naporem ulewy. – Panno Foley! – Głośniej. Odpowiedziało im jedynie cichutkie skrobanie myszy, które znalazły w murach domu ciepłe, przytulne gniazdo. – Wyszła do sklepu – stwierdził Jim. – Nie – odparł Will. – Dobrze wiemy, gdzie jej szukać. – Panno Foley, wiem, że pani tu jest! – krzyknął nagle Jim i popędził na górę. – Niech pani wyjdzie! I to już! Will czekał, pozwalając przyjacielowi przeszukać piętro domu. W końcu Jim zszedł wolno po schodach. Gdy dotarł na dół, obaj usłyszeli dobiegającą z dworu muzykę. Towarzyszyła jej woń jesiennego deszczu i starych zgniłych traw. Daleko wśród wzgórz organy karuzeli odezwały się nagle, odgwizdując Marsza Żałobnego – od tyłu. Jim otworzył szerzej drzwi i zamarł, skąpany w muzyce, tak jak czasem staje się na deszczu. – Karuzela! Naprawili ją! Will przytaknął. – Musiała usłyszeć muzykę i pójść tam o wschodzie słońca. Coś poszło nie tak. Może nie naprawili jej do końca? Może takie wypadki ciągle się zdarzają. Tak jak to, co spotkało sprzedawcę piorunochronów, co sprawiło, że skurczył się i oszalał. Być może lunapark lubi wypadki, bawi się nimi. Albo też zrobili to jej celowo. A jeśli pragnęli dowiedzieć się o nas czegoś więcej, poznać nasze nazwiska albo adresy? Albo też chcieli, by pomogła im nas skrzywdzić? Kto to wie? Możliwe, że ogarnął ją lęk albo zaczęła coś podejrzewać, a wówczas dali jej więcej, niż kiedykolwiek pragnęła. Więcej niż żądała. – Nie rozumiem... Teraz jednak, kiedy stali razem na progu w lodowatym deszczu, nadeszła odpowiednia pora, by myśleć o panie Foley, zabłąkanej w lustrzanym labiryncie, panie Foley w wesołym miasteczku. Może krzyczała, kiedy w końcu zrobili z nią to, co zrobili? Kiedy jechała dokoła, dokoła i znów, znów, straciła zbyt wiele lat, więcej niż kiedykolwiek marzyła. Odbierali jej przeżyte chwile, pozostawiając ją małą i samotną, oszołomioną, nie poznającą samej siebie. I znów dokoła, dokoła, aż wreszcie ostatnie lata odpłynęły i karuzela zatrzymała się gwałtownie niczym koło ruletki, a ona, nic nie zyskawszy, utraciła wszystko. I teraz nie miała już dokąd pójść, nie zdołałaby wyjaśnić obcym, co się stało. Pozostał jej jedynie płacz pod drzewem, samotnie, w jesiennym deszczu...

Wszystko to przemknęło przez głowę Willa. Jim najwyraźniej także o tym myślał, bowiem rzekł: – Och biedactwo, biedactwo... – Musimy jej pomóc, Jim. Kto inny uwierzyłby w coś takiego? Jeśli powie komukolwiek "Jestem panną Foley", odprawią ją natychmiast: "Idź sobie, panna Foley wyjechała z miasta, zniknęła. Uciekaj, dziewczynko". Och, Jim, założę się, że dziś rano dobijała się do dziesiątków drzwi, błagając o pomoc i strasząc ludzi swymi krzykami i jękami. A potem uciekła, poddała się i ukryła pod drzewem. Prawdopodobnie teraz poszukuje jej policja, ale co z tego? W końcu to tylko bezdomna zapłakana dziewczynka. Jeśli ją znajdą, zamkną ją, a ona oszaleje. Ludzie w lunaparku naprawdę wiedzą, jak załatwić człowieka, żeby nie mógł się bronić. Po prostu potrząsają całą jego istotą i odmieniają go tak, by nikt go już nie poznał. A potem puszczają wolno – wszystko w porządku, idź. Proszę bardzo, możesz śmiało o tym mówić, bowiem ludzie zanedo będą się ciebie bali, żeby słuchać. Tylko my słyszymy, Jim, jedynie ty i ja. A w tej chwili czuję się, jakbym zjadł na surowo zimnego ślimaka. Po raz ostatni zerknęli za siebie na deszczowe łązy, spływające po szybach salonu, w którym nauczycielka często podawała im ciastka i gorącą czekoladę. Przypomnieli sobie, jak nieraz machała do nich z okna i wędrowała po mieście, wysoko unosząc głowę. Następnie wyszli na dwór, zamykając za sobą drzwi, i pobiegli z powrotem w stronę pustej parceli. – Musimy ją

ukryć. Póki nie wymyślimy, jak jej pomóc... – Pomóc? – wydyszał Jim. – Nie potrafimy nawet pomóc samym sobie. – Musi istnieć jakaś broń, coś zupełnie oczywistego. Po prostu nie umiemy jej dostrzec... Zamarli. Bowiem oprócz łomotu własnych serc usłyszeli głośniejszy huk. Zawyły trąbki. Zagrały puzony. Stado tub ryknęło niczym setka spłoszonych słoni. – Lunapark – wykrztusił Jim. – Nigdy nie przyszło nam to do głowy. Może przybyć wprost do miasta. Na paradę! Albo pogrzeb z mojego snu, pogrzeb balonu. – Nie przychodzą na pogrzeb ani na paradę, choć w istocie tak mogłoby to wyglądać, lecz na poszukiwania, Jim. I to my jesteśmy celem. Albo może panna Foley, jeśli chcą ją odzyskać! Mogą przemaszerować wszystkimi ulicami, dumni i elegancy, i wypatrzeć nas, gdziekolwiek się ukryjemy, przy wtórze bębnow i piszczałek. Jim, musimy do niej dotrzeć, zanim... Urywając w pół słowa, popędzili naprzód. Nagle jednak stanęli jak wryci i odskoczyli, kryjąc się za krzakami. U wylotu ulicy pojawiła się orkiestra z wesołego miasteczka, za nią wozy ze zwierzętami, kłowni i dziwolągi. Wśród ogłuszającego hałasu cały barwny korowód przepłynął pomiędzy nimi i pustą parcelą, na której rósł wielki samotny dąb. Przemarsz lunaparku trwał co najmniej pięć minut. Tymczasem ulewa zdawała się słabnąć; chmury towarzyszyły paradzie w dalszej drodze. W końcu deszcz ustał, łoskot werbli ucichł w oddali. Chłopcy pobiegli susami w dół alejki, na drugą stronę ulicy, by w końcu zatrzymać się na pustej parceli. Pod drzewem nie dostrzegli ani śladu dziewczynki. Okrążyli dąb i usiłując przeniknąć wzrokiem gąszcz gałęzi. Żaden z nich nie śmiało głośno wymówić jej nazwiska. Potem zaś przerażeni odbiegli, aby ukryć się gdzieś w mieście.

Rozdział XXXIII

Zadzwoił telefon. Pan Halloway podniósł słuchawkę. – Tato, mówi Willy. Nie możemy pójść na policję. Pewnie

w ogóle nie wrócimy dziś do domu. Uprzedź mamę, powiedz też mamie Jima. – Will, gdzie jesteście? – Musimy się ukryć. Szukają nas. – Kto, na miłość boską? – Nie chcę cię do tego mieszać, tato. Musisz mi uwierzyć. Pozostaniemy w ukryciu przez dzień, może dwa, póki nie odejdą. Gdybyśmy wrócili do domu, przyszliby za nami i skrzywdziliby cię, mamę albo matkę Jima. Muszę już iść. – Willy, nie! – Och, tato – westchnął Will. – Życz mi powodzenia. Trzask. Pan Halloway wyrzwał za okno na drzewa, dom, ulicę i usłyszał odległą muzykę. – Willy – powiedział do głuchej słuchawki. – Powodzenia. Następnie założył płaszcz i kapelusz i wyszedł na dwór, skąpany w dziwnym blasku deszczowego słońca, rozświetlającym chłodne powietrze.

Rozdział XXXIV

Gdyby w to niedzielne przedpołudnie, skąpane w dźwięku kościelnych dzwonów, których śpiewy splatały się ze sobą, zastępując wcześniejszą ulewę kaskadą wibrujących dźwięków, ktoś obcy stanął przed trafiką z cygarami, należąca do Zjednoczenia Sklepów Tytoniowych, ujrzałby drewnianego Indianina, Czirokeza. Na jego rzeźbionym pióropuszu perliły się krople wody, on zaś stał obojętny na dzwony, bijące w kościołach katolików i baptystów, na zbliżający się z każdą chwilą brzęk talerzy, stanowiących pogańskie serce orkiestry z lunaparku. Grzmiące werble, starczy skrzyp organów, przebiegające obok cienie istot znacznie dziwniejszych niż on sam, nie robiły wrażenia na Indianinie, który spokojnie wpatrywał się w przestrzeń żółtymi jastrzębimi oczyma. Tymczasem jednak łoskot werbli uderzył o ściany kościołów i wywabił na zewnątrz chmury chłopców, zaciekawionych i spragnionych odmiany, takiej, siakiej lub owakiej. Toteż gdy padający z dzwonnicy deszcz srebrnych i stalowych dźwięków ustał, zeszywniałe od siedzenia w ławkach gromady wiernych przerodziły się w odprężony tłum gapiów na paradzie, podczas gdy wesołe miasteczko defilowało przed nimi przy wtórze mosiężnych trąbek, wśród szelestu aksamitów i łopotu

proporców, wyniosłe jak lew, ogromne jak mamut. Cień drewnianego indiańskiego tomahawka padał na żelazną kratę w chodniku przed sklepem z cygarami. Od wielu lat przechodzący tędy ludzie pobudzali pręty do metalicznego zaśpiewu. Upuszczali też do środka dziesiątki kilogramów papierków od gumy do żucia, złotych opasek z cygar, spalonych zapalek, niedopałków i miedzianych centów, które na zawsze znikają w dole. Teraz, podczas parady, setki stóp uderzały o żelazną kratę i tłoczyły się na niej, gdy na ulicy pojawili się błażni na szrudłach, zwiastujący nadejście lunaparku. Po chwili w pobliżu zagrzmiął tygrysi ryk orkiestry, wulkaniczny grzmot werbli i na jezdni rozpętało się szaleństwo barw. W dole pod kratą dwie postacie zadrżały, wstrząsane deszczem strachu. Nad nimi wielki barokowy paw pochodu maszerował po ceglach i asfalcie; oczy dziwolągów otwierały się szeroko, wypatrując, muskając dachy biur, iglice kościołów, odczytując szyldy dentystów i optyków, zaglądając do pasmanterii i sklepów z drobiazgami, podczas gdy huk bębnow wstrząsał szybami wystaw, a woskowe manekiny dygotały w sztucznym przerażeniu. I korowód odmieńców, połyskujący setkami ognistych, niewiarygodnie lśniących oczu maszerował naprzód, spragniony, lecz niezdolny zaspokoić owego pragnienia. Bowiem ci, których pożądał najbardziej, ukrywali się w ciemności. Jim i Will, przycupnięci pod kratą na chodniku przed trafiką. Kulili się na ziemi i zadzierali głowy do góry, mierząc czujnym wzrokiem każdego przechodnia. Gorączkowo wciągali w płuca powietrze zimne i obce niczym żelazny lód. Nad nimi

kwieciste sukienki kobiet falowały na wietrze, męskie sylwetki odcinały się ostro na tle jasnego nieba. Orkiestra odegrała kolejną fanfarę; ogłuszający trzask talerzy sprawił, że dzieci przywarły do kolan matek. – Patrz! – wykrzyknął nagle Jim. – Parada. Przechodzą dokładnie przed trafiką. Co my tu robimy, Will? Uciekajmy! – Nie! – zawołał Will ochryple, zaciskając dłoń na kolanie przyjaciela. – To najbardziej oczywiste miejsce, dokładnie na widoku. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, aby nas tu szukać. Zamknij się! Wrrrrruuummmmm... Krata zadzwierczała pod naciskiem męskiej stopy, wytarte ćwieki w podeszwie zazgrzytały o metal. Tato! – wykrzyknął w duchu Will. Uniósł się odruchowo, po czym opadł z powrotem na ziemię, przygryzając wargi. Jim patrzył, jak mężczyzna nad nimi obraca się niepewnie na różne strony, wyraźnie czegoś szukając. Był tak blisko, a jednak tak daleko, niecały metr nad ich głowami. Wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, pomyślał Will. Lecz tato, blady, zdenerwowany, pospieszył dalej. A Will poczuł, jak nagły chłód mrozi jego duszę, która zadygotała niczym biała mętna galaretka. Brzdęk! Chłopcy gwałtownie unieśli wzrok. Nieforemna bryłka różowej gumy do żucia przeleciała między prętami i uderzyła w stosik starych papierów obok stopy Jima. W górze pięcioletni chłopczyk przykucnął na kracie i zajrzał do środka, zmartwiony utratą ulubionej słodkości. Uciekaj! – pomyślał Will. Chłopiec ukląkł, zaciskając palce na żelaznych prętach. No dalej, pomyślał Will. Nagle poczuł szaleńczą ochotę, by chwycić gumę i wepchnąć ją z powrotem wprost w usta chłopczyka. Werble lunaparku zagrzmiwały po raz ostatni, a potem zapadła cisza. Jim i Will spojrzeli po sobie. Parada, pomyśleli obaj. Zatrzymała się. Mały chłopczyk przesunął dłoń między prętami. W górze, na ulicy, pan Dark, Człowiek Ilustrowany, obejrzał się na swą rzekę dziwolągów i klatek, na lśniące oślepiającym blaskiem tuby i poskręcane mosiężne rogi. Skinął głową. Kolumna rozpadła się nagle. Dziwolągi pospieszyły na chodniki, mieszając się z gapiami, rozdając ulotki. Ich oczy, płonące i czyste jak kryształ, atakowały tłum niczym węże. Will poczuł na policzku chłód cienia, rzucanego przez chłopca w górze. Parada dobiegła końca, pomyślał. Teraz rozpoczynają się poszukiwania. – Zobacz, mamó! – chłopczyk wskazał palcem kratę. – Tutaj!

Rozdział XXXV

W "Nocnej Norce Neda", niedaleko trafiki, Charles Halloway, wyczerpany po bezsennej nocy, męczących rozmyślaniach i stanowczo zbyt długiej wędrówce dopił drugą filiżankę kawy i miał

właśnie zapłacić, gdy zaniepokoiła go nagła cisza, jaka zapadła na ulicy. Bardziej wyczuł niż dostrzegł poruszenie na dworze, gdy uczestnicy parady wtopili się w tłum. Nie wiedząc, dlaczego to robi, Charles Halloway schował portfel do kieszeni. – Jeszcze jedną, dobrze, Ned? Ned nalewał właśnie kawę, kiedy drzwi otwały się szeroko. Ktoś wszedł do środka i położył lekko na barze swą dłoń. Charles Halloway spojrział na nią. Dłoń odpowiedziała mu spojrzeniem. Na grzbiecie każdego palca miała wytatuowane jedno oko. * – Mamo! Tutaj! Na dole! Chłopiec krzyczał, wskazując kratę. Obok niego przepływały kolejne cienie; każdy z nich zatrzymywał się na chwilę. A między nimi – Szkielet. Wysoki niczym zimowe uschnięte drzewo, zbudowany wyłącznie ze szczudlastych kości, człowiek-strach na wróble, chudzielec, Szkielet, pan Czaszka, grał na ksylofonie swojego cienia, posyłając go na poszukiwanie ukrytych w mroku rzeczy – zimnych śmieci, ciepłych drżących chłopców, przycupniętych w dole. Idź sobie, pomyślał Will. Idź! Pulchne paluszki dziecka gestykulowały gwałtownie. Idź! Pan Czaszka odszedł. Dzięki Bogu, pomyślał Will, po czym jęknął nagle: – O nie! Nad nimi znikąd pojawił się Krasnal, maszerujący naprzód rozkołysanym krokiem. Dzwoneczki, którymi obszyto jego brudną koszulę, dźwięczały łagodnie, u stóp kulił się pokrzywiony jak ropucha cień. W oczach przypominających odłamki brązowego marmuru połyskiwało szaleństwo, na zmianę radosne i pogodne, oraz pełne głębokiego bólu i cierpienia. Wzrokiem poszukiwał czegoś, czego nie da się znaleźć, utraconej gdzieś własnej istoty, zagubionych chłopców i znów swego dawnego ja. Dwie części skurczonego umysłu toczyły nieustanną walkę, pociągając za sobą błyszczące oczy to tu, to tam, w górę, w dół, dokoła; jedna szukała śladów przeszłości, druga chwili obecnej. – Mamo! – nalegało dziecko. Krasnal przystanął na wprost chłopca nie większego od siebie. Ich spojrzenia spotkały się. Will przywarł kurczowo do ściany studzienki, próbując przykleić swe ciało do betonu. Wyczuł, że Jim uczynił to samo, tyle że nie ciałem, a duszą, umysłem, kierując go w mrok, aby ukryć się przed rozgrywanym na górze dramatem. – Chodź już, Juniorze! – Głos kobiety. Czyjaś ręka odciągnęła chłopczyka. Za późno. Bowiem Krasnal spojrział w dół. I w jego oczach dostrzegli zagubione, chaotycznie rozsypane fragmenty człowieka zwanego Furia, który sprzedawał piorunochrony – jak wiele dni, miesięcy, lat temu? – w odległych, bezpiecznych i cudownych latach, zanim narodził się strach. Och, panie Furio, pomyślał Will, co oni panu zrobili! Wrzucili pana pod kafar, zmiażdżyli w stalowej prasie, wycisnęli z pana łzy i krzyk, uwięzili w ciasnej skrzynce i trzymali tam, ściśniętego, tak długo, póki nie zostało z pana nic, panie Furio... nic, poza... Krasnałem. Zaś twarz Krasnala przypominała w tej chwili mniej człowieka, a bardziej maszynę; a ściślej, aparat fotograficzny. Migawki ślepych oczu rozwarły się szerzej, napotkawszy ciemność. Trzask. Dwie soczewki odsłoniły się i zamknęły w jednym płynnym ruchu, robiąc zdjęcie kraty. Czy także tego, co kryło się pod nią? Czy on patrzy na metal, pomyślał Will, czy też w przestrzeń pomiędzy prętami? Przez długą chwilę zmiażdżona gliniana lalka, zwana Krasnałem, tkwiła w miejscu, przykucnięta, choć przecież wyprostowana. Obiektywy jego oczu rozwarły się szeroko. Może nadal robiły zdjęcia? Tak naprawdę owe oczy w ogóle nie dostrzegały Willa i Jima, uchwyciły jedynie ich kształt, barwę, rozmiar. Wszystko to zostało zamknięte w małej bezkształtnej czaszce. Później – jak dużo później? – szalony, wędrujący bez celu, odosobniony i zagubiony piorunochron umysłu wywoła owe zdjęcia. Wówczas dopiero oczy Krasnala naprawdę ujrzą to, co kryje się pod kratą. A wtedy? Objawienie! Zemsta! Zniszczenie! Trzask-prask. Obok ze śmiechem przebiegły dzieci. Ich radość i swoboda przyciągnęły uwagę Krasnala, który sam także przypominał dziecko; teraz bezmyślnie pobiegł w ich ślady. Po chwili odskoczył na bok, przypominając sobie, po co znalazł się w mieście, i znów wyruszył na poszukiwania, choć sam nie wiedział, czego właściwie szuka. Widoczne pośród chmur słońce zalało swym blaskiem poranne niebo. Dwaj chłopcy, zamknięci w studni pośród szachownicy światła i cieni, powoli wypuścili oddech spomiędzy zaciśniętych zębów. Jim z całych

sił uściskał dłoń Willa. Obaj czekali, nie wiedząc, czy za chwilę nie pojawią się kolejne oczy, które przenikną zasłonę stalowej kraty. * Niebieskie-czerwone-zielone tatuowane oczy, cała piątka, odpadły nagle od baru. Charles Halloway, sączący trzecią kawę, odwrócił się lekko na obrotowym stołku. Człowiek Ilustrowany obserwował go. Charles Halloway skinął głową. Człowiek Ilustrowany nie zareagował. Patrzył jedynie na niego tak długo, póki dozorca nie zapragnął odwrócić wzroku. Nie uczynił tego jednak, mierząc spokojnym spojrzeniem impertynenckiego intruza. – Życzy pan sobie czegoś? – spytał właściciel kawiarni. – Niczego. – Pan Dark obserwował ojca Willa. – Szukam dwóch chłopców. A kto nie szuka? Charles Halloway wstał, zapłacił i ruszył do wyjścia. – Dzięki, Ned. Wychodząc dostrzegł, jak wytatuowany mężczyzna unosi ręce dłońmi do góry i pokazuje je barmanowi. – Chłopców? – spytał Ned. – W jakim wieku? Drzwi trzasnęły. Pan Dark patrzył, jak Charles Halloway odchodzi w głąb ulicy. Ned mówił. Lecz Człowiek Ilustrowany nic nie słyszał.

*

Ojciec Willa skierował się w stronę biblioteki, przystanął, skręcił w kierunku sądu, przystanął, odczekał chwilę, zastanawiając się, co ma robić dalej, pomacał kieszeń, zorientował się, że nie ma co palić i ruszył w stronę trafiki. Jim uniósł głowę, dostrzegł znajome stopy, bladą twarz, szpakowate włosy. – Will! Twój tato! Zawołaj go! On nam pomoże. Will nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. – W takim razie ja go zawołam. Dłoń przyjaciela uderzyła Jima w ramię. Will gwałtownie potrząsnął głową. Nie! Czemu nie? – spytały wargi Jima. Dlatego, odparły usta Willa. Bowiem... – spojrzał ku górze. Stojący tam tato wydawał się jeszcze mniejszy niż zeszłej nocy, kiedy syn oglądał go ze ściany domu. Zupełnie jakby wezwali na pomoc przechodzącego obok chłopca. Nie potrzebowali jeszcze jednego kolegi, tylko generała, więcej, marszałka. Próbował dostrzec twarz taty, odbitą w szybce nad okienkiem trafiki, i przekonać się, czy naprawdę wygląda starzej, pewniej, silniej niż ostatniej nocy, skąpany w mlecznym blasku księżyca. Widział jednak tylko palce ojca, drgające nerwowo, jego usta poruszające się lekko, jakby nie śmiał poprosić pana Tetleya o to, czego pragnął...

– Jedno... właśnie... jedno cygaro za dwadzieścia pięć centów. – Mój Boże – westchnął w górze pan Tetley. – Cóż za bogacz. Charles Halloway niespiesznie zsunął z cygara celofan, czekając na jakiś znak, ruch ze strony wszechświata, który pokaże mu, dokąd winien się udać, czemu wrócił w to miejsce po cygaro, którego wcale nie chciał. Wydało mu się, że słyszy, jak ktoś dwukrotnie woła jego nazwisko. Przebiegł wzrokiem po tłumach, dostrzegając rozdających ulotki kłownów; następnie zapalił cygaro, na które wcale nie miał ochoty, nachylając się nad błękitnym wiecznym ognikiem, który płonął u wylotu małej srebrzystej rurki na ladzie. Wydmuchując z ust kłęb dymu, upuścił wolną ręką opaskę cygara i patrzył, jak opada na metalową kratę i znika. Jego wzrok podążył głębiej w mrok, gdzie... Opaska spoczęła u stóp Willa Hallowaya, jego syna. Charles Halloway zakrztusił się dymem. Dwa cienie, o tak. I pełne grozy oczy, błyszczące w ciemnej studni pod ulicą. W ostatniej chwili powstrzymał chęć, aby schylić się, złapać kratę i wrzasnąć. Zamiast tego, pełen niedowierzania, spytał cicho, świadom obecności rozbawionego tłumu: – Jim? Will! Co się, do diabła, dzieje? W tym momencie, trzydzieści metrów dalej, Człowiek Ilustrowany wynurzył się z Nocnej Norki Neda. – Panie Halloway... – zaczął Jim. – Wyłażcie stamtąd! – polecił Charles Halloway. Człowiek Ilustrowany, samotny wśród niezliczonych rzesz ludzi, powoli obrócił się dokoła, po czym ruszył w stronę trafiki. – Tato, nie możemy! Nie patrz na nas! Człowieka Ilustrowanego dzieliło od nich najwyżej dwadzieścia metrów. – Chłopcy – odparł Charles Halloway. – Policja... – Panie Halloway – wtrącił ochryple Jim – jeśli nie podniesie pan wzroku, już jesteśmy martwi! Jeżeli Człowiek Ilustrowany nas znajdzie... – Kto? – spytał pan Halloway. – Ten mężczyzna z tatuazami! Pan Halloway przypomniał sobie nagle patrzącą na niego z kontuaru piątkę czujnych

niebieskich oczu. – Tato, patrz na zegar na wieży sądu. My tymczasem opowiemy ci, co się zdarzyło... Pan Halloway wyprostował się. I dokładnie w tej chwili stanął przed nim Człowiek Ilustrowany. Zatrzymał się, obserwując Charlesa Hallowaya. – Proszę pana... – rzucił. – Dokładnie jedenasta piętnaście. Charles Halloway raz jeszcze przyjrzał się zegarowi na wieży i nie wypuszczając z ust cygara ustawił wskazówki własnego zegarka. – Późni się o minutę. – Proszę pana – zagadnął Człowiek Ilustrowany. Will obejmował mocno Jima, Jim Willa, tkwiąc nieruchomo w zasłanej papierkami i tytoniem studni, podczas gdy w górze ze zgrzytem przesuwwały się dwie pary butów. – Proszę pana! – powiedział mężczyzna nazwiskiem Dark, badając twarz Charlesa Hallowaya, oceniając jego kości i porównując z innymi podobnymi ludźmi. – Połączone Pandemonia Coogera i Darka wybrały dwóch miejscowych chłopców – tylko dwóch! – na naszych specjalnych gości podczas wizyty w tym mieście! – No cóż, ja... – ojciec Willa z całych sił starał się nie patrzeć na chodnik. – Ci dwaj chłopcy... Will obserwował ostre jak zęby ćwieki w podeszwach Człowieka Ilustrowanego, krzeszące iskry z kraty. – Ci chłopcy będą mogli wypróbować każdą karuzelę,

obejrzyć każde przedstawienie, uścisnąć dłonie wszystkich artystów i wrócić do domów z zestawami magicznymi, kijami do baseballa... – Kim – przerwał mu pan Halloway – są ci szczęściarze? – Wybraliśmy tę dwójkę dzieci uwiecznionych na zdjęciach zrobionych wczoraj w lunaparku. Jeśli rozpozna ich pan, będzie pan mógł przyłączyć się do nich. Oto ci chłopcy.

Zobaczył nas, pomyślał Will. O Boże! Człowiek Ilustrowany wysunął przed siebie ręce. Ojciec Willa wzdrygnął się lekko. Z prawej dłoni mężczyzny spoglądała na niego twarz Willa, wytatuowana jasnoniebieskim tuszem. Na drugiej dłoni ujrzał wyszytego barwną nicią Jima, niezatarty ślad, który zdawał się naturalny jak samo życie. – Zna ich pan? – Człowiek Ilustrowany widział, jak gardło pana Hallowaya zaciska się, jego powieki opadają, kości wibrują niczym uderzone kowalskim młotem. – Ich nazwiska? Ostrożnie, tato! – pomyślał Will. – Ja nie... – zaczął ojciec Willa. – Zna ich pan. Ręce Człowieka Ilustrowanego zadrżały i wyciągnęły się, prosząc o dar imion. Twarze obu chłopców – te nakreślone na jego ciele i te ukryte w mroku pod ulicą – zadrżały i wykrzywiły się w nagłym spazmie. – Nie chce pan chyba, żeby stracili taką wygraną...? – Nie, ale... – Ale, ale, ale? – pan Dark nachylił się bliżej, wspaniały, pokryty galerią niezliczonych obrazów. Jego oczy, oczy wszystkich bestii i bezradnych stworzeń przenikające przez koszulę, płaszcz i spodnie przygwoździły starego człowieka, parząc go niby ogień. Przez chwilę ojciec Willa znalazł się pod obstrzałem tysięcy spojrzeń. Pan Dark uniósł wyżej obie dłonie. – Ale? Pan Halloway zapragnął nagle zrobić komuś krzywdę. Mocno przygryzł koniuszek cygara. – Przez moment wydało mi się, że... – Że co? – w głosie pana Darka zabrzmiała dzika radość. – Jeden z nich wyglądał jak... – Jak kto? Za bardzo mu zależy, pomyślał Will. Widzisz to chyba, tato? – Proszę pana – mruknął ojciec Willa. – Czemu tak bardzo denerwuje się pan tymi chłopcami? – Denerwuję...? Uśmiech pana Darka rozpułynał się jak cukrowa wata na deszczu. Jim skulił się niczym karzeł, Will, skurczony, stał się mniejszy niż Krasnal. Obaj patrzyli ku górze, czekając na wyrok. – Ależ drogi panie – odparł pan Dark – czy tak właśnie odebrał pan mój entuzjazm? Jakbym się denerwował? Ojciec Willa dostrzegł sznury mięśni na ramionach mężczyzny, napinające się i opadające niczym żmija bądź grzechotnik – bez wątplenia zresztą oba te stworzenia zostały uwiecznione gdzieś na jego ciele w całej swej jadowitej okazałości. – Jeden – oświadczył przeciągle – wygląda jak Milton Blumquist.

Pan Dark zwinął dłoń w pięść. Głowę Jima przeszył oślepiający ból. – Drugi – ciągnął nonszalancko pan Halloway – przypomina Avery'ego Johnsona. Och tato, pomyślał Will, jesteś wspaniały! Człowiek Ilustrowany zamknął drugą dłoń. Will o mało nie krzyknął; na jego głowie zacisnęło się niewidzialne imadło. – Obaj chłopcy – dokończył jego ojciec – przeprowadzili się do Milwaukee parę tygodni temu. – Pan kłamie – oznajmił chłodno pan Dark. Pan Halloway spojrział na

niego, wstrząśnięty. – Ja? Miałbym zepsuć zabawę zwycięzcom waszego konkursu? – Prawda jest taka – dodał pan Dark – że dziesięć minut temu powiedziano nam, jak nazywają się ci chłopcy. Chciałem jedynie się upewnić. – Ach tak? – mruknął z niedowierzaniem ojciec Willa. – Jim – stwierdził pan Dark. – I Will. Jim zadygotał w ciemnościach, Will spuścił głowę garbiąc plecy; z całych sił zaciskał oczy. Twarz ojca Willa była niczym staw. Dwa ciemne kamienie imion zatoneły w nim, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. – Tylko imiona? Jim? Will? W naszym mieście znajdzie pan

mnóstwo chłopców, którzy tak się nazywają, zapewne parę setek. Will, przycupnięty na ziemi, poruszył się niespokojnie. Kto mu powiedział? Panna Foley? Ale przecież odeszła, jej dom stoi pusty. Wypełniają go jedynie deszczowe cienie. Poza nią istniała tylko jedna osoba... Płacząca pod drzewem dziewczynka, która tak bardzo przypominała nauczycielkę? Ta, której okropnie się wystraszyli? Kiedy orszak dziwołagów przechodził tamtędy, pół godziny temu, z pewnością ją dostrzegli, a ona, po wielogodzinnym płaczu, zrozpaczona i wyczerpana, była gotowa uczynić cokolwiek zechcą, powiedzieć każde kłamstwo, byleby tylko posadzili ją na koniu i przy dźwiękach niezwyklej muzyki znów ją postarzyli. Byle tylko powstrzymali jej płacz, naprawiając to, co się stało, i uczynili ją taką jak kiedyś. Czy lunapark przyrzekł jej coś i skłamał? Przypomniał sobie rozmowę pod drzewem. Dziewczynka płakała, ale nie mówiła im wszystkiego, ponieważ... – Jim, Will – powtórzył ojciec Willa. – To tylko imiona. A co z nazwiskami? Pan Dark nie znał ich nazwisk. Jego wszechświat potworów pocił się, pokrywając skórę swego właściciela warstewką fosforu. Kwaśna cuchnąca ciecz wystąpiła pod pachami, spłynęła po potężnych żyłastych nogach. – Teraz to ja sędzę, że pan kłamie – stwierdził ojciec Willa z dziwnym spokojem, który stanowił dla niego cudowne, zupełnie nowe doświadczenie. – Nie zna pan ich nazwisk. Czemu pan, obcy, pracujący w lunaparku, okłamuje mnie na ulicy naszego prowincjonalnego miasteczka? Człowiek Ilustrowany z całych sił zacisnął swe pokryte kaligraficznymi znakami dłonie. Ojciec Willa z poważną twarzą przyglądał się owym złowrogim splecionym palcom, sterczącym kostkom, paznokciom wbitym w skórę skrywającym w sobie dwie twarze chłopców, miażdżone powoli w mrocznych imadłach, uwięzione w obcym ciele. Dwa cienie w dole wiły się z bólu. Oblicze Ilustrowanego Człowieka rozchmurzyło się nagle. Jednakże z jego prawej dłoni spadła jasna kropla. Z lewej także. Obie krople zniknęły w otworze, zakrytym stalową kratą. Will sapnął, czując na twarzy nagłą wilgoć. Przycisnął do niej rękę, po czym spojrzał na nią. Kropla, która trafiła go w policzek, była jaskrawoczerwona. Odwrócił się do Jima, który leżał bez ruchu, bowiem najwyraźniej kaleczenie rąk, prawdziwe bądź urojone, dobiegło końca. Obaj unieśli wzrok ku miejscu, w którym buty Ilustrowanego Człowieka krzesaly iskry na kracie; stal zgrzytała o stal. Ojciec Willa również dostrzegł krew, ściekającą z zaciśniętych pięści i natychmiast zmusił się, aby patrzeć wyłącznie na twarz swego rozmówcy. – Przykro mi – rzekł. – Nie potrafię panu pomóc. Za plecami Ilustrowanego Człowieka zza rogu wychynęła odziana w barwny cygański strój woskowa postać, gestykulująca nieustannie w powietrzu. Jej oczy skrywały fioletowe okulary. Jasnowidząca, Pyłowa Wiedźma zbliżała się do nich, mamrocząc pod nosem. Chwilę później, unosząc wzrok, Will dostrzegł ją. Więc jednak żyje, pomyślał. Balon zniósł ją, zarobiła parę siniaków, ale wróciła, gniewniejsza niż kiedykolwiek. O Boże, jest wściekła i szuka właśnie mnie! Ojciec Willa także ją ujrzał. Jego tłukące się w piersi serce zabiło wolniej, krew niemal zastygła w żyłach. Tłum rozstępował się radośnie, ze śmiechem komentując barwny, choć nieco obdarty kostium. Ludzie próbowali zapamiętać rymy Wiedźmy, aby powtórzyć je później znajomym. Ona zaś wędrowała naprzód, badając palcami kształt miasta, jakby było ono jedynie niezwykle skomplikowanym misternym gobelinem. Wędrując śpiewała: – Przepowiem mężów. Przepowiem żony. Przepowiem śluby. Przepowiem zgony. Wiem,

co się kryje w duszy zakamarku. Przyjdźcie, odwiedźcie mnie w lunaparku. Zdradzę ci oczu jego błysk. Zdradzę jej kłamstwa, strach i zysk. Powiem, do czego zmierza rad. Poznasz jej duszy barwny kwiat. Dla małych dzieci i nocnych marków. Przyjdźcie, odwiedźcie mnie w lunaparku. Dzieci patrzyły na nią ze wstrętem i podziwem, rozweseleni rodzice odprowadzali wzrokiem zgarbioną postać, a tymczasem Cyganka, władczyni pyłu życia, śpiewała. W jej pomrukach schronił się czas. Tkąta i zrywała mikroskopijne sieci pomiędzy palcami, wylapując ulatujący w górę popiół, wyrzucane z ust oddechy. Muskała skrzydełka much, dusze niewidzialnych bakterii, pyłki, drobinki i odłamki miki, połyskujące w słońcu, targane wiatrem i znacznie głębiej skrytymi uczuciami. Will i Jim skulili się w dole. – Owszem, jestem ślepa, lecz widzę, co widzę. Widzę, skąd przychodzę, widzę, dokąd idę – powiedziała cicho Wiedźma. – Oto mężczyzna, który nawet jesienią zakłada słomkowy kapelusz. Witam. A tutaj – ależ to pan Dark i jakiś stary człowiek... stary człowiek... Wcale nie jest stary! – wykrzyknął w duchu Will, gwałtownie mrugając oczami. Spojrzał na trójkę dorosłych w górze dokładnie w chwili, gdy Wiedźma przystanęła i jej cień, zimny i wilgotny jak żaba, padł na ukrytych chłopców. – ...stary człowiek... Pan Halloway poczuł w brzuchu gwałtowny ból, zupełnie jakby jego żołądek przeszła seria lodowatych sztyletów. – ...stary człowiek... stary człowiek... – mówiła Wiedźma. – Ach... – i nagle urwała. Włoski w jej nozdrzach poruszyły się. Szeroko otworzyła usta, smakując powietrze. – Ach... Człowiek Ilustrowany wyraźnie spał się w sobie. – Chwileczkę – westchnęła Cyganka. Jej paznokcie skrobały niewidoczną tablicę powietrza. Will miał ochotę szczechnąć, warknąć i zaskowyczeć jak przerażony kundel. Powoli jej ręce zniżyły się, wyczuwając widma barw, starannie ważąc ciężar światła. Czekali pewni, że już za moment długi palec wyciągnie się w stronę kraty na chodniku wskazując: tutaj! tutaj! Tato! – pomyślał Will. Zrób coś! Człowiek Ilustrowany, który w obliczu ślepej, lecz świadomej wszystkiego damy natychmiast odzyskał straconą cierpliwość, patrzył z miłością na Wiedźmę. – Ha... – Palce staruchy zaswędziały nagle. – Ha! – westchnął donośnie ojciec Willa. Wiedźma wzdygnęła się. – Ha, oto świetne cygare – ryknął pan Halloway, odwracając się uroczyście w stronę okienka. – Spokojnie... – rzucił Człowiek Ilustrowany. Chłopcy unieśli wzrok. – Teraz... – Wiedźma węszyła na wietrze. – Muszę znów je zapalić – pan Halloway wetknął koniuszek cygara w wieczny błękitny płomień. – Ciszej... – zasugerował pan Dark. – Pali pan? – spytał tato. Wiedźma, wstrząśnięta dźwiękiem donośnych, przesadnie jowialnych słów, opuściła na bok jedną zranioną dłoń, otarła z niej pot, jak technik wycierający antenę, aby lepiej odbierała sygnał i uniosła ją ponownie. Jej nozdrza rozszerzyły się lekko. – Ach! – ojciec Willa wydmuchnął z ust chmurę tytoniowego dymu. Otoczyła ona gęstym obłokiem ślepą kobietę. – Gah! – zakrzuszyła się głośno. – Przekleństwo! – warknął Człowiek Ilustrowany, jednakże chłopcy nie wiedzieli, czy słowo to adresował do mężczyzny, czy też do kobiety. – Chętnie kupię panu takie. – Pan Halloway wydmuchnął kolejną chmurę dymu, podając panu Darkowi cygare. Wiedźma kichnęła donośnie, odskoczyła i chwiejnym krokiem umknęła w głąb ulicy. Człowiek Ilustrowany chwycił rękę taty, natychmiast zrozumiał, że posunął się za daleko, puścił ją i mógł już jedynie podążyć w ślad za swoją Cyganką, dokonując niezręcznego i zupełnie nieoczekiwanego odwrotu. Już na odchodnym usłyszał głos ojca Willa: – Życzę panu miłego dnia! Tato, nie! – pomyślał Will. Człowiek Ilustrowany zawrócił. – Jak pana godność? – zapytał otwarcie. Nie mów mu, błagał w duchu Will. Jego ojciec zastanowił się przez moment, wyjął z ust cygare, strzepnął popiół i powiedział cicho: – Halloway. Pracuję w bibliotece. Proszę nas kiedyś odwiedzić. – Z przyjemnością, panie Halloway. Może być pan tego pewien. Wiedźma czekała tuż za węglem. Pan Halloway poślinił palec, zbadał skąd wieje wiatr i posłał w jej kierunku gęsty kumulacja dymu. Starucha odskoczyła i zniknęła mu z oczu. Człowiek Ilustrowany zeszywniał, odwrócił się na pięcie i odszedł, zaciskając żelazne pięści, w których kryły się wyklute tuszem portrety Jima i Willa.

Zapadła cisza. Pod kratą było tak cicho, że panu Hollowayowi wydało się przez moment, iż chłopcy umarli ze strachu. Zaś Will, w dole, spoglądając w górę wilgotnymi oczami, z otwartymi ustami, pomyślał: O jejku, czemu wcześniej tego nie dostrzegłem? Tato jest wysoki. Naprawdę bardzo wysoki. Charles Holloway nadal nie patrzył na kratę. Przyglądał się małym kometom na chodniku, drobnym rozbryzgom czerwieni, kreślącym trop, prowadzący wprost za róg, ślad krwi ściekającej z dłoni pana Darka. Spoglądał także na siebie samego ze zdumieniem, które akceptował, podobnie jak nowy cel, który sobie postawił, z uczuciem będącym na wpół niezmaconym spokojem, na wpół rozpaczą – teraz, gdy dokonał już owego niewiarygodnego wyczynu. Nie było sensu pytać, czemu podał swe prawdziwe nazwisko; nawet on sam nie do końca pojmował wagę tego faktu. Teraz odczytywał jedynie cyfry na zegarze gmachu sądu i przemawiał do nich, podczas gdy ukryci w dole chłopcy słuchali. – Och, Jim, Will, istotnie dzieje się coś dziwnego. Czy możecie pozostać w ukryciu, nie wchodzić nikomu w oczy aż do zmroku? Potrzebujemy więcej czasu. Kiedy ma się do czynienia z czymś takim, nigdy nie wiadomo, od czego zacząć. Nie naruszono żadnego prawa, przynajmniej z tych zapisanych w księgach, mam jednak wrażenie, jakbym nie żył od miesiąca, jakby już dawno pochowano mnie w grobie. Moim ciałem wstrząsają dreszcze. Ukryjcie się, Jim, Will. I to dobrze. Powiem waszym matkom, że dostaliście pracę w lunaparku. W ten sposób usprawiedliwię waszą nieobecność. Pozostańcie w ukryciu do wieczora, potem o siódmej przyjdźcie do biblioteki. Ja tymczasem poszukam informacji o lunaparkach; przejrzę rejestry policyjne, roczniki gazet w bibliotece, książki, stare foliały – wszystko, co tylko może pasować do tej sprawy. Jeśli Bóg da, do wieczora będę miał już gotowy jakiś plan. Tymczasem schodźcie ludziom z widoku. Niech cię Bóg błogosławi, Jimmy. Ciebie też, Will. Mały ojciec, który teraz stał się bardzo duży, odszedł powolnym krokiem. Kompletnie zapomniane cygaro wypadło mu z ręki i siejąc deszcz iskier przeleciało przez kratę. Przez chwilę leżało na ziemi, mrugając swym ognistym okiem do Jima i Willa. Przez długą chwilę chłopcy patrzyli na nie w milczeniu, po czym oślepił je raz na zawsze.

Rozdział XXXVI

Krasnal, oglądający świat oszalałymi błyszczącymi oczami, wędrował na południe od głównej ulicy. Nagle stanął jak wryty, wywołując film zamknięty w umyśle; przejrzał poszczególne klatki, beknął cicho i przedzierając się przez las nóg pospieszył w stronę Człowieka Ilustrowanego. Kiedy do niego dotarł, przyciągnął ku sobie twarz mężczyzny; na tej wysokości nie trzeba było krzyków, wystarczył cichy szept. Pan Dark słuchał przez chwilę, po czym popędził naprzód, zostawiając Krasnala daleko w tyle. Dotarłszy do Indianina, pełniącego straż przed trafiką, Człowiek Ilustrowany opadł na kolana i zaciskając dłonie na misternej stalowej kracie zajrzał do studni. W dole leżały pożółkłe gazety, wyblakłe papierki po cukierkach, wypalone cygara i guma do żucia. Pan Dark wydał z siebie wściekły zduszony krzyk. – Zgubił pan coś? Zza lady wychylił się pan Tetley. Człowiek Ilustrowany skinął głową, nie puszczając kraty. – Raz na miesiąc sprzątam tam. Wybieram wtedy sporo monet. Ile pan zgubił? Dziesięć centów? Ćwiartkę? Pół dolara? Brzdęk! Człowiek Ilustrowany uniósł gniewny wzrok. W okienku kasy lśniły niewielkie czerwone literki, oznajmiające wyraźnie: ZWROT GOTÓWKI.

Rozdział XXXVII

Zegar na wieży wybił siódmą. Echa donośnego kurantu przez długą chwilę snuły się po ciemnych salach i korytarzach biblioteki. Gdzieś w mroku opadł z szelestem suchy jesienny liść. Ale tak naprawdę była to jedynie obracana karta książki. W głębi jednej z katakumb, nachylony nad stołem skąpanym w blasku lampy o zielonym jak trawa abażurze, siedział Charles Holloway. Mrużąc

oczy, ze ściągniętymi wargami i drżącymi rękami przewracał kartki, unosił i przekładał książki. Od czasu do czasu podbiegał do okna, aby wyrzeć w jesienny wieczór, czujnym wzrokiem mierząc ulice. Następnie wracał, by znów spinać kolejne strony, wsuwać do teczek papiery i notować cytaty, cały czas szepcząc do siebie. Jego głos przywoływał ciche echa z bibliotecznych otchłani. – Patrzcie no! – ...no... – odpowiadały mroczne zakamarki. – Ta rycina...! – ...rycina... – mówiły korytarze. – I to! – ...to... – Kurz osiadał na półkach. To był najdłuższy dzień ze wszystkich, jakie pamiętał w swoim życiu. Wędrował po mieście, mieszając się z obcymi i znajomymi tłumami; podążając śladem rozproszonego pochodu, sam szukał tych, którzy wyszli na poszukiwania. Oparł się pokusie zwierzeń i powiedział matkom Willa i Jima tylko tyle, ile musiały wiedzieć, aby nie zakłócić im niedzielnej zabawy. A tymczasem jego cień musnął cień Krasnala, on sam wymienił pozdrowienia ze Szpilkogłowym i Połykaczem Ognia, trzymał się z dala od cienistych uliczek i zdołał nawet opanować panikę, kiedy zawróciwszy ujrzał, że ukryta pod kratą naprzeciw trafiki studzienka jest pusta. Wówczas wiedział już, że chłopcy bawią się gdzieś w chowanego. Mogli wciąż krążyć po okolicy, miał jednak nadzieję, że ukryli się bardzo daleko. Potem, wraz z tłumem, powędrował na teren lunaparku, nie odwiedzał jednak namiotów, nie dał się skusić przejażdżkom, a jedynie obserwował. Patrzył, jak słońce zniża się na niebie, a o zmierzchu przebiegł wzrokiem chłodne szklane wody Lustrzanego Labiryntu i ujrzał z brzegu dostatecznie dużo, by cofnąć się, zanim utonie w otchłani. Przemoknięty do suchej nitki, czując w ciele lodowate tchnienie umknął przed nocą i pozwolił, aby tłum ochronił go, ogrzał i uniósł z powrotem do biblioteki i do najważniejszych książek... które ułożył na stole, tworząc wielki literacki zegar, jakby pragnął nauczyć się odczytywać z niego zupełnie nowe godziny. Krążył zatem dokoła wielkiego zegara i mrużąc oczy przyglądał się pożółkłym kartkom, nieruchomym niczym skrzydełka ciem przyszpilonych do drewna. Oto portret Księcia Ciemności. Obok niego seria fantastycznych rycin, przedstawiających kuszenie świętego Antoniego. Następnie drzeworyty z Bizarie Giovanbatisty Bracelliego, ukazujące zestaw niezwykle zabawek, przypominających ludzi robotów, odprawiających niezwykle rytuały alchemii. Na za pięć dwunasta leżał egzemplarz "Doktora Faustusa", na godzinie drugiej – "Ikonografia Okultystyczna", na szóstej, pod palcami pana Hallowaya, spoczywała historia lunaparków, wesołych miasteczek, teatrzyków cieni, kukiełek i menażerii, pełna sztukmistrzów, minstreli, paradujących na szczydłach magików i ich marionetek. I jeszcze: "Podręczna księga Królestw Powietrznych" (Przekrój historyczny); na dziewiątej "Opętanie przez demony", pod nim "Egipskie napoje miłosne" leżące na "Mękach przeklętych", które z kolei przygniatały do stołu "Zakłęcie zwierciadeł". Następny stos – "Lokomotywy i pociągi", "Sekrety snu", "Między północą a świtem", "Sabat czarownic" oraz "Pakty z diabłem" wskazywał bardzo późną godzinę na literackim zegarze. Wszystko było gotowe. Charles Halloway widział przed sobą pełną tarczę. Jednakże jego zegarowi brakowało wskazówek. Nie potrafił stwierdzić, którą godzinę wskazywał w tej chwili dla niego samego, chłopców czy też nieświadomego miasta. Bowiem czymże w sumie dysponował? Przyjazdem o trzeciej nad ranem, groteskowym Lustrzanym Labiryntem, niedzielną paradą, wysokim mężczyzną, na którego skórze roily się jaskrawoniebieskie obrazki, kilkoma kroplami krwi przeciekającymi przez kratę w chodniku, dwoma przerażonymi chłopcami, wyglądającymi z głębin ziemi, i sobą samym, siedzącym w mauzoleum wiedzy i próbującym poskładać w spójną całość rozrzucone fragmenty układanki. Co sprawiło, że uwierzył chłopcom, szepczącym ku niemu przez kratę? Ich strach był najlepszym dowodem, zaś Charles Halloway widział w swym życiu dostatecznie wiele strachu, by móc rozpoznać to ciężkie uczucie, wiszące w powietrzu niczym smród z jatki w letni wieczór. Co było takiego w ilustrowanym właścicielu lunaparku, spowitym płaszczem ciszy, w której kryły się tysiące słów, pełnych gwałtu, zepsucia i bólu? Co było takiego w starym człowieku, którego dostrzegł

późnym popołudniem w głębi jednego z namiotów? Starzec siedział na krześle, nad głową wisiał mu transparent z napisem PAN ELECTRICO, a po jego ciele przeskakiwały iskry i wyładowania elektryczne, zielone i zwinne niczym jaszczurki. Wszystko razem składało się w jedną całość. A do tego książki. Na przykład ta... Musnął palcami okładkę "Fizjonomiki, sekretów osobowości człowieka zapisanych w jego twarzy". Czy zatem Jim i Will, kiedy tak spoglądali z dołu na maszerującą ulicą grozę, mieli rysy anielskie, czyste, na wpół niewinne? Czy chłopcy przedstawiali sobą ideał Kobiety, Mężczyzny bądź Dziecka, Zacnego Rodu, Wychowania, Rasy, Opanowania i Pogodnego Usposobienia? I przeciwnie... Charles Halloway przewrócił stronę. Czy dziwolągi, które rozbiegły się po mieście i ów ilustrowany cud natury mieli czoła Awanturników, Okrutników, Zazdrośników?; usta Lubieżników i Kłamców?; zęby Złodziejaszków, Pyszałków, Zuchwalców, Morderczych Bestii? Nie. Książka zatrzasnęła się powoli. Gdyby sądzić po rysach twarzy, Dziwolągi nie były wcale gorsze od wielu ludzi, których mijał od lat po drodze, zdążając wieczorem do biblioteki. Pewne było tylko jedno. Doskonale wyrażały to dwa wersety z Szekspira. Powinien zapisać je pośrodku kręgu książek – tak wybornie oddawały lęk, jaki go ogarnął:

Palec mię świerzbi, to dowodzi, Że jakiś potwór tu nadchodzi. *) [*] – przeł: Józef Paszkowski]

Jakże wieloznaczne, a przecież poruszające. Nie chciał, by ta świadomość dręczyła go do kresu dni. A przecież wiedział, że jeśli tej nocy nie spisze się dobrze, całkiem możliwe, że będzie mu ona towarzyszyła do końca życia. Stanąwszy przy oknie wyjrzał na zewnątrz i pomyślał: Jim, Will, czy przyjdziecie? Dotrzecie tutaj? I czekał, a jego ciało pobladło jak kość.

Rozdział XXXVIII

Oto zatem biblioteka, o siódmej piętnaście, o siódmej trzydzieści, siódmej czterdzieści pięć w niedzielny wieczór, zamknięta w klasztornych murach ciszy, otoczona znieruchomiłą lawiną książek, stojących w rzędach na półkach niczym hieroglificzne kamienie wieczności – tak wysoko, że przez cały rok pokrywają je niewidzialne śniegi czasu. Na zewnątrz miasto wypluwało z siebie kolejne porcje ludzi zmierzających do lunaparku. Setki przechodniów mijały miejsce, gdzie Jim i Will leżeli w krzakach obok biblioteki, na zmianę unosząc głowy i wtulając je w miękką ziemię. – A... psik! Obaj skulili się w trawie. Po drugiej stronie ulicy przemknęła postać – może chłopca, może krasnalą, może chłopca o karlim umyśle albo istoty unoszonej z wiatrem niczym niesforny liść po powleczonych lodową miką chodnikach? Cokolwiek jednak to było, wkrótce odeszło. Jim usiadł, natomiast Will nadal leżał z twarzą wciśniętą w bezpieczny piach. – Hej, co ci jest? – To biblioteka – odparł Will. – Teraz już nawet jej się boję. – Wszystkie te książki, pomyślał, oblażące oprawy ze skóry, grube tomy, od stuleci przyczajone na półkach; oparte o siebie nawzajem niczym dziesięć milionów sępów. Jeśli przejdiesz się między mrocznymi regałami, spojrzą na ciebie niezliczone złote oczy napisów na grzbietach. Pomiędzy starym lunaparkiem, starą biblioteką a jego własnym ojcem, także starym... cóż... – Wiem, że tato tam jest, ale czy to na pewno on? A jeśli oni zjawili się tu wcześniej i zmienili go, sprawili, że stał się zły, przyrzekli mu coś, czego nie mogą dać, choć on w to wierzy? Pomyśl tylko: wejdziemy tam, a kiedy za jakieś pięćdziesiąt lat ktoś otworzy książkę, wypadniemy z niej niczym dwie zasuszone ćmy, zgniecione i ukryte pomiędzy białymi kartkami – i nikt nigdy nie domyśli się, gdzie się podziałiliśmy... To było zbyt wiele dla Jima, który poczuł nagle, że musi coś zrobić, cokolwiek, byle podnieść się na duchu. Zanim Will zdążył powiedzieć choć słowo, Jim dobijał się już do drzwi biblioteki. Przyjaciel dołączył do niego i obaj ze zdwojoną siłą poczęli tłuc pięściami w drzwi marząc o tym, by opuścić niegościnną noc i znaleźć się w ciepłym mroku wewnątrz, pełnym oddechów książek. Z dwóch ciemności ta była lepsza: drzwi otworzyły się i

stanął w nich tato o włosach białych, niczym nocna mara. Na paluszkach przeszli przez opuszczone korytarze. Było tak cicho, że Will poczuł nagle szaloną ochotę, aby zagwizdać wesoło, jak to często robił mijając cmentarz o zachodzie słońca. Tato spytał, czemu się spóźnili i chłopcy, wpadając sobie w słowo, zaczęli wymieniać wszystkie miejsca, w których ukrywali się tego dnia.

Zakradali się do starych garaży, ukrywali się w starych stodołach i na szczytach najwyższych drzew, na jakie tylko mogli się wdrapać. Wkrótce jednak znudzili się, a nuda była gorsza od strachu, więc zeszli na dół, odwiedzili szefa policji i ucięli sobie z nim miłą pogawędkę, co dało im dwadzieścia bezpiecznych minut na posterunku, a potem Will wpadł na pomysł, by zwiedzić kościoły, toteż wspięli się na każdą wieżę w mieście, płosząc zamieszkujące dzwonnice gołębie. Nie wiedzieli wprawdzie, czy w kościołach, a już szczególnie pośród dzwonów jest bezpieczniej niż gdzie indziej, ale przynajmniej czuli się bezpiecznie. Po jakimś czasie jednak znów pokrył ich duszący opar nudy i znużenia jednostajnością. Już prawie chcieli sami oddać się w ręce wysłanników lunaparku, żeby tylko mieć coś do roboty, ale na szczęście właśnie zaszło słońce. Odtąd bawili się już przednio skradając się do biblioteki niczym do jeszcze niedawno przyjaznego fortu, mogli w tej chwili kryć się dzicy Arabowie. – No to jesteście – szepnął Jim i zatrzymał się gwałtownie. – Czemu właściwie szepczecie? Przecież już zamknięte. Do diaska! Roześmiał się i urwał nagle, bowiem wydało mu się, że słyszy jakiś cichy dźwięk, dobiegający z podziemnych lochów. Jednakże był to tylko jego własny śmiech, powracający z głębin na cichych panterzych łapach. Toteż kiedy odezwali się ponownie, nadal mówili szeptem. Rozległe puszcze, ciemne jaskinie, pogrążone w półmroku kościoły, słabo oświetlone biblioteki mają ze sobą wiele wspólnego. Uspokajają, tłamszą ducha, zmniejszają zapał, sprawiają, że człowiek zniża głos i nie krzyczy w obawie, że wywoła bliźniacze widma swoich słów, które mogą nawiedzać te korytarze jeszcze długo po jego przejściu. W końcu dotarli do niewielkiego pomieszczenia i stanęli wokół stołu, na którym Charles Halloway rozłożył swoje książki i czytał je przez wiele godzin. Wówczas dopiero po raz pierwszy spojrzeli sobie prosto w twarze i ujrzeli straszliwą bladość, która je powlekała. Żaden z nich nie skomentował tego ani słowem. – Od początku – polecił ojciec Willa, podsuwając im krzesła. – Proszę. I chłopcy, wpadając sobie w słowo, opowiedzieli o wędrownym sprzedawcy piorunochronów, zapowiedzi nadchodzącej burzy, pociągu, który przybył grubo po północy, nagłym poruszeniu na łące, o namiotach w blasku księżyca, nietkniętych ludzką ręką, lecz mimo to zawodzących organach parowych, a potem o blasku dnia oświetlającym najzwyczajniejszy z pozoru lunapark i setki porządnych chrześcijan, którym nie groziły, co prawda, głodne lwy, a jedynie Labirynt, gdzie czas zmieniał swój bieg, przelewając się w otchłaniach zwierciadeł; zepsuta karuzela, martwa wieczorna godzina, pan Cooger i chłopiec o oczach, które oglądały już wszystkie błyszczące błahostki tego świata, wszystkie grzechy i ociekające krwią występki, wiszące na rzeźnickich hakach, rojące się od robactwa; chłopak o oczach mężczyzny, który żył wiecznie, widział zbyt wiele, może nawet pragnął umrzeć, ale już nie potrafił... Urwali, aby zaczerpnąć tchu. Panna Foley, znów lunapark, oszalała karuzela, starożytna mumia Coogera wciągająca w płuca blask księżyca i wydmuchująca srebrzysty pył, martwa, a potem ożywiona w fotelu, w którym zielone błyskawice rozpały na nowo zaschnięty szkielet niczym pozbawiona deszczu i grzmotów burza, a potem parada, studzienka przed trafiką, kryjówki i wreszcie przybycie do biblioteki, stanowiące koniec opowieści. Umilkli. Przez długą chwilę ojciec Willa siedział bez ruchu, spoglądając martwym wzrokiem na środek stołu. W końcu jego wargi poruszyły się. – Jim, Will, wierzę wam. Chłopcy z ulgą rozparli się na krzesłach, jakby nagle uszło z nich powietrze. – We wszystko? – We wszystko. Will otarł oczy. – O rany – westchnął. – Chyba zacznę wrzeszczeć. – Nie mamy teraz czasu na podobne głupstwa! – odparł Jim. – Nie mamy czasu. – Ojciec Willa wstał, nabił fajkę tytoniem i przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu zapalek wydobyl na

światło dzienne sfatygowane organki, scyzoryk, zapalniczkę, która już dawno przestała działać i notatnik, gdzie zawsze zamierzał zapisywać odkrywcze, głębokie myśli, ale jakoś nigdy nie mógł się do tego zabrać. Ułożył przed sobą ową broń do wykorzystania w maleńkiej wojnie, którą mogli przegrać, zanim jeszcze zdążyła wybuchnąć. Grzebiąc wśród owych śmieci i potrząsając głową natrafił w końcu na sponiewierane pudełko zapalek, zapalił fajkę i zaczął zastanawiać się na głos, krążąc po sali. – Wygląda na to, że tematem naszych rozmów będzie jeden szczególnie lunapark. Skąd przybywa, dokąd zmierza, jakie ma zamiary? Sądziłem, że nigdy wcześniej nie odwiedził naszego miasta. A przecież, na Boga, spójrzcie tutaj. Postukał palcem w pożółkłą gazetę z datą dwunastego października 1888 roku i przesunął palcem po papierze, podkreślając wyfuszony tytuł: J.C. COOGER I G.M. DARK PRZEDSTAWIAJĄ TRUPĘ TEATRALNĄ PANDEMONIUM, POŁĄCZONĄ Z INNYMI WYSTĘPAMI I MIĘDZYNARODOWYM MUZEUM HISTORII NIENATURALNEJ! – J.C., G.M. – wtrącił Jim. – To te same inicjały, co na ulotkach rozrzuconych w tym tygodniu w mieście! Ale przecież to nie mogą być ci sami ludzie... – Nie? – Ojciec Willa roztarł zdrętwiałe łokcie. – Gęsia skórka na moich rękach świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Położył przed nimi kolejne stare gazety. – 1860. 1846. Ta sama reklama. Te same nazwiska i inicjały. Dark i Cooger, Cooger i Dark, pojawiali się i znikali, ale za każdym razem ich wizyty dzieliło od siebie dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat, toteż ludzie zapominali. Co robili przez te wszystkie lata? Podróżowali. I nie tylko. Przybywali zawsze w październiku. Październik 1846, październik 1860, październik 1888, październik 1910 i wreszcie dziś wieczór. Także mamy październik. – Jego głos załamał się. – Strzeżcie się jesiennych ludzi... – Co takiego? – To stary religijny traktat, napisany chyba przez pastora Newgate'a Phillipsa. Czytałem go jako chłopiec. Jak to idzie? Próbował sobie przypomnieć. Obliznął wargi i to widocznie pomogło. – Dla niektórych jesień zapada szybko i pozostaje z nimi do końca życia. Po wrześniu następuje październik, po październiku listopad, a potem zamiast grudnia i narodzin Chrystusa, gwiazdy betlejemskiej i powszechnej radości znów rozpoczyna się wrzesień, następnie stary październik i tak dalej, całymi latami, bez zimy, wiosny i ożywczego tchnienia lata. Dla owych istot jesień stanowi naturalną porę, jedyną znaną im pogodę. Skąd pochodzą? Z kurzu. Dokąd odchodzą? Do grobu. Czy w ich żyłach płynie krew? Nie, nocny wiatr. Co szmerze w ich głowach? Robaki. Co przemawia ich ustami? Ropuchy. Co spogląda przez ich oczy? Wąż. Co słucha ich uszami? Międzygwiazdna otchłań. Przesiewają burzę ludzkości w poszukiwaniu dusz, pożerają ciało rozsądku, zapełniają grobowce grzesznikami. Gorączkowo prą naprzód, rozbiegając się niczym robactwo – skradają się, czają, snują, przyzywają do siebie, sprawiają, że cień pada na księżyc, a czyste wody mącą się gwałtownie. Na dźwięk ich głosów pęka nawet pajęczyna. Tacy właśnie są jesienni ludzie. Strzeżcie się ich.

Po chwili obaj chłopcy odetchnęli z ulgą. – Jesienni ludzie! – rzucił Jim. – Jasne! – A zatem – Will przełknął ślinę – to znaczy, że my jesteśmy letnimi ludźmi? – Niezupełnie. – Charles Halloway pokręcił głową. – Choć wy jesteście bliżsi lata niż ja. Jeśli nawet kiedyś byłem prawdziwą letnią osobą, miało to miejsce dawno temu. Większość z nas zatrzymuje się w pół drogi. Skryte w nas sierpniowe popołudnia pozwalają odpędzić chłód listopada. Przeżywamy dzięki zachowanym w pamięci wspomnieniom czwartego lipca. Bywają jednak chwile, gdy wszyscy jesteśmy jesiennymi ludźmi. – Nie ty, tato! – Nie pan, panie Halloway! Mężczyzna odwrócił się szybko i dostrzegł spoglądające z białych twarzy czujne oczy, ręce wsparte na kolanach, gotowe do ucieczki. – To tylko pewnie przerośnięcie. Spokojnie, chłopcy. Teraz interesują mnie fakty. Will, czy naprawdę znasz swojego tatę? Czy nie powinniśmy poznać się nawzajem, jeśli razem zamierzamy walczyć z przybyszami? – Pewnie – odetchnął Jim. – Kim pan jest? – Do diaska, wiemy, kim jest! – zaprotestował Will. – Czy rzeczywiście? – odrzekł jego ojciec. – Przekonajmy się. Charles William

Halloway. Nie ma we mnie nic niezwykłego, poza faktem, że skończyłem już pięćdziesiąt cztery lata, co dla każdego w tym wieku stanowi prawdziwy cud. Urodziłem się w Sweet Water, mieszkałem w Chicago, przeżyłem na ulicach Nowego Jorku, błąkałem się po Detroit, krążąc po niezliczonych miejscach, aż w końcu przybyłem tutaj, zwiedziwszy biblioteki całego kraju, bowiem lubiłem być sam, uwielbiałem dopasowywać zamknięte w książkach obrazy do tego, co oglądałem na własne oczy. I wówczas, w trakcie kolejnej ucieczki, którą nazywałem podróżą, kiedy skończyłem trzydzieści osiem lat, twoja matka przygwoździła mnie jednym krótkim spojrzeniem. Od tej pory mieszkam tutaj. Nadal jednak najlepiej czuję się w nocy w bibliotece, skryty przed deszczem ludzi. Czy to mój ostatni przystanek? Możliwe. Po co w ogóle tu jestem? W tej chwili wygląda na to, że mam wam pomóc. Urwał, spoglądając na obu chłopców i ich młode delikatne twarze. – Tak – rzekł w końcu. – Bardzo późno dołączam do gry. Aby wam pomóc.

Rozdział XXXIX

Okna biblioteki, ślepe w mroku nocy, zagrzechotały nagle zgodnym chórem. Mężczyzna i dwaj chłopcy odczekali, póki wiatr znów nie ucichł. Wówczas Will powiedział: – Tato, ty zawsze nam pomagałeś. – Dzięki, ale to nieprawda. – Charles Halloway przyjrzał się swej jakże pustej dłoni. – Jestem głupcem. Stale patrzyłem ci przez ramię, by przekonać się, co nas czeka zamiast spoglądać wprost na ciebie i ujrzeć nasze teraz i tutaj. Ale też, choć niewielka to pociecha, trzeba pamiętać, że każdy człowiek jest głupcem. Przez całe życie musimy pracować, wykupywać się, znów wsiadać na pokład, wiązać liny, łątać dziury w tynku, klepać ludzi po policzkach, całować po czołach, śmiać się, płakać, jakoś sobie radzić w oczekiwaniu na dzień, kiedy okazemy się największymi głupcami ze wszystkich i krzyknjemy: "Pomocy!" Wówczas zaś wystarczy nam odpowiedź jednej jedynej osoby. Widzę to tak wyraźnie – dziś wieczór w całym kraju pełno jest miast, miasteczek i zwykłych wsi, oceanów głupoty, w których wręcz roi się od durniów. Wystarczy, by pojawił się lunapark i potrząsnął dowolnym drzewem, a z gałęzi posypie się grad głupców. Powinienem właściwie rzec: samotnych głupców, osobników, którzy nie mają nikogo, kto by odpowiedział na ich wołanie – albo też tak im się zdaje. Samotni głupcy. Oto plon, który zbiera lunapark, postępując z uśmiechem za swoją zniwiarką. – O rany – westchnął Will – to beznadziejne! – Nie. Sam fakt, że jesteśmy tu, martwiąc się różnicą pomiędzy latem a jesienią daje mi pewność, że istnieje jakieś wyjście. Wcale nie musicie na zawsze pozostać głupi, nie musicie też popełniać błędów, być zli, grzeszni, jakkolwiek to nazwiecie. Człowiek może wybierać między nieskończoną liczbą

możliwości. Oni, wasz pan Dark i jego przyjaciele, nie trzymają w rękawie wszystkich asów. Przekonałem się o tym dziś, przed trafiką. Boję się go, to prawda, widziałem jednak, że on także się mnie lęka. Czyli obie strony odczuwają strach. Jak zatem możemy to wykorzystać? – No jak? – Zaczniemy od początku. Najpierw odrobina historii. Gdyby ludzie chcieli na zawsze pozostać zli, mogliby to zrobić, mam rację? Mam rację. Czy zostaliśmy na polach wśród dzikich bestii? Nie. W wodzie z barrakudami? Nie. Gdzieś po drodze zrezygnowaliśmy z gorylich łap, później zgubiliśmy zęby drapiezców i zaczęliśmy przeżuwać żdźbła trawy. Od wielu pokoleń nasza filozofia obok krwi obejmuje także mierzwę. Przerośliśmy już małpy, choć daleko nam do aniołów. Mieliśmy dobry pomysł i obawialiśmy się, że o nim zapomnimy, toteż przelaliśmy go na papier i wznieśliśmy wokół niego budynki, tak jak ten, w którym teraz siedzimy. Od tej pory wciąż tylko wchodziliśmy i wychodziliśmy z tych budowli, przeżuając wciąż na nowo nasze słodkie żdźbło trawy i usiłując ustalić, jaki był początek, kiedy wykonaliśmy pierwszy ruch, postanowiliśmy stać się inni. Przypuszczam, że stało się to którejs nocy, setki tysięcy lat temu, w jaskini przy ognisku, kiedy jeden z włochatych ludzi ocknął się i spojrzał ponad czerwonym żarem na swą kobietę i dzieci. I pomyślał

o tym, że kiedyś staną się zimni, martwi, odejdą na zawsze. Wówczas zapewne się rozplakał, a potem wyciągnął w nocy rękę do kobiety, która kiedyś będzie musiała umrzeć i do dzieci, które czekał ten sam los. Następnego ranka traktował ich nieco lepiej, bowiem dostrzegł, że podobnie jak on sam, kryją w sobie nasienie nocy. Czuł we krwi zarodki mroku, niczym wstrętny śluz, tworzący stale nowe nasiona w oczekiwaniu na dzień, kiedy mnożąc się, pochłonie jego ciało i zanurzy w ciemności. I tak ów człowiek, pierwszy człowiek, odkrył to, co wiemy dzisiaj: wobec wieczności nasz czas jest bardzo krótki. Z wiedzy tej zrodziła się litość i zrozumienie – oszczędzaliśmy innych, licząc na późniejsze, bardziej złożone i tajemnicze zyski, jakie czerpiemy z miłości. Kim zatem jesteśmy? Stworzeniami, które wiedzą i to wiedzą zbyt dużo. Świadomość ta ciąży nam tak mocno, że znów mamy wybór: możemy śmiać się i płakać. Żadne inne zwierzę tego nie potrafi. My zaś czynimy jedno i drugie w zależności od pory roku i potrzeby. Odnoszę wrażenie, że lunapark obserwuje nas, sprawdza, co robimy, jak i dlaczego, i wkracza do akcji, gdy czuje, że jesteśmy gotowi. Charles Halloway urwał, bowiem chłopcy wpatrywali się w niego z taką uwagą, że nagle musiał odwrócić zarumienioną twarz. – O rany, panie Halloway! – zawołał cicho Jim. – To wspaniale! Niech pan nie przerywa. – Tato – dodał zdumiony Will – nie wiedziałem, że potrafisz tak mówić. – Powinieneś usłyszeć mnie czasami, kiedy jestem tu sam. Nic, tylko gadam i gadam! – Charles Halloway potrząsnął głową. – Tak, powinieneś, a ja powinienem był porozmawiać z tobą już wcześniej. Do diabła, na czym skończyłem? Zdaje się, że zmierzałem do miłości. A zatem... miłość. Na dźwięk tego słowa Will przybrał znudzoną minę, a Jim wzdrygnął się lekko. Widząc to Charles Halloway zawahał się nagle. Co mógłby im powiedzieć, żeby miało sens? Może to, że miłość to przede wszystkim wspólny cel w życiu, jednakie doświadczenie, stanowiące zaprawę, spajającą w jedną całość mur uczuć? Czy miał im powiedzieć, jak się czuje wiedząc, że zgromadzili się tu dziś wieczór na oszalałej planecie, krążącej wokół wielkiego Słońca, które wędruje w przestrzeni, posuwając się w głąb otchłani kosmosu, może oddalając się, a może zbliżając do Czegoś? Miałby oznajmić: jedziemy razem z prędkością miliarda mil na godzinę. Razem przeciwstawimy się nocy. Zawsze zaczyna się od drobnych, wspólnych celów. Czemu wszyscy kochają chłopca, który w marcu stoi na polu, śmiało wypuszczając w powietrze latawiec? Ponieważ gorący sznurek parzy nas w palce. Czemu zakochujemy się w oglądanej z pociągu dziewczynie, pochylonej nad wiejską studnię? Nasz język pamięta chłód żelazistej wody w dawno zapomniane popołudnie. Czemu płaczemy nad nieznanym trupem na drodze? Bowiem przypomina nam przyjaciół, nie widzianych od czterdziestu lat. Dlaczego śmiejemy się, kiedy kłown dostaje w twarz tortem? Smakujemy słodki krem, kosztujemy życia. Czemu kocham kobietę, która jest moją żoną? Jej nos wciąga w siebie powietrze znanego mi świata, zatem kocham ów nos. Jej uszy słyszą muzykę, którą nuciłem wcześniej przez pół nocy, zatem kocham jej uszy. Jej oczy napawają się każdą porą roku w tej krainie, a więc kocham jej oczy. Język zna smak pigwy, brzoskwini, mięty i cytryny; uwielbiam słuchać, jak mówi. Ponieważ jej ciało wie, co to upał, chłód, choroba, poznaje ogień, śnieg i ból. Wspólne doświadczenia. Miliardy drobnych szczegółów. Jeśli odetnie się jeden zmysł, wraz z nim zabierze się część życia. Dwa zmysły; życie skraca się o połowę. Kochamy to, co znamy, kochamy to, czym jesteśmy. Wspólny cel, wspólny cel, cel dla ust, oka, ucha, języka, dłoni, nosa, ciała, serca i duszy. Ale... jak to wyrazić? – Posłuchajcie – zaczął – wyobraźcie sobie, że w jednym wagonie umieścimy dwóch mężczyzn: żołnierza i farmera. Pierwszy opowiada o wojnie, drugi o zniwach i zanudzają się nazwajem. Ale niech jeden wspomni coś o biegach długodystansowych, a jeśli drugi kiedykolwiek przebiegł choćby milę, obaj przegadają całą noc, jak chłopcy, i ze wspomnień zrodzi się przyjaźń. Zaś wszyscy mężczyźni mają jedną rzecz, która ich łączy: kobiety. Mogą rozmawiać o nich do rana i jeszcze dłużej. Do diaska! Charles Halloway urwał. Zarumienił się ponownie, dziwnie zakłopotany, i choć

zdawał sobie sprawę, że gdzieś przed nim kryjesię cel, nie potrafił do niego dotrzeć. Przygryzł wargę. Tato, nie przestawaj, pomyślał Will. Kiedy mówisz, wszystko wydaje się dobre i przyjazne. Ty nas ocalisz. Mów dalej. Mężczyzna odczytał w oczach chłopca jego myśli, dostrzegł to samo w twarzy Jima; okrążył stół, muskając palcami pradawną nocną bestię, grupkę obdartych wiedźm, gwiazdę, półksiężyc, starożytne słońce, klepsydrę, w której zamiast piasku przesypywały się sproszkowane kości. – Czy wspominałem już coś o tym, co znaczy być dobrym? Boże, sam nie wiem. Jeśli na ulicy ktoś postrzeli nieznanego, raczej nie rzucamy się z pomocą. Wystarczy jednak, abyśmy pół godziny wcześniej spędzili z tym człowiekiem dziesięć minut i dowiedzieli się nieco o nim i jego rodzinie, a wówczas zdarza się, że własnym ciałem osłaniamy ofiarę, usiłując powstrzymać zabójcę. Prawdziwa wiedza jest zawsze dobra. Niewiedza bądź świadoma ignorancja są złe, a w najlepszym razie amoralne. Nie można działać, jeśli nie wie się, co robić. Bezmyślne działanie sprawia, że ludzie spadają w przepaść. Boże, pewnie sądzicie, że zwariowałem i stąd ten wykład. Uważacie, że powinniśmy być w tej chwili na dworze, walczyć i strącać balony, tak jak to wcześniej robiliście, Will, ale najpierw musimy dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko zdołamy, o dziwolągach i człowieku, który im przewodzi. Nie możemy stać się dobrzy nie wiedząc, na czym polega zło. Szkoda tylko, że brakuje nam czasu. Lunapark wkrótce zamknie swe podwoje i tłumy wrócą do domów, jak w każdy niedzielny wieczór, by wcześniej położyć się spać. Mam przecucie, że wówczas złożą nam wizytę jesienni ludzie. To daje nam najwyżej dwie godziny. Jim stał przy oknie, spoglądając ponad miastem w stronę odległych czarnych namiotów i organów, grających do wtóru nadchodzącej nocy. – Czy to takie złe? – spytał. – Złe? – wykrzyknął gniewnie Will. – Złe! I ty o to pytasz? – Spokojnie – wtrącił ojciec Willa. – To dobre pytanie. Miejscami lunapark wydaje się wspaniały, lecz nie zapominajmy o starym powiedzeniu: coś za coś. Od nich zaś w zamian za twoje coś dostajesz nic. Składają ci puste obietnice, więc wyciągasz szyję, a wtedy – łup! – Skąd oni się wzięli? – spytał Jim. – Kim są? Will wraz z ojcem podeszli do okna. Obaj wyjrzeni na dwór. Charles Hallows spoglądając na odległe namioty, zaczął mówić cicho: – Może kiedyś był tylko jeden mężczyzna? Przemierzał Europę, dzwoneczki na jego ubraniu pobrzękiwały radośnie, a wisząca na plecach lutnia rzucała garbaty cień. Wszystko to działo się jeszcze przed Kolumbem. Być może milion lat temu po świecie krążył człowiek, odziany w małpie skóry, i napawał się nieszczęściem innych ludzi, napychał się nim, całymi dniami przeżuwał ich ból niczym miętową gumę do żucia, zachwycony jego słodkim smakiem, i znów przyspieszał kroku, odzyskując siły w obliczu klęski innych. Kto wie, może jego syn ulepszył opracowane przez ojca wilcze doły, pułapki, urządzenia do łamania kości, miażdżenia czaszek, rwania ciała, obnażania duszy? To oni pokryli samotne stawy grubym kozuchem nieczystości, z których ulęły się muszki, wpadające do nosów ludzi, komary atakujące ich ciała w letnie noce i kłujące boleśnie owe guzy i zagłębienia, tak bardzo lubiane przez frenologów z wesołych miasteczek, wodzących po nich palcami i przepowiadających przyszłość. I tak, z paru ludzi, nieuchwytnych niczym kuszące spojrzenia, zrodził się tłum nędzarzy, żebrzących o dar żalu, stręczących innym nieszczęścia, szukających śladów stonóg pod dywanami, wychwytyjących nocne koszmary, czujnie nadstawiających ucha przy drzwiach sypialni w poszukiwaniu ludzi targanych żalem na falach morza snów. Koszmar jest ich chlebem, smarowanym masłem bólu. Stuk kołatek odmierza im czas. Prosperują przez kolejne wieki. To oni, ze skórzanymi biczami w dłoniach, nadzorowali budowę piramid, przyprawiając je solą potu innych ludzi i złamanymi sercami. Oni przemierzali Europę na białych koniach zarazy. Oni szeptali Cezarowi, że jest śmiertelny, po czym zorganizowali marcową wyprzedaż sztyletów. Niektórzy z nich służyli jako błażni na przeróżnych dworach, podnóżki cesarzy, książąt i dotkniętych epilepsją papieży. Zaś kiedy już raz wyruszyli w drogę, cygański tabor w krainie czasu, ich liczba rosła w miarę rozwoju naszego

świata, który ofiarował im coraz większy wybór ich strawy – bólu. Pociąg dodał im kół i skrzydeł; wraz z nim przebyli długą drogę od gotyku do baroku. Przyjrzyjcie się wagonom i barakom, pokrytym rzeźbami niczym średniowieczne świątynie. Każdy z nich ciągnęły kiedyś konie, muły – a może nawet ludzie? – Przez wszystkie te lata – Jim przełknął ślinę – ci sami ludzie? Myśli pan, że pan Cooger i pan Dark mają po kilkaset lat? – Dosiadając karuzeli, mogą przecież w każdej chwili pozbyć się zbędnego balastu wieku. Mam rację? – Ale przecież... – U stóp Willa rozwarła się otchłań. – To by znaczyło, że mogą żyć wiecznie! – I krzywdzić ludzi – Jim przez chwilę rozważał tę myśl. – Ale czemu? Po co ten ból? – Właśnie dlatego – odparł pan Halloway. – Kierowanie lunaparkiem wymaga paliwa, benzyny, czegokolwiek. Kobiety żyją po to, by plotkować, a czymże jest plotka, jeśli nie wymianą bólów głowy, kwasów, reumatyzmu, ran i skaleczeń, niedyskrecji, wybuchów szaleństwa, ciszy po burzy? Jeśli niektórzy ludzie nie zdobędą na czas paru soczystych kąsków, kołaczące w ich piersiach maszynki wypadną, pociągając za sobą dusze. Pomnóżcie przyjemność, jaką odczuwają na pogrzebach, przez radość, gdy chichocząc odczytują poranną porcję nekrologów. Dodajcie do tego skłócone małżeństwa, cały swój czas poświęcające rozdzieraniu się na strzępy i pozornemu gojeniu ran, oraz szarlatanów, rozcinających ludzi, aby czytać z ich wnętrza niczym z fusów herbaty, i zszywających rany znaczoną nitką. Podnieście całą tę fabrykę dynamitu do dziesięciokwadrilionowej potęgi, a poznacie moc ciemności, roztaczanej przez ten jeden lunapark.

Potrafia przebić każdą stawkę złości, jaką kryjemy w sobie. Ból, smutek i choroba przyciągają ich miliard razy mocniej niż przeciętnego człowieka. My sami przyprawiamy nasze życia grzechami innych ludzi, dbamy jednak, by zachować w ustach choćby cień słodczy. Natomiast lunaparku nie obchodzi, czy otacza go chmura bijącego pod niebo smrodu, byle tylko mógł pożerać strach i ból. Oto właśnie paliwo, para, która napędza karuzelę, surowa materia grozy, nieznośne cierpienie winy, krzyk po odniesieniu rzeczywistych bądź wyimaginowanych ran. Lunapark pochłania to wszystko, podsyca swój ogień i rusza w dalszą drogę. Charles Halloway odetchnął głęboko i zamknął oczy. – Skąd to wiem? Wcale nie wiem. Czuję to. Wyczuwam smak prawdy. Dwie noce temu wiatr niósł ze sobą woń palonych suchych liści, zapach kwiatów w kostnicy. Słyszę ich muzykę. Słucham tego, co mi opowiadacie i tego, co pomijacie milczeniem. Może zawsze śniłem o podobnych lunaparkach i czekałem tylko na jego przybycie, abym mógł spojrzeć raz jeden na zbiorowisko dziwołagów i skinać głową? Wasze wesołe miasteczko gra na moich kościach niczym na marimbie. Mój szkielet wie. Mówi mi, co czuje. A ja mówię wam.

Rozdział XL

– Czy oni... – zagadnął Jim. – To znaczy... czy oni... kupują dusze? – Po co mieliby kupować, skoro mogą dostać je za darmo? – odparł pan Halloway. – Większość ludzi bez namysłu skorzystałaby z okazji zyskania czegoś za nic. Nie ma chyba rzeczy, którą lekceważylibyśmy bardziej niż nasze własne nieśmiertelne dusze. Poza tym sugerujesz, że w lunaparku zamieszkał Szatan we własnej osobie. Ja twierdzę jedynie, że to istota, która nauczyła się karmić otoczką naszych dusz, nie samymi duszami. Ta kwestia nigdy nie dawała mi spokoju, kiedy czytałem stare legendy. Pytałem sam siebie: po co Mefistofelesowi dusza? Co z nią pocznie, kiedy już ją zdobędzie? Na co mu się przyda? Zaczekajcie chwilę, a przedstawię wam swoją własną teorię. Te istoty pragną cierpienia dusz, które nie śpią po nocach, całymi dniami trawione gorączką dawnych zbrodni. Martwa dusza nie zda im się nawet na podpałkę, natomiast żywa, cierpiąca dusza w kokonie wyrzutów sumienia – o, to naprawdę smaczny kąsek. Skąd o tym wiem? Patrzą i obserwują. Lunapark przypomina nas samych, zwykłych ludzi, tyle że wyolbrzymionych, przesadzonych. Spójrzmy choćby na kobietę i mężczyznę, którzy zamiast się rozstać albo pozabijać nawzajem, dręczą się przez całe życie, szarpią za włosy,

podważają paznokcie i napawają bólem swych partnerów. Ów ból, jak narkotyk, nadaje sens ich życiu. Podobnie lunapark, który na wiele mil wyczuwa schorowane ambicje i przybywa natychmiast, by ogrzać ręce przy ogniu cierpienia. Z drugiej strony świata wychwytuje wonie chłopców, rozpaczliwie pragnących stać się mężczyznami, zbolałych niczym niemądre zęby mądrości, letnich istot śpiących w mroku zimy. Mężczyźni w średnim wieku także przyciągają jego uwagę, gdy znękani niepewnością jutra zaczynają snuć nie kończące się wspomnienia dawno utraconych sierpniowych popołudni. Potrzeba, chęć, pożądanie – te uczucia stale krążą w naszej krwi. Utleniamy je w duszach i wydalamy z siebie ustami, nosem, uszami, oczami; nadajemy na długich i krótkich falach poprzez anteny palców. Bóg jeden wie, jak to robią, ale nadzorcy dziwołagów natychmiast wyczuwają nasze pragnienia i przybywają pospiesznie, by je zaspokoić. Lunapark przebył gładko długą drogę, bowiem na każdym rozstajach kręci się mnóstwo ludzi, gotowych zaofiarować mu szklankę pierwszorzędnego cierpienia i dodać sił do dalszej podróży. Może zatem tak naprawdę karmi się trucizną grzechów, jakie wyrządzamy sobie nawzajem i miazmatami dręczących nas wyrzutów sumienia? Charles Hallows przyznał. – Dobry Boże, jak wiele rzeczy powiedziałem głośno w ciągu ostatnich dziesięciu minut. A może mówiłem do siebie? – Ma pan gadane – stwierdził Jim. – Ale w jakim języku, do diabła? – Nagle ogarnęła go obawa, że zrobił jedynie to, co każdej nocy, gdy rozkoszując się samotnością wygłaszał długie mowy do pustych korytarzy, a jego słowa odbijały się cichym echem od ścian, po czym znikają na zawsze. Stworzył już całe księgi, zapisując mądre zdania w powietrzu wielkich sal bezludnych budynków pozwalając, by wszystko uleciało bez śladu. Teraz wszystkie jego idee wydały mu się podobne do fajerwerków, które miały swą barwę, dźwiękiem, wysmakowaną strukturą słowa oszołomić chłopców i zaspokoić jego własną ambicję. Jednakże dźwięk i kolor nie zostawiły śladu w umysłach chłopców, pozostając jedynie zabawą, igraszką. Zawstydzony opanował podniecenie.

– Jak wiele z tego, co mówiłem, w ogóle do was dotarło? Jedno zdanie z pięciu? Dwa z ośmiu? – Trzy z tysiąca – odparł Will. Na te słowa Charles Hallows nie mógł powstrzymać śmiechu, w którym jednak zabrzmiała lekka nuta melancholii. Głos Jima wyrwał go z zamyślenia. – Czy... czy to... Śmierć? – Lunapark? – Stary mężczyzna zapalił fajkę i wydmuchnął z płuc chmurę dymu, z powagą śledząc szlak, kreślony przez nią w powietrzu. – Nie. Myślę jednak, że wykorzystuje śmierć, aby nam nią grozić. Śmierć nie istnieje. Nigdy jej nie było i nigdy nie będzie. Jednakże my, ludzie, nakreśliliśmy tak wiele podobizn Śmierci, od tak wielu lat usiłujemy określić jej sens, pojąć go, ogarnąć, że poczęliśmy uważać ją za żywą istotę, głodną i zachłanną. Tak naprawdę jednak śmierć to zegarek, który zatrzymał się w biegu, pustka, koniec, ciemność. Nicość. Zaś lunapark w swej mądrości dobrze wie, że bardziej boimy się Niczego niż Czegoś. Z Czymś możemy walczyć, ale... z Niczym? Czy można wymierzyć mu cios? Czy ma serce, duszę, plecy, mózg? Nie, nie. Toteż lunapark potrząsa nam przed oczami wielkim krupierskim kubkiem nicości, po czym zbiera swe żniwo, gdy prześcigamy się nawzajem, uciekając w ostatecznym przerażeniu. Och, pokazuje nam też coś, co może w końcu doprowadzić do Nicości. Na przykład ów zwierciadlany ogród pośrodku łąki – to dopiero Coś. Starczy, by zrzucić człowieka z siodła. Widok własnej osoby postarzałej o dziesiątki lat to prawdziwy cios poniżej pasa. Nikt nie zniesie wizji czasu, który nagle opuszcza jego ciało, spowijając je w woal mgły gęstej niczym pary suchego lodu. Kiedy zaś owa wizja zmrozi człowieka do szczytu, w Labiryncie rozbrzmiewa słodka, niepokojąca muzyka, przywodząca na myśl świeżo uprane suknie kobiet, kołyszące się na sznurze w powiewach majowego wiatru, pryzmy owoców zgniatanych na wino, błękit nieba, letnią noc nad jeziorem.. aż w końcu myśli nieszczęśnika zaczynają pulsować w rytm księżycowych bębnow otaczających organy parowe. To proste. Boże, podziwiam prostotę ich postępowania! Atakują starszego człowieka lustrami, a kiedy rozpada się na

kawałki niczym zwykła układanka, tylko oni potrafią złożyć go w nową całość. Jak? Pozwalając mu dosiąść karuzeli, która rusza do tyłu w rytm "Wesołej Wdówki" lub "Pięknego Ohio". Uważają jednak, by ludziom, którzy decydują się na tę przejażdżkę, nie wspomnieć o jednym drobnym fakcie.

– O czym? – spytał Jim. – Że jeśli w jednej postaci jesteś nieszczęsnym grzesznikiem, to pozostaniesz nim nadal. Zmiana ciała nie odmienia umysłu. Gdybym sprawił, że jutro obudzisz się jako dwudziestopięciolatek, Jim, twoje myśli nadal będą myślami chłopca i ludzie to dostrzegą. Albo weźmy mnie – gdybym naraz przeistoczył się w małego chłopca, mój mózg nadal miałby pięćdziesiąt lat i ów chłopiec zachowywałby się dziwnie dorośle, dojrzalej niż jego rówieśnicy. Nie jest to zresztą jedyne zwichrowanie czasu. – To znaczy? – naciskał Will. – Gdybym nagle odmłodził, wszyscy moi przyjaciele nadal mieliby po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Na zawsze pozbawiłbym się ich towarzystwa, bo przecież nie mógłbym im powiedzieć, co zrobiłem. Nie spodobałoby im się to. Znienawidziliby mnie. Nie podzielałbym już ich zainteresowań, prawda? A zwłaszcza zmartwień. Ich czekałaby choroba i śmierć, mnie – nowe życie. Gdzie zatem na tym świecie znajdzie sobie miejsce człowiek, który wygląda na dwudziestolatka, w istocie jednak jest starszy niż Matuzalem? Kto zdołałby znieść szok

towarzyszący podobnej zmianie? Lunapark nie ostrzega, że odmłodzeniu towarzyszy coś jakby szok pooperacyjny. Założę się jednak, że bywa jeszcze gorzej! Co zatem się dzieje? Człowiek otrzymuje swoją nagrodę: szaleństwo. Zmianie ciała towarzyszy zmiana całego otoczenia. A do tego poczucie winy, wyrzuty sumienia, że porzuca się żonę, męża, przyjaciół, aby umarli, jak przed nimi inni – Boże, już to jedno wystarczyłoby, żeby doprowadzić człowieka do obłądu. I znów lunapark zdobywa kolejną porcję strachu i cierpienia, a nieszczęśnik gnębiony poczuciem winy powraca i mówi, że chciałby stać się taki jak przedtem. Ludzie z lunaparku słuchają, kiwając współczująco głowami. Ależ tak, oczywiście, obiecują, jeśli będziesz zachowywał się, jak sobie życzą, wkrótce oddadzą ci twoje utracone pięćdziesiąt lat. Sama obietnica powrotu do dawnego wieku wystarczy, by ów pociąg przemierzył cały świat, ciągnąc wagony pełne szaleńców czekających na uwolnienie z więzów młodości, a tymczasem służących lunaparkowi i dosypujących koksu do jego palenisk. Will mruknął coś pod nosem. – Co takiego? – Panna Foley – westchnął z żalem. – Och, biedna panna Foley! Teraz już ją mają. Schwytali ją tak, jak mówiłeś. Kiedy dostała to, czego pragnęła, przeraziła się. Nie podobało jej się to, tak załośnie płakała, tak głośno, a teraz założę się, że obiecali jej, iż któregoś dnia znowu będzie pięćdziesięciolatką, jeśli tylko ich posłucha. – Zastanawiam się, co z nią robią w tej chwili. Och, tato! Och, Jim! Niech Bóg ma ją w swojej opiece! Ojciec Willa wyciągnął rękę, która dotknęła starych podobizn lunaparku i zaciążyła mu nagle. – Prawdopodobnie zamknęli ją razem z resztą dziwolągów. Bo kimże oni są? Grzesznikami, którzy pchani nadzieją odpuszczenia win podróżują od tak dawna, że przybrali postać swych pierwotnych grzechów? Choćby Tłuszcioch – kim był kiedyś? Jeśli dobrze zgaduję, to znając pokrętne poczucie humoru ludzi z lunaparku, ich parodię sprawiedliwości, pożądał niegdyś wszelkich rodzajów i odmian cielesnej rozkoszy. Zresztą nieważne. Teraz stał się olbrzymim grubasem, którego skóra pęka w szwach. Chudzielec, Szkielet

czy jak go tam zwał, głodził może kiedyś swą żonę i dzieci, zarówno cielesnie jak i duchowo? Krasnal? Jeśli to w istocie wasz znajomy handlarz piorunochronów, to stale wędrował naprzód, nigdzie nie zabawiając dłużej, unikając kłopotów. Wyprzedzał burzę, sprzedając ludziom piorunochrony, potem jednak pozostawiał ich, aby sami stawili czoło błyskawic. Może zatem kiedy wpadł w pułapkę darmowej przejażdżki, przypadkiem lub rozmyślnie zmieniono go nie w chłopca, lecz w złośliwego pokręconego karła, zajętego wyłącznie swoją osobą. A co z wróżką Cyganką, Pyłową Wiedźmą? Może żyła jedynie przyszłością, pozwalając, by czas przeciekał jej przez palce, tak jak ja kiedyś, więc w ramach kary musi odgadywać szalone poranki i smutne

zmierzchy innych ludzi? Wy mi powiedzcie, widzieliście ją przecież z bliska. Szpilkogłowy? Chłopiec-owca? Pożeracz ognia? Syjamskie bliźnięta? Dobry Boże, kim kiedyś byli?

Bliźniakami, połączonymi wspólnym narcyzmem? Nigdy się nie dowiemy. A oni nam nie powiedzą. W ciągu ostatniej półgodziny wiele razy zgadywaliśmy, zapewne nieraz całkiem się myląc. Teraz zaś potrzebny jest nam plan. Co dalej?

Charles Halloway rozłożył na stole mapę miasta i zakresił tępym ołówkiem miejsce, w którym wesołe miasteczko rozbiło swe namioty. – Czy ukrywamy się dalej? Nie. Zbyt wielu ludzi zostało włączonych w tę rozgrywkę – panna Foley i inni – toteż i tak nic by z tego nie przyszło. Jak zatem mamy ich zaatakować, żeby nie pokonali nas od razu? Jaką bronią... – Srebrnymi kulami! – wykrzyknął nagle Will. – Coś ty! – prychnął Jim. – Przecież to nie wampiry. – Gdybyśmy byli katolikami, moglibyśmy pożyczyć z kościoła trochę święconej wody i... – Bzdury – przerwał mu Jim. – Filmowe sztuczki. Prawdziwe życie nie jest tak proste. Mam rację, panie Halloway? – Niestety, tak. Oczy Willa rozbłysły groźnie. – No dobrze, więc zostaje tylko jedno. Wybrać się na łękę z paroma bańkami nafty i pudełkiem zapalek... – To przecież przestępstwo! – wykrzyknął Jim. – I kto to mówi? – Spokojnie! W tym momencie jednak cała trójka ucichła. Szmer. Korytarzami biblioteki przepłynął słabiutki powiew, docierając do niewielkiej bocznej sali. – Drzwi frontowe – szepnął Jim. – Ktoś właśnie je otworzył. W oddali rozległ się cichy szcęk. Przeciąg, który przez chwilę poruszył mankietami spodni chłopców i rozwichrzył włosy mężczyzny, należał do przeszłości.

– Ktoś je zamknął. Cisza. Wokół nich rozciągała się wielka ciemna biblioteka, złożony labirynt uśpionych książek. – Ktoś jest w środku. Chłopcy z jękiem unieśli się z miejsc. Charles Halloway odczekał chwilę. W końcu wyrzekł tylko dwa słowa: – Ukryjcie się. – Nie możemy cię zostawić... – Ukryjcie się. Chłopcy uciekli i zniknęli w mrocznym labiryncie. Wówczas Charles Halloway usiadł sztywno na krześle, oddychając głęboko – wdech, wydech, wdech, wydech. Jego wzrok powędrował ku pożółkłym gazetom. Czekał. Teraz pozostało mu tylko czekanie.

Rozdział XLI

Jakiś cień poruszył się wśród innych cieni. Charles Halloway poczuł nagły chłód w duszy. Upłynęło wiele czasu, nim cień i mężczyzna, który mu towarzyszył, stanęli razem w drzwiach pokoju. Cień zdawał się z rozmysłem opóźniać swoje przybycie, aby zmrozić ciało starego człowieka i podkopać fundamenty jego opanowania. Zaś kiedy wreszcie dotarł na miejsce, przywiódł ze sobą nie jednego czy stu, ale tysiąc ludzi. – Nazywam się Dark – oznajmił głos. Charles Halloway wypuścił ze swych płuc dwie garście powietrza. – Lepiej znany jako Człowiek Ilustrowany – dodał głos. – Gdzie są chłopcy? – Chłopcy? – Ojciec Willa odwrócił się wreszcie, mierząc wzrokiem stojącego w wejściu wysokiego mężczyznę. Człowiek Ilustrowany zaczął węszyć, wciągając do nosa żółty pyłek, unoszący się ze starożytnych kart książek. I nagle ojciec Willa ujrzał je, leżące na widoku. Zerwał się z miejsca, przystanął, po czym zaczął zamykać tom za tomem starając się, by wyglądało to zupełnie naturalnie. Człowiek Ilustrowany udał, że niczego nie dostrzega. – Chłopcy jeszcze nie wrócili. Ich domy są puste. Co za szkoda! Stracą wszystkie darmowe bilety. – Żałuję, że nie wiem, gdzie się podziewają. – Charles Halloway zaczął odnosić książki na półki. – Do diaska, gdyby wiedzieli, że pan tu przyjdzie z biletami, chyba oszaleliby z radości. – Czyżby? – Pan Dark pozwolił, by jego uśmiech roztopił się niczym różowo-biały woskowy cukierek, na który przestał mieć apetyt. Zniżając głos dodał: – Mógłbym cię zabić. Charles Halloway przytaknął krążąc wolno po sali. – Słyszałeś, co powiedziałem? – warknął Człowiek Ilustrowany. – Tak. – Ojciec Willa zważył w dłoni książki, jakby w nich właśnie zawarł się jego osąd sytuacji. – Lecz w tej chwili nie zrobisz tego. Jesteś zbyt sprytny. Tylko dzięki swojej przebiegłości zdołałeś tak długo kierować całym lunaparkiem. –

Przeczytałeś więc kilka gazet i sądzisz, że wiesz o nas wszystko? – Nie. Nie wszystko. Ale dość, by się was lękać. – A zatem bój się bardziej – odparł tłum ilustracji rodem z sennych koszmarów, uwięzionych pod powierzchnią czarnego garnituru. Usta pana Darka wygięły się szyderczo. – Na zewnątrz czekają moi przyjaciele. Jest tam ktoś, kto potrafi załatwić cię tak, by wyglądało, że umarłeś na zwykły atak serca. W żyłach Charlesa Hallowaya zatętniła krew. Poczł nagłe pulsowanie w skroniach i na przegubach. Wiedźma, pomyślał. Jego wargi musiały bezwiednie ułożyć się w ów wyraz. – Wiedźma – potwierdził pan Dark. Charles Halloway odłożył książki na półki, zatrzymując tylko jedną. – Co my tu mamy? – Pan Dark zmrużył oczy. – Biblię? Jakież to urocze, dziecinne i rozczulająco staroświeckie. – Czytał ją pan kiedyś, panie Dark? – Czy czytałem! Mnie czytano z niej każdą kartę, akapit i słowo! – Pan Dark powoli zapalił papierosa i wydmuchnął dym w stronę napisu PALENIE WZBRONIONE. Kolejna chmura popłynęła ku ojcu Willa. – Naprawdę wyobrazasz sobie, że książki mogą mnie zranić? Czyżbyś chciał uzbroić się w naiwność? Proszę bardzo! I zanim Charles Halloway zdążył zareagować, pan Dark podbiegł lekko naprzód i odebrał mu Biblię, otwierając ją z rozmachem. – Nie jesteś zdumiony? Widzisz, dotykam jej, trzymam w swych rękach, a nawet czytam. Pan Dark dmuchnął dymem na kartki książki, przewracając je szybko. – Spodziewałeś się, że moje ciało rozpadnie się na dziesiątki zwojów znad Morza Martwego? Na nieszczęście, mity są jedynie mitami. Życie – zaś mówiąc życie, mam na myśli tak wiele fascynujących rzeczy – trwa dalej, dostosowuje się do nowych okoliczności, chwytając szaleńczo każdą nadarzającą się sposobność. A wśród szaleńców naszego świata zajmuję jedno z pierwszych miejsc. Wasz król Jakub i jego literacka wersja tych nadętych przypowieści nie jest warta mojego czasu i wysiłku. Pan Dark cisnął Biblię do kosza na śmieci, nie patrząc na nią więcej. – Słyszę, jak twoje serce tłucze się w piersi – dodał. – Moje uszy nie są tak czułe jak uszy Cyganki, niemniej słuch mam dobry. Widzę, że zerkasz mi przez ramię, czyżby chłopcy ukryli się gdzieś w tej królikarni? Doskonale. Nie chciałbym, żeby uciekli. Nie żeby ktokolwiek uwierzył w ich gadaninę – w istocie stanowiłaby tylko dobrą reklamę naszego przedsięwzięcia. Ludzie, zaciekawieni po nie przespanej nocy, przybywają, aby obejrzeć nasze widowisko zastanawiając się, czy nie zainwestować w świadczone przez nas szczególne usługi. Ty także przyszedłeś i nie przywiódła cię jedynie ciekawość. Ile masz lat? Charles Halloway zacisnął usta. – Pięćdziesiąt? – wymruczał pan Dark. – Pięćdziesiąt jeden? – szeptał. – Pięćdziesiąt dwa? Chciałbyś być młodszy? – Nie! – Nie ma potrzeby krzyczeć. Uprzejmiej, proszę. – Pan Dark krążył po pokoju, przesuwał palcami po grzbietach książek, jakby były one latami, które odliczał w myślach. – Przyjemnie jest znów być młodym – kusił. – Czterdziestka to taki miły wiek. O dziesięć lat lepiej od pięćdziesiątki; a co do trzydziestki, to wyprzedza je obie o milę. – Nie będę tego słuchał! – Charles Halloway zamknął oczy. Pan Dark przechylił głowę, posłał koniuszek papierosa, po czym zauważył: – Dziwne. Nie chcesz słuchać, a zamykasz oczy. Logiczniej byłoby zatkać uszy. Ojciec Willa zasłonił dłońmi uszy, jednakże głos nadal przenikał do jego umysłu. – Powiem ci coś – pan Dark od niechcienia machnął papierosem. – Jeśli pomożesz mi w ciągu piętnastu sekund, cofnę cię do czterdziestych urodzin. Dziesięć sekund i będziesz znów trzydziestopięciolatkiem. To naprawdę młody wiek, w porównaniu z twoją terażniejszą niemal dzieciństwo. Zaraz zacznę odliczać czas i przysięgam na Boga, że jeśli zgłosisz się natychmiast zaoferować nam swą pomoc, może nawet odbiorę ci okrągłe trzydzieści lat. To prawdziwa okazja, jak reklamują się sklepy w okresie wyprzedaży. Pomyśl tylko: mógłbyś zacząć wszystko od nowa. Życie byłoby piękne i wspaniałe, raz jeszcze przeżyłbyś dawne doświadczenia, napawając się nimi. Masz teraz ostatnią szansę. Zaczynamy. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery... Charles Halloway skulił się, całym ciężarem wsparty o regał, i zazgrzytał zębami, by zagłuszyć odgłosy odliczania. – Wiele tracisz, mój starcze, mój drogi kolego – stwierdził pan Dark. – Pięć. Tracisz. Sześć. Tracisz, i to

sporo. Siedem. Pomyśl jeszcze. Osiem. Taka sposobność wymyka ci się z rąk. Dziewięć. Dziesięć. Mój Boże, głupcze! Jedenaście. Halloween! Dwanaście! Już prawie koniec. Trzydzieści! Tak. Czternaście! Straciłeś ją! Piętnaście! Na zawsze! Pan Dark opuścił rękę z zegarkiem. Charles Halloween zachłysnął się powietrzem i odwrócił twarz, kryjąc ją w miękkich skórzanych okładkach. Czuł zapach starych książek, kurzu wzbijanego przez kondukt pogrzebowy, słodycz suszonych kwiatów. Pan Dark skierował się do drzwi. – Zostań tutaj – polecił. – Słuchaj bicia swego serca. Przyślę kogoś, aby załatwił tę sprawę. Ale najpierw chłopcy... Tłum nigdy nie śpiących stworzeń, dosiadających jego ciała, zniknął w ciemności wraz z postacią pana Darka. W jego niskim głosie rozbrzmiewały ich płacze i jęki, okrzyki dziwnego ogromnego podniecenia. – Chłopcy? – zawołał miękko. – Jesteście tam? Gdziekolwiek się skrywacie... odpowiedzcie. Charles Halloween rzucił się naprzód i wtedy sala zawirowała wokół niego. Miękki uprzejmy głos pana Darka wciąż nawoływał w mroku. Ojciec Willa runął na krzesło, myśląc: Moje serce! Powoli osunął się na kolana – moje serce! Zaraz wybuchnie! Boże, wyrwa się z piersi! – i nie mógł pójść za nim. Człowiek Ilustrowany stąpając cicho jak kot, wędrował po labiryncie przyczajonych na półkach książek. – Chłopcy...? Słyszycie mnie...?

Cisza. – Chłopcy...?

Rozdział XLII

Przyczajeni samotnie w mroku, gdzieś pośród nieruchomych milionów książek, zagubieni po dwóch tuzinach skrętów w prawo, trzech tuzinach w lewo, niezliczonych korytarzach, przejściach, ślepych zaułkach, zamkniętych drzwiach, na wpół opróżnionych regałach, zabłąkani w literackim smogu Dickensowskiego Londynu lub Moskwy Dostojewskiego czy na leżących za nią rozległych stepach, skapani w obłoku welinowego kurzu, który dobywał się spomiędzy map z Atlasu Świata i zdjęć w "National Geographic", uniknąwszy kręcących w nosie pułapek kichania, chłopcy kryli się, stali, leżeli spoceni, dusząc się we własnym sosie.

Skryty w mroku Jim pomyślał: Nadchodzi! Skryty w mroku Will pomyślał: Jest blisko! – Chłopcy...? Pan Dark zjawił się, odziany w zbroję przyjaciół, misterny pancerz, na którym rozpięły się fantastyczne nocne gady. Wraz z nim do sali przybył naszkicowany tuszem Tyrannosaurus rex, maszerujący niczym okrutna machina śmierci. Grzmiący gad i pan Dark maszerowali ramię w ramię; jaszczur unosząc głowę jak dzikus pyszniący się szklanymi paciorkami, pan Dark uzbrojony w nakreślone złowrogą błyskawicą podobizny drapieżców i owiec, umykających przed burzą jego ciała. Błękitny pterodaktyl rozkładał szponiaste skrzydła, jakby miał zaraz wzlecieć pod sufit marmurowych skarbców, zaś wokół wymalowanych, wyklutych farbą, wypalonych w cieple kształtów siejących grozę kling i tłoków, roiły się stada widzów, kibiców, którzy obsiedli każdy skrawek skóry, rozparli się na ramionach, zerkając z porośniętej dżunglą włosów piersi; miliony mikroskopijnych nietoperzy wisiały głowami na dół ze sklepień pod pachami, wrzeszcząc piskliwie, gotowe ruszyć na polowanie i, jeśli trzeba, zabić. Niczym czarna fala przyływu, zalewająca ponury brzeg, ciemne kłębowisko postaci kryjących wśród siebie lśniące piękności i okrutnie zniekształcone sny maszerowało naprzód, z cichym sykiem przemieszczając swe ciało, stopy, nogi, twarz o ostrych rysach. – Chłopcy...? Niezwykle cierpliwy, miękki głos wydał się skostniałym istotom zaszytym głęboko pośród suchych książek najmilszym przyjacielem; jego właściciel dreptał, skradał się, przemykał, krążył na palcach, często stawał bez ruchu pośród stad małych naczelnych, egipskich pomników, wzniesionych zwierzęcym bogom, czarnych opowieści z dziejów martwej Afryki. Przez jakiś czas zatrzymał się w Azji, po czym ruszył zdobywać nowsze lądy. – Chłopcy, wiem, że mnie słyszycie! Napisna ścianie głosi: CISZA! Szepczę zatem: jeden z was nadal pragnie tego, co mamy

mu do zaoferowania. No? No? Jim, pomyślał Will. Ja, pomyślał Jim. Nie! Och, nie! Tylko nie to! – Wyjdźcie. – Pan Dark mruczał, cedząc powietrze przez zęby. – Zaręczam, że dostaniecie nagrodę! Ten, który się zgłosi, wygra wszystko! Buu– bum! Moje serce! – pomyślał Jim. Czy to ja? – pomyślał Will. A może Jim? – Słyszę was! – wargi pana Darka zadrżały. – Coraz bliżej. Will? Jim? Czy to nie Jim jest sprytniejszy? No chodź, chłopcze...! Nie! – pomyślał Will. Nic nie wiem! – pomyślał szaleńczo Jim. – Jim, tak... – pan Dark zawrócił, kierując się w nową stronę. – Jim, pokaż mi, gdzie jest twój przyjaciel. – Miętko. – Zamkniemy go, a tobie oddamy przejażdżkę, która przypadłaby jemu, gdyby miał głowę na karku. Co ty na to, Jim? – Głos zagruchał niczym gołąb. – Słyszę, jak szarpie się twoje serce! Przestań, polecił trzepoczącemu w piersi mięśniowi Will. Przestań! Jim wstrzymał oddech. – Czy nie znajdę was może w tej alkwie...? Pan Dark pozwolił, by siła grawitacji kolejnej grupki regałów pociągnęła go naprzód. – Jesteś tu, Jim...? A może tam...? Bezmyślnie popchnął wózek pełen książek, który potoczył się na gumowych kołach, znikając w mroku. Gdzieś daleko zderzył się ze ścianą, wysypując na podłogę swą zawartość: stado martwych literackich czarnych kruków. – Gramy w chowanego? – mruknął pan Dark. – Sprytnie się bawicie, ale jest ktoś od was sprytniejszy. Czy słyszeliście dziś wieczór organy karuzeli? Wiecie, że siedział na niej ktoś bardzo wam drogi? Will? Willy? Williamie? Williamie Halloway? Gdzie jest dziś twoja matka? Cisza. – Dziś wieczór dosiadła nocnego wiatru, Willy-Williamie. Dokoła. Sami ją tam posadziliśmy. Dokoła. I zostawiliśmy bezradną. Dokoła. Słyszysz mnie, Willy? Dokoła, jeden rok, drugi i jeszcze, jeszcze, jeszcze! Tato! – pomyślał Will. Gdzie jesteś? W odległej sali siedzący na ziemi Charles Halloway usłyszał go mimo łomotu własnego serca i pomyślał: Nie znajdzie ich. A ja nie ruszę się stąd, chyba że to zrobi. Nie znajdzie ich, nie będą go słuchali!, nie uwierzą!, odejdzie! – Twoja matka, Will – zawołał miętko pan Dark. – Dokoła, dokoła – czy potrafisz odgadnąć, w którą stronę, Willy? Pan Dark uniósł swą smukłą upiorną dłoń i zakreślił nią krąg w mroku. – Dokoła, dokoła... A kiedy pozwoliliśmy twej matce zejść i pokazaliśmy jej odbicie w Lustrzanym Labiryncie, trzeba było słyszeć dźwięk, jaki z siebie wydała! Zupełnie jak kot, który dławi się kulką włosów tak wielką i zbitą, że w żaden sposób nie może jej wypluć ani krzyknąć z włosami w nosie, uszach, oczach. O, chłopcze, była taka stara, stara, stara! Kiedy ostatni raz ją widzieliśmy, mój Willy, uciekała przed tym, co ujrzała w lustrze. Na pewno zapuka do drzwi domu Jima, kiedy jednak jego mama ujrzy dwustuletnią staruchę śliniącą się na progu i błagającą o to, by ktoś ją zastrzelił, także i ona zakrztusi się jak kot i przegna ją, odpędzi, by zebrała na ulicy, gdzie nikt jej nie uwierzy, Will, nikt nie da wiary, iż podobny worek kości i śliny był jeszcze niedawno różaną pięknnością, twoją miłą rodzicielką. Teraz, Will, tylko my możemy pobiec do niej, znaleźć ją, uratować, bo wiemy, gdzie jest, prawda, Will? Prawda, prawda, prawda?! Głos mrocznego mężczyzny załamał się w głośnym syku. Gdzieś z głębi biblioteki dobiegł cichy szloch. Ach... Człowiek Ilustrowany z radością wypuścił powietrze z wilgotnych płuc. Tak, o taaaaaak... – Tutaj... – mruknął. – Czyż nie tak? Umieszczeni pod "C" jak chłopcy? "P" jak przygoda? "K" jak kryjówka? "T" jak tajemnica? "S" jak strach? Albo może "J" jak Jim albo "N" jak Nightshade, "W" jak Will, "H" jak Halloway? Gdzie są moje dwie cenne ludzkie książeczki? Chcę zajrzeć im do środka, przerzucić parę kartek. Kopniakiem uczynił wyrwę wśród książek wypełniających półkę ogromnego regału. Wepchnął tam prawą stopę, wsparł na niej cały ciężar i uniósł lewą nogę. – Tutaj... Jego stopa uderzyła o drugą półkę, z trudem znajdując sobie miejsce. Prawą stopą wybił dziurę w trzeciej półce, brutalnie rozpychając książki i tak wdrapywał się coraz wyżej, pokonując czwartą, piątą, szóstą półkę, macając dokoła w mroku bibliotecznego nieba, zaciskając palce na deskach i przesiewając noc w poszukiwaniu chłopców, jeśli istotnie byli tutaj, wciśnięci między grube tomy niczym milczące zakładki. Jego prawa dłoń, królewska tarantula, ozdobiona wieńcem róż, strąciła w ślepą otchłań album gobelinów z Bayeaux.

Zdawało się, że upłynął cały wiek, nim arrasy uderzyły o ziemię; resztki ich piękności legły na podłodze w lawinie srebrnych, złotych i błękitnych jak niebo nici. Pan Dark, zdyszany, westchnął ciężko. Jego lewa dłoń sięgając ku dziesiątej półce natrafiła na pustą przestrzeń – nie było tam książek. – Chłopcy, jesteście tutaj? Na szczycie Everestu? Cisza. Przerwana jedynie słabym szlochaniem, znacznie bliższym niż przedtem. – Zimno wam? Zimniej? Najzimniej? Oczy Człowieka Ilustrowanego zrównały się z jedenastą półką. Zaledwie trzy cale dalej, sztywny niczym trup złożony twarzą do deski, leżał Jim Nightshade. Na następnej półce, skulony w drewnianej katakumbie, spoczywał William Halloway. W jego oczach kręciły się łzy. – No, no – rzucił pan Dark. Wyciągnął rękę, aby poklepać Willa po głowie. – Witam – rzekł.

ROZDZIAŁ XLIII

W oczach Willa zbliżająca się dłoń przypominała wschodzący księżyc. Na jego tarczy widniał jaskrawobłękitny portret jego samego. Jim także ujrzał przed sobą twarzą rękę. Jego podobizna spojrzała na niego z owej dłoni. Dłoń z wizerunkiem Willa pochwyciła Willa, dłoń z wizerunkiem Jima złapała Jima. Chłopcy wrzasnęli. Człowiek Ilustrowany szarpnął gwałtownie swą zdobyczą. Przekręcając się w powietrzu skoczył na ziemię. Chłopcy, kopiąc szaleńczo i krzycząc, upadli wraz z nim. Wylądowali na nogach i tracąc równowagę runęli na ziemię, skąd natychmiast dźwignęły ich ręce pana Darka. – Jim! – powiedział. – Will! Co tam robiliście, chłopcy? Bo przecież nie czytaliście. – Tato! – Panie Halloway! Z mroku wynurzył się ojciec Willa. Człowiek Ilustrowany czule umieścił chłopców pod pachą niczym drwa na opał, po czym spojrzał z łagodną cierpliwością na Charlesa Hallowaya i sięgnął ku niemu. Ojciec Willa zdążył wymierzyć mu jeden cios; potem silna ręka pochwyciła jego dłoń i zaczęła ścisnąć ją coraz mocniej. Na oczach wrzeszczących chłopców Charles Halloway zakrzuszył się i osunął na jedno kolano. Pan Dark wzmocnił uścisk. Jednocześnie powoli, nieubłaganie przyciągał do siebie chłopców, zgniatając im żebra. Z ust Willa i Jima z sykiem uleciało powietrze.

Przed oczami Willa zatańczyły ogniste spirale, przypominające wielkie odciski palców. Jego ojciec z jękiem opadł na oba kolana, wymachując prawą ręką. – Bądź przeklęty! – Już jestem – odparł cicho właściciel lunaparku. – Bądź przeklęty, przeklęty! – Słowa nic tu nie pomogą, starcze – stwierdził pan Dark. – Ani te w książkach, ani wypowiedane przez ciebie. Jedynie prawdziwe myśli i działanie, szybka myśl, szybka akcja, pozwalają zwyciężyć. O tak! Po raz ostatni zacisnął palce. Chłopcy usłyszeli, jak kostki palców Charlesa Hallowaya pękają z trzaskiem. Mężczyzna wydał z siebie ostatni bolesny okrzyk i padł bez zmysłów na ziemię. Płynnie, niczym uczestnik uroczystego korowodu, Człowiek Ilustrowany okrążał regały unosząc pod pachami chłopców, którzy kopiąc na oślep stracali książki z półek. Will, czując wokół siebie umykające ściany, księgi, posadzki, pomyślał nagle niemądrze: ależ pan Dark pachnie zupełnie jak para dobywająca się z organów!

Nagle Człowiek Ilustrowany wypuścił obu chłopców. Zanim zdążyli odetchnąć, zostali pochwyceni za włosy i podniesieni jak marionetki. Właściciel lunaparku ustawił ich przed oknem, wychodzącym na ulicę. – Chłopcy, czytaliście Dickensa? – szepnął. – Krytycy wytykają mu, że zbyt często posługuje się zbiegami okoliczności. Ale my przecież wiemy, że całe życie jest jednym wielkim kaprysem natury. Przyjrzyjcie się śmierci. Przypadek opada z niej przy każdym dotknięciu, niczym pchły uciekające z truchła wołu. Spójrzcie! Obaj chłopcy bezskutecznie szarpali się w żelaznym uścisku głodnych jaszczurek i zjeżonych małp. Will nie wiedział, czy ma płakać z radości, czy z rozpacz. W dole, po drugiej stronie szerokiej alei, ujrzał swą matkę i matkę Jima zmierzające z kościoła do domu. A zatem nie dosiadła karuzeli, nie zestarzała się, nie umarła, nie trafiła do więzienia. Była tu, na dworze, w rześki październikowy wieczór. Przez ostatnich pięć minut siedziała

zaledwie sto metrów dalej, w kościelnej ławce. Mamo! – chciał krzyknąć Will, jednak nie zdołał wydać z siebie głosu, bowiem ręka pana Darka przywarła do jego ust. – Mamo – zanucił drwiąco Człowiek Ilustrowany. – Chodź tu, uratuj mnie. Nie, pomyślał Will, ratuj siebie, uciekaj! Lecz jego matka i matka Jima szły leniwie dalej, szczęśliwe i zadowolone, z każdym krokiem oddalając się od ciepłego kościoła. Mamo! – krzyknął ponownie Will i tym razem zza spoconej dłoni dobył się cichy, stłumiony jęk. Matka Willa, oddalona o tysiące mil, przystanąła na chodniku. Nie mogła mnie usłyszeć, pomyślał Will, a jednak... Obejrzała się w stronę biblioteki. – Dobrze – westchnął pan Dark. – Doskonale, świetnie! Tutaj! – pomyślał Will. Zobacz nas, mamo! Wezwij policję! – Czemu nie patrzy na to okno? – spytał cicho pan Dark. – Ujrzałyby nas trzech, stojących tu niczym przyjaciele pozujący do portretu. Obejrzałyby się ponownie i przybiegła. A my byśmy ją wpuścili. Will z trudem powstrzymał łzy. Nie, nie. Spojrzenie matki musnęło wejście i powędrowało ku oknom parteru. – Tutaj – naciskał pan Dark. – Pierwsze piętro. Jak na porządny zbieg okoliczności przystało. Matka Jima powiedziała coś do swojej towarzyszk. Obie kobiety stały razem przy krawężniku. Nie, pomyślał Will. O nie. I wówczas ich matki odwróciły się i odeszły w głąb niedzielnego miasta. Will dostrzegł, że Człowiek Ilustrowany przygarbił się nieznacznie. – Kiepski to przypadek. Żadnego spięcia, kryzysu, nikt nie zginął i nie ocalał. Szkoda. No cóż. Wlokąc chłopców przed sobą popłynął ku drzwiom. Wśród cieni ktoś czekał na nich.

Jaszczurcze palce przebiegły po podbródku Willa. – Halloway – zaszemrał głos Wiedźmy. Na nosie Jima przysiadł kameleon. – Nightshade – zaszurał ten sam głos, niczym miotła z wyschniętych gałęzi. Za plecami Wiedźmy stali Krasnal i Szkielet, niespokojnie przestępując z nogi na nogę. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Posłuszni instynktowi chłopcy już mieli wydać z siebie najdonońsze możliwe wrzaski, lecz Człowiek Ilustrowany, błyskawicznie pojawiwszy, co zamierzają, uwięził dźwięki w ich ustach, zanim zdążyły wydostać się na zewnątrz, po czym krótko skinął na wiekową Pyłową Kobietę. Wiedźma pochyliła się naprzód i ujrzeli wyraźnie czarne woskowe kreski jej jaszczurzych oczu o zaszytych powiekach, wielki nos z dziurkami poczerniałymi niczym stara zwęglona fajka. Jej palce tańczyły w powietrzu tkając w milczeniu obręcz tajemnych symboli. Chłopcy patrzyli. Paznokcie Wiedźmy zatrzepotały i śmignęły naprzód, muskając chłodne, wilgotne, zimowe powietrze. Jej zgniły żabi oddech owiał skórę chłopców, która natychmiast pokryła się krostami, podczas gdy Wiedźma nuciała cicho, miaukliwie, mrużąc coś pod nosem, omotując siecią słów jej dzieci, chłopców, przyjaciół poznanych na zaznaczonym ślimaczym śluzem dachu. Przez moment w umyśle Willa zamajaczył obraz ciśniętej w górę strzały i trafionego balonu, tonącego w otchłani nieba. – Ważko-igielko, zaszyj im usta, by nie mogli mówić! Dotknięcie, szew, dotknięcie, szew; paznokieć Wiedźmy naciskał, przebijał, ciągnął, naciskał, przebijał, ciągnął, posuwając się wzdłuż warg obu chłopców, póki niewidzialna nić nie złączyła ich na dobre. – Ważko-igielko, zaszyj im uszy, by nie mogli słyszeć! Lodowaty piasek wypełnił uszy Willa, tłumiąc głos staruchy. Przez moment słyszał jeszcze nikiący w oddali zaśpiew, któremu towarzyszył ruch, gest, taniec zręcznych niczym macki rąk. W uszach Jima wyrósł mech, pogrążając jego umysł w głębokiej milczącej otchłani. – Ważko-igielko, zaszyj im oczy, by nie mogli widzieć! Rozpalone do białości palce śmignęły naprzód i oczy chłopców uciekły w tył głowy. Powieki opadły z hukiem niczym zatraskiwane metalowe drzwi. Will ujrzał przez moment miliard rozbłyskujących żarówek, które po chwili zniknęły w ciemności, podczas gdy niewidoczna igła spoza świata krążyła tuż obok, bzyząc niczym owad zwabiony do stołu słodkim zapachem rozgrzanego miodu, zaś daleki głos zaszywał ich zmysły na zawsze i jeszcze jeden dzień. – Ważko-igielko, zamknij na wieki oczy, uszy, usta i zęby; zakończ ścieg, zaszyj je w mroku, w głębi; zbierz senny pył i szary kurz, zaciągnij węzły na zawsze już, wypełnij im krew ciszą, niech nie widzą i nie słyszą. O tak, o tak. Gdzieś poza

świadomością chłopców Wiedźma opuściła ręce. Will i Jim stali bez ruchu, obojętni, milczący. Człowiek Ilustrowany uwolnił ich z objęć i cofnął się o krok. Kobieta zrodzona z Pyłu, pociągając nosem, przyjrzała się dwóm bliźniaczym dowodom swej maestrii i po raz ostatni czule przesunęła dłonią po twarzach posągów. Krasnal zakrzętał się szaleńczo w rzucanych przez chłopców cieniach, skubiąc delikatnie ich paznokcie, cicho nawołując imiona. Człowiek Ilustrowany skinął głową w stronę biblioteki. – Zegar, tykający w piersi dozorca. Zatrzymaj go. Wiedźma, otwierając szeroko usta, napawając się nadchodzącym nieszczęściem, zniknęła w marmurowych kamieniołomach. – Lewa, prawa – poleciał pan Dark. – Raz, dwa. Chłopcy zeszli po schodach. U Boku Jima dreptał Krasnal, u boku Willa – Szkielet. Człowiek Ilustrowany, spokojny i pogodny niczym śmierć, ruszył ich śladem.

ROZDZIAŁ XLIV

Gdzieś niedaleko dłoni Charlesa Hallowaya spoczywała w rozpalonym do białości palenisku, trawiona ogniem bólu. Otworzył oczy. W tym samym momencie usłyszał skrzypnięcie zatraskiwanych frontowych drzwi. W korytarzu zabrzmiał głos kobiety, nucący cichutko: – Starcze, starcze, starcze, starcze...? W miejscu, gdzie winna być jego lewa dłoń, czuł jedynie krwawą miazgę, pulsującą szaleńczą ekstazą bólu, która pochłaniała jego życie, wolę, uwagę, myśli. Próbował usiąść, lecz ból powalił go na ziemię. – Starcze...? Nie jestem jeszcze stary! Pięćdziesiąt cztery lata to nie starość, pomyślał gniewnie. I nagle ujrzał ją, sunącą po wysłużonej kamiennej posadzce. Jej miękkie jak skrzydła ćmy palce przebiegały po grzbietach książek, odczytując niewidoczne znaki brajla; nozdrza wciągały do płuc cienie. Charles Halloway skulił się i zaczął pełznąć w stronę najbliższego regału, spychając ból w głąb gardła. Musi wspiąć się do góry, poza jej zasięg, tak, by móc posłużyć się książkami niczym bronią, zrzucaną na głowę nocnej mary, która go ściga... – Starcze, słyszę twój oddech... Wiedźma płynęła jego śladem, pozwalając swemu ciału odpowiedzieć na wezwanie gadzich syków bólu. – Starcze, czuję, jak cierpisz... Gdyby tylko mógł pozbyć się tej dłoni, wyrzucić ból za okno, tak, by leżał na trawie łomocząc niczym serce i wzywał do siebie Wiedźmę, zwabioną płomieniem katuszy. Wyobraził sobie, jak czarownica pochyla się, stojąc na ulicy, a jej dłonie nagle ozywają, czując tętniące ciepło porzuconego skrawka cierpienia. Ale nie, dłoń została na miejscu, lśniąca różową poświatą. Zatrzuwała powietrze wyziewami męczarni, przyciągała do siebie niezwykłą Cyganekę-zakonnice, otwierającą szerzej swe wąskie zachłanne usta... – Niech cię diabli! – wykrzyknął. – Skończ już z tym! Jestem tutaj! Wiedźma skręciła gwałtownie niczym czarny manekin na gumowych kółkach i kołysząc się pozęglowała ku niemu. Nawet na nią nie patrzył. Wszystkie jego myśli zaprzątnięte były przytłaczającym brzemieniem rozpacz i wysiłku. Gdy na chwilę przejrzał na oczy, ujrzał jedynie wewnętrzną stronę swych powiek, na której kołysały się i koziółkowały miriady wirujących wrzecion przerażenia.

– To bardzo proste – szept opadł ku niemu. – Twoje serce. Zatrzymaj serce. Czemu nie, pomyślał jak przez mgłę.

– Wolniej – mruknęła. Tak, dodał w myślach. – Wolno, bardzo wolno. Jego serce, jeszcze przed chwilą szaleńczo tłukące się w piersi, bez oporu poddało się dziwnej chorobie. – Jeszcze wolniej, wolniej... – zasugerowała. Jestem zmęczony, o tak – słyszysz, serce? Jego serce usłyszało. Powoli zaczęło się odprężyć niczym zaciśnięta pięść, palec po palcu. – Ustań na dobre, zapomnij na dobre – szepnęła. Cóż, czemu nie? – Wolniej... najwolniej. Jego serce zakrzętało się. I wówczas, bez żadnej szczególnej przyczyny, może poza pragnieniem ostatniego spojrzenia dokoła, ponieważ naprawdę marzył, by pozbyć się bólu, a sen bez wątpienia pozwalał mu na to... Charles Halloway otworzył oczy. I ujrzał Wiedźmę. Zobaczył jej palce, tańczące w powietrzu, jej twarz, ciało, skryte w ciele

serce i skrytą w sercu duszę. Jej wilgotny bagienny oddech zalał go, podczas gdy Charles z ogromną ciekawością obserwował trującą ślinę, ściekającą z jej warg, liczył fałdy skóry wokół skrytych w sieci zmarszczek oczu, na gadziej szyi, uszach mumii, cienkich kreskach piaskowych brwi. Nigdy w całym swym dotychczasowym życiu nie skupił się tak bardzo na jednej osobie, jakby była zagadką, która rozwiązana ukazuje największy sekret świata, zaś sposób rozwiązania tkwił w niej samej. Już za chwilę wszystko się wyjaśni, nie, jeszcze za moment, za następnych parę minut. Patrz na jej palce skorpiona, słuchaj jak nuci, śmigając palcami w powietrzu, tak, śmigając, łachocząc je, łaskocząc. – Wolniej... – szeptała. – Powoli... Jego serce posłusznie ściągnęło wodze. Palce śmigają – pstryk, pstryk. Charles Halloway prychnął i zachichotał cicho. Słyszając sam siebie, pomyślał: Dlaczego? Czemu... śmieję się w takiej chwili? Wiedźma cofnęła się odrobinę, jakby dotknęła mokrą spiralą dziwnego ukrytego gniazdka elektrycznego i poczuła uderzenie prądu. Charles Halloway dostrzegł, jak się wzdrygnęła, lecz jednocześnie tego nie zobaczył. Wyczuł jej reakcję, ale nie przyjął jej do wiadomości, bowiem Wiedźma, natychmiast przejmując inicjatywę, rzuciła się naprzód. Nie dotykała jego piersi, gestykulując tylko w ciszy jak ktoś, kto usiłuje zakląć wahadło starego zegara. – Wolniej! – krzyknęła. Halloway bezmyślnie pozwolił, by w głębi jego umysłu zrodził się kretyński uśmiech, który wypłynął na powierzchnię przywierając do jego ust. – Najwolniej! Jej nowe rozgorączkowanie, niepokój przechodzący w gniew, stanowiły dla mężczyzny jedynie kolejną zabawkę. Część jego umysłu, dotąd starannie ukryta, wysunęła się naprzód, oglądając uważnie każdy por zaduszkowej twarzy Wiedźmy. Jego umysł wypełniła tylko jedna myśl – nic się nie liczy. U progu śmierci ludzkie życie ukazuje swe prawdziwe oblicze: to tylko wybryk, kaprys tak ogromny, że dopiero stojąc na końcu korytarza żywota można dostrzec jego bezsensowną długość i zupełnie zbędną wysokość. Tkwiąc w cieniu góry, sięgającej zawrotnych, a przecież jakże śmiesznych wyżyn, człowiek czuje się jak karzeł, szydzący z zadęcia czasu. Wobec nadchodzącej śmierci Charles Halloway powrócił myślami do miliardów bezcelowych czynów, powitań, pożegnań, bzdurnych pomysłów dziecka, chłopca, wyrostka, mężczyzny i starego człowieka. Zgromadził w jednym miejscu wszelkie słabostki, drobiazgi, zabawki własnego egoizmu; igraszki całego jego życia tkwiły teraz pomiędzy niemądrymi rzędami książek. Nic zaś nie dorównywało w swej śmieszności owej istocie zwanej Wiedźmą, Cyganką, Czytającą z Pyłu. Łaskotała, oto co robiła, łaskotała powietrze! Głuptaska, czyż nie wiedziała, co wyprawia? Otworzył usta. Niespodziewanie z jego gardła wyrwał się krótki szorstki śmiech, niczym dziecko zrodzone nieświadomym rodzicom. Wiedźma zachwiała się i odskoczyła. Lecz Charles Halloway jej nie widział; był zanadto zajęty pozwalając, by żart przepłynął mu przez palce, rozbawienie niczym źródło przelało się w gardle. Zamykając oczy czuł mrowienie życia w całym ciele. – Ty! – krzyknął, do nikogo, wszystkich, samego siebie, jej, ich, świata. – Jesteś śmieszna! Wiesz? – Nie! – zaprotestowała Wiedźma. – Przestań łaskotać – wykrztusił. – Nie! – rozpaczliwie rzuciła się w tył. – Nie! Śpij! Wolno! Bardzo wolno! – Ależ nie, ty tylko łaskoczesz! – ryknął. – Cha-cha! Przestań! Stój!

– O tak, stój, serce – pisnęła. – Stój, krwi! Jej własne serce musiało trząść się niczym tamburyn, ręce dygotały gwałtownie. Zamarła w połowie gestu i po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak niemądrze wyglądają jej palce. – O mój Boże! – Po twarzy Hallowaya ściekały piękne łzy radości. – Puść moje żebra! Cha, cha, cha, ruszaj, moje serce! – Twoje serce, taaak! – Boże! – Szeroko otwarł oczy i przełknął powietrze. Śmiech, przejrzysty niczym woda, zmywał wszystko do czysta, zupełnie do czysta. – Zabawki! Z twoich pleców sterczy kluczyk! Kto cię nakreślił? I ów ostatni wybuch radości, posłany w stronę kobiety, poparzył jej ręce i osmalił twarz – albo przynajmniej tak się zdawało, bowiem Wiedźma osłoniła się przed nim jak przed żarem paleniska, owijając popalone dłonie w egipskie bandaże. Chroniąc suche piersi umknęła do tyłu, po czym rozpoczęła powolny

odwrot, odpychana, odrzucana, cał za całem, stopa za stopą, opierając się o trzeszczące regały, półki; rozpaczliwie macając w poszukiwaniu podpory zrzucała na ziemię dziesiątki książek. Jej czoło zbierało kolejne ciosy od złożonych historii, próżnych teorii, zatraconych czasów, lat przyrzeczonych, ale zmarnowanych. Posiniaczona, przerażona, pokonana przez jego śmiech, który narastał, wypełniając swym dźwiękiem marmurowe korytarze, Wiedźma zawróciła, tnąc szponami oszalałe powietrze, i rzuciła się do ucieczki. Na schodach zachwiała się i runęła w dół. W chwilę później zdołała przecisnąć się przez frontowe drzwi, które trzasnęły ogłuszająco. Jej upadek i trzask drzwi wywołał u Charlesa Hallowaya kolejny atak obłąkańczego śmiechu. – O Boże, Boże, dosyć już, proszę! – błagał siebie samego. I ubłagane rozbawienie ustąpiło. Szaleńczy chichot osłabł, przeradzając się w szczery śmiech, z początku donośny, potem coraz cichszy. Charles Halloway zachichotał lekko i z zadowoleniem zajął się własnym oddechem, potrząsając znużoną, lecz szczęśliwą głową. W gardle i piersiach czuł przyjemny ból zmęczenia; ogień trawiący jego dłoń zniknął. Mężczyzna oparł się o jeden z regałów, składając głowę na przyjaznej książce. Po jego policzkach spływały słone łzy radości. Nagle pojął, że Wiedźma odeszła. Dlaczego? – zastanawiał się. Co takiego zrobiłem? Roześmiał się cicho i powoli wstał z ziemi. Co się stało? O Boże, koniecznie muszę wszystko zrozumieć! Najpierw jednak, upomniał się w duchu, odwiedź aptekę, zażyjesz pół tuzina aspiryn, aby choć na godzinę uleczyć zmiążdżoną rękę. Potem zaczniesz myśleć. W ciągu ostatnich pięciu minut odniosłeś przecież zwycięstwo, prawda? Jaki ma smak? Pomyśl, spróbuj sobie przypomnieć! I uśmiechnąwszy się do swej lewej dłoni, która niczym śmieszne martwe zwierzątko spoczywała w gnieździe zgiętego prawego łokcia, pospieszył nocnymi korytarzami na dół i pobiegł do miasta...

III POŻEGNANIA

ROZDZIAŁ XLV

Niewielki orszak maszerował bezdźwięcznie, mijając wiecznie wirującą, krótką, a przecież nieskończoną cukierkową serpentynę na słupie przed zakładem pana Crosettiego, ciemne, właśnie zamykane sklepy, pokonując pustoszejące ulice – bowiem ludzie zdążyli już wrócić z wieczornych mszy i siedzieli teraz w domach bądź krążyli po lunaparku, obserwując ostatnie przedstawienia lub skoczków, szybujących w dół w mroku niczym białe puszki mleczka. Stopy Willa, hen daleko w dole, uderzały o chodnik. Raz, dwa, pomyślał. Ktoś mi mówi: lewa, prawa. Ważka szepcze: raz-dwa. Czy Jim także stąpał w orszaku? Wzrok Willa na moment powędrował na bok. Owszem! Kim jednak był jego drobny towarzysz? To szalony Krasnal, ciekawy niczym dziecko, lecz tknięty nieznośnym strachem! Oraz Szkielec. A za nimi? Co to za setki, nie, tysiące ludzi maszerujących z tyłu, których oddechy muskały kark Willa? Człowiek Ilustrowany. Will skinął głową i jęknął tak wysoko i cicho, że jedynie psy – nieme psy, które i tak na nic by się zdały, zdolne były usłyszeć ów dźwięk. I rzeczywiście, spoglądając na bok ujrzał nie jednego, nie dwa, lecz trzy psy, które węsząc okazję postanowiły urządzić własną defiladę, to biegnąc przed nimi, to za nimi, z ogonami uniesionymi niczym proporce maszerującego plutonu. Warknijcie, pomyślał Will, tak jak na filmach. Zaczynajcie warczeć i sprowadźcie policję. Jednakże psy uśmiechnęły się tylko i odbiegły. Jakiś przypadek, błagam!, pomyślał Will. Jakieś zrzędzenie losu! Małe, malutkie! Pan Tetley! Tak! Niewidzący wzrok Willa spoczął na panu Tetleyu, który wtaczał właśnie do sklepu drewnianego Indianina, zamykając na noc trafikę. – Odwróćcie głowy – mruknął Człowiek Ilustrowany. Jim odwrócił głowę. Will także. Pan Tetley uśmiechnął się. – Uśmiech – westchnął pan Dark. Dwaj chłopcy odpowiedzieli uśmiechem. – Halo! – rzucił pan Tetley. – Powiedzcie halo – szepnął ktoś. – Halo – odparł Jim. –

Halo – odparł Will. Psy warknęły. – Darmowy bilet do lunaparku – wymamrotał pan Dark. – Darmowy bilet – rzucił Will. – Do lunaparku! – wyrecytował Jim. Po czym, niczym posłuszne automaty, wyłączyli uśmiechy. – Bawcie się dobrze! – zawołał za nimi pan Tetley. Psy zaszczekały radośnie. Orszak maszerował dalej. – Zabawa – mówił pan Dark. – Darmowe bilety. Kiedy tłumy wrócą do domu, za pół godziny przewieziemy Jima dookoła. Nadal tego pragniesz, Jim? Słyszac, choć nie słyszac, zamknięty wewnątrz siebie Will pomyślał: Jim, nie słuchaj go! Oczy Jima rozbłyły i uciekły na bok, nie wiadomo – wilgotne czy oślizgłe. – Będiesz podróżował z nami, Jim, a jeśli pan Cooger nie przeżyje (wszystko wciąż wisi na włosku, jeszcze go nie ocaliliśmy, niedługo znów spróbujemy), Jim, czy chciałbyś zostać moim współnikiem? Dodałbym ci lat do pięknego, zdrowego wieku, co? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia pięć? Dark i Nightshade, Nightshade i Dark – piękne słodkie nazwiska dla takich jak my, wożących lunapark po całym świecie! Co ty na to, Jim? Jim milczał, zaszyty w głębi snu Wiedźmy. Nie słuchaj!, jęknął jego najlepszy przyjaciel, który nic nie słyszał, a przecież dobiegało go każde słowo. – A Will? – ciągnął dalej pan Dark. – Jego przewieźmy do tyłu, co? Zróbmy z niego niemowlę, dziecko, które by nosił w objęciach Krasnal niczym maleńkiego kłowna, paradując wesoło co dzień przez następnych pięćdziesiąt lat. Jak by ci się to podobało, Will? Na zawsze pozostać niemowlęciem, nie móc mówić i opowiedzieć komuś wszystkich wspaniałych rzeczy, które zdołałeś odkryć? Tak, myślę, że to najlepsze dla Willa. Zabawka, mały mokry przyjaciel dla Krasnala. Will musiał krzyknąć. Ale nie na głos. Bowiem psy zawarczały przerażone; ze skowytami odbiegły w dal, jakby ktoś rzucił w nie kamieniem. Zza węgła wyłonił się mężczyzna. Policjant. – Kto to? – mruknął pan Dark. – Pan Kolb – odparł Jim. – Pan Kolb! – wyjaśnił Will. – Igiełko – szepnął pan Dark. – Ważko-igiełko. Uszy Willa przeszył potężny ból, jego oczy zarosły mchem, guma sklepiła mu zęby. Miał wrażenie, że słyszy trzask dziesiątek okiennic, zamykanych zamków; coś zatańczyło wokół jego twarzy, która znów odrętwiała. – Przywitajcie się z panem Kolbem. – Halo – powiedział Jim. ... Kolb... – dodał uśpiony Will. – Witajcie, chłopcy. – Skręćcie tutaj – poleciał pan Dark. Posłuchali. I tak pozbawiony werblich orszak wędrował naprzód w stronę krainy łąk, pozostawiając za sobą ciepłe światła, solidne miasto, bezpieczne ulice.

ROZDZIAŁ XLVI

Rozciągnięty na ponad milę długości, rozproszony orszak maszerował jak następuje: Na skraju głównej alejki lunaparku, deptając trawę martwymi stopami, Jim i Will o krok wyprzedzali swych towarzyszy, którzy stale na nowo podziwiali cudowne dzieła ważek-igiełek. Za nimi, dobre pół mili dalej, próbując ich doścignąć stąpała tajemniczo ranna Cyganka, tuman kurzu w ludzkiej postaci. A jeszcze dalej, na tyłach, podążał ojciec-dozorca, na przemian zwalniając kroku na wspomnienie swego wieku i przyspieszając niczym młodzieniec, gnany wspomnieniem pierwszego krótkiego spotkania z Wiedźmą i odniesionego zwycięstwa. Lewą rękę przyciskał do piersi, żując po drodze lekarstwo. Już w alejce pan Dark obejrzał się za siebie, jakby głos wewnętrzny wymienił mu nazwiska członków dziwnie rozproszonej grupy. Jednakże głos ucichł zbyt wcześnie; pan Dark nie był pewien. Energicznie skinął głową i Krasnal, Szkielet, Jim oraz Will zaczęli przepychać się przez tłum. Jim czuł oblewające go fale pogodnej rzeki ludzi, którzy otaczali go nie dotykając. Will słyszał wokół siebie kaskady śmiechu. On sam maszerował poprzez strugi dźwięków. Na niebie rozkwitł deszcz świetlików; nad ich głowami unosił się, dumny niczym olbrzymi fajerwerk, diabelski młyn. W końcu dotarli do lustrzanego labiryntu i posuwając się naprzód, zderzając, wpadając na ściany, po tysiącokrotnie zniknęli wśród niezliczonych lodowatych stawów, w których pojawiali się, jakże im podobni, milczący, zakłęci w pajęczej sieci chłopcy. To ja!, pomyślał Jim. Ale nie potrafię sam sobie pomóc, dodał Will w myślach. Nieważne, jak wielu Willów tu znajdzie. Tłum chłopców, w

towarzystwie gromady odbitych ilustracji pana Darka – bowiem zdjął on już swój płaszcz i koszulę – tłocząc się, dotarł do Gabinetu Figur Woskowych na końcu labiryntu. – Usiądźcie – polecił pan Dark. – Zostańcie tu. Pomiędzy woskowymi podobiznami mężczyzn i kobiet, pomordowanych, zastrzelonych, zgilotynowanych, uduszonych, pojawiły się dwie nowe figurki: chłopcy, przycupnięci niczym egipskie koty, nieruchomi. Żaden z nich nie mrugnął nawet okiem. Ostatni zwiedzający przeszli obok, zaśmiewając się donośnie i komentując wygląd woskowych figur. Nie dostrzegli cienkiej strużki śliny, wypływającej z kącika ust jednego z "woskowych" chłopców. Nie zauważyli dziwnie błyszczących "woskowych" oczu jego towarzysza, z których po policzkach powoli spływały łzy. Na zewnątrz Wiedźma kuśtykała niezręcznie, wymijając liny i kołki namiotów. – Panie i panowie! Ostatnie zbiegowisko wieczoru, trzy, cztery setki ludzi odwróciły się jak na komendę. Człowiek Ilustrowany, rozebrany do pasa – na jego skórze tańczyły koszarne węże, szablozębe tygrysy, lubieżne małpy, sępy o zakrwawionych szponach na tle żółtego jak siarka nieba – wyprostował się dumnie i ogłosił: – Ostatnie darmowe przedstawienie wieczoru! Chodźcie tu! Chodźcie wszyscy! Tłum runął ku głównej platformie przed namiotem dziwołagów, na której stali Krasnal, Szkielet i pan Dark. – Wspaniała, Ogromnie Niebezpieczna, często wręcz Śmiercionośna – Światowej Sławy Sztuczka z Pociskiem! Tłum westchnął z zachwytem. – Strzelby, poproszę! Chudzielec otworzył pudło, ukazując zebrany zestaw lśniących luf. Wiedźma, spiesząca ku nim, zamarła, gdy pan Dark wykrzyknął: – A oto ta, która potrafi oszukać śmierć! Z narażeniem życia chwytająca pociski – Mademoiselle Tarot! Wiedźma potrząsnęła głową, beknęła cicho, jednakże dłoń pana Darka śmignęła na dół, by nadal protestującą podsadzić niczym dziecko na platformę. Pan Dark zawahał się przez moment, jednakże świadom setek wpatrzonych w niego oczu, podjął przerwana mowę. – Proszę o ochotnika, który zechce wypalić ze strzelby. Wśród tłumu podniósł się szmer, ludzie szukali odważnego śmiałka. Usta pana Darka drgnęły ledwie dostrzegalnie. – Czy jego zegar stanął? – szepnął. – Nie stoi – zaskomlała Wiedźma. – Nie? – prawie wybuchnął pan Dark. Zmierzył ją ognistym spojrzeniem, po czym odwrócił się do widowni i pozwolił, by wargi dokończyły przemowy, by palce stukały o lśniące lufy. – Proszę o ochotnika! – Przerwij pokaz! – zawołała cichutko Wiedźma, wyłamując ręce. – Będzie trwał, przeklęta, dwakroć przeklęta! – odszepnął i zagwizdał ogłuszająco. Pan Dark ukradkiem ścisnął w palcach fałdę skóry na przegubie w miejscu, gdzie zdobiła ją ilustracja, przedstawiająca czarną zakonnicę, ślepą kobietę. Z całej siły wbił w nią paznokcie. Wiedźma szarpnęła się, chwyciła za pierś i zgrzytnęła zębami. – Łaski – szepnęła półgłosem. Tłum umilkł. Pan Dark szybko skinął głową. – Skoro nie mamy ochotników – podrapał się po ilustrowanym nadgarstku. Wiedźma zadrżała. – Odwołamy ostatni pokaz i... – Tutaj! Ochotnik! Tłum odwrócił głowy. Pan Dark wzdrygnął się, po czym spytał: – Gdzie? – Tu. Daleko na skraju tłumu uniosła się ręka. Ludzie rozstąpili się, tworząc wąskie przejście. Pan Dark ujrzał stojącego samotnie mężczyznę. Oto on: Charles Halloway, obywatel, ojciec, zadumany mąż, nocny wędrowca i dozorca w nocnej bibliotece.

ROZDZIAŁ XLVII

Tłumu milczał.

Charles Halloway nawet nie drgnął. Zaczekał, póki otwierająca się wśród ludzi ścieżka nie sięgnęła platformy. Ze swego miejsca nie dostrzegając wyrazu twarzy stojących tam dziwołagów. Przebiegł wzrokiem otaczającą go gromadę ziomków i nagle ujrzał Lustrzany Labirynt, pustą otchłań zapomnienia, wabiącą dziesiątkami tysięcy milionów lat świetlnych odbić, przeciwodbić, odwróconych raz, drugi, opadających w dół, w oszałamiającą pustkę, bezdenną czeluść, ku kolejnym pokładom zatrwającej nicości. A jednak, czy w cząsteczkach srebra pokrywających kryształowe tafle nie zachowało się echo dwóch chłopców? Czyż rozedrgane koniuszki jego rżęs nie dojrzały ich

przejścia i tego, że właśnie tam, na tyłach, tkwią niczym ciepły wosk wśród zimnych figur, czekając na grozę, która ich przebudzi i pozwoli uciec w panice.? Nie, upomniał się w duchu Charles Halloway, nie myśl. Bierz się do rzeczy. – Już idę! – wykrzyknął. – Daj im popalić, stary! – powiedział jakiś mężczyzna. – O tak – odparł Charles Halloway. – Postaram się. I ruszył powoli ku platformie. Wiedźma obróciła się wolno, jakby zbliżający się nocny ochotnik przyciągał ją z niepohamowaną siłą. Jej skryte pod ciemnymi szklami powieki szarpnęły się, naciągając zaszywające je czarne woskowe nici. Pan Dark, skąpany w morzu ilustracji, wychylił się z platformy, z zadowoleniem cmokając ustami. Na jego skórze roiły się cywilizacje zabłąkanych dusz, w oczach wirowały myśli, niczym ogniste koła świętej Katarzyny, szybko, szybko, co takiego, co, co, co?! Zaś starzejący się dozorca, z przylepionym do twarzy uśmiechem przypominającym białe celuloidowe zęby, umieszczone w pudełkach z płatkami, wędrował naprzód. Tłum otwierał się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem, za jego plecami ponownie zwierając szyki. Z każdym krokiem zastanawiał się, co ma robić, czemu się tu znalazł, ani na moment jednak nie przerywał marszu. Noga Charlesa Hallowaya dotknęła pierwszego stopnia, prowadzącego na platformę. Wiedźma zadrżała ukradkiem. Pan Dark natychmiast wykrył jej sekret i obejrzał się gwałtownie. Błyskawicznie wyciągnął rękę, aby pochwycić prawą, sprawną dłoń tego pięćdziesięcioczerolatka. Jednakże pięćdziesięcioczerolatek potrząsnął głową, nie pozwalając się dotknąć ani sobie pomóc. – Dziękuję, ale nie. Już z platformy Charles Halloway pomachał do zebranych. W odpowiedzi zgromadzeni wokół ludzie wystrzelili na wiwat parę fajerwerków. – Ależ... – stwierdził ze zdumieniem pan Dark – pańska lewa dłoń, proszę pana. Nie da pan rady trzymać strzelby i celować jednocześnie. Może pan przecież posługiwać się tylko jedną ręką. Charles Halloway pobladł. – Zrobię to – odparł. – Jedną ręką. – Niech żyje! – wykrzyknął chłopiec z dołu. – Pokaż im, Charlie! – zawołał z dala męski głos. Pan Dark poczerwieniał, słysząc donośne śmiechy i okrzyki. Uniósł ręce, aby odegnąć falę radosnych dźwięków, padających niczym deszcz z ludzkiej chmury. – Już dobrze, dobrze. Przekonajmy się, czy da radę! Gwałtownym szarpnięciem wyrwał strzelbę z pudła i cisnął ją naprzód. Ludzie zachłysłeni się. Charles Halloway uskoczył, unosząc prawą rękę. Pewnie trzymał broń.

Widzowie zaczęli gwizdać i niezbyt przychylnie komentować kiepskie maniery pana Darka. Właściciel lunaparku na moment odwrócił głowę, przeklinając w duchu własną zapalczywość. Ojciec Willa uniósł strzelbę, uśmiechając się szeroko. Tłum ryknął. Fala aplauzu popłynęła ku niemu, rozbiła się o krawędź platformy i cofnęła od brzegu, on zaś ponownie obejrzał się w stronę Labiryntu, gdzie wyczuwał niewidoczne cieniste postaci Willa i Jima, tkwiące pomiędzy olbrzymimi nożycami objawienia i złudzenia. Po chwili znowu spojrzał wprost w bazylijszkowe oczy pana Darka. Jego wzrok powędrował dalej, ku podenerwowanej, pozszywanej i ślepej zakonnicy kościoła nocy, bezustannie cofającej się ku krawędzi. Dalej już nie mogła uciec – tkwiła na brzegu platformy, niemal przyciśnięta plecami do okrągłej, czerwono-czarnej tarczy strzelniczej.

– Chłopca! – wykrzyknął pan Halloway. Pan Dark zeszywniał. – Potrzebuję ochotnika, chłopca, który pomógłby mi przytrzymać strzelbę – zawołał Charles Halloway. – Niech ktoś się zgłosi. Kilku chłopców w tłumie poruszyło się niespokojnie. – Chłopca! – ciągnął dalej Charles Halloway. – Chwileczkę. Gdzieś tam jest mój syn. On by się zgłosił. Prawda, Will? Wiedźma gwałtownie uniosła rękę, aby wyczuć kształt beczelnej śmiałości tego pięćdziesięcioczerolatka, która trawiła go niczym gorączka. Pan Dark odwrócił się gwałtownie, jakby trafił go rozpędzony pocisk. – Will! – wołał ojciec. W Muzeum Figur Woskowych Will siedział nieruchomo. – Will! – nawoływał Charles Halloway. – Chodź tu, chłopcze! Tłum spojrzał na lewo, na prawo, obejrzał się za siebie. Nikt nie odpowiedział. Will tkwił w Muzeum Figur Woskowych. Pan Dark przyglądał się temu z szacunkiem zabarwionym odrobiną podziwu i troski. Zdawał się czekać, podobnie jak ojciec Willa. – Will,

chodź tu i pomóż swemu staruszkowi! – krzyknął jowialnie pan Halloway. Will siedział w Muzeum Figur Woskowych. Pan Dark uśmiechnął się. – Will! Willy! Chodź tutaj! Cisza. Uśmiech pana Darka stał się szerszy. – Willy! Czyżbyś nie słyszał swego staruszka? Nagle Człowiek Ilustrowany przestał się uśmiechać. Bowiem to ostatnie zdanie padło z ust człowieka w tłumie. Zebrani roześmiali się. – Will! – krzyknęła jakaś kobieta. – Willy! – dodała kolejna. – Juhuuu! – Mężczyzna z brodą. – Chodź tu, Williamie! – Młody chłopak. Ludzie ponownie wybuchnęli śmiechem, szturchając się lekko łokciami. Charles Halloway wołał. Oni także. Charles Halloway krzyczał ile sił w płuchach. Oni też. – Will! Willy! Williamie! Wśród zwierciadeł zakołysał się niewyraźny cień. Twarz Wiedźmy pokryły kryształowe krople potu. – Tutaj! Tłum umilkł nagle. Podobnie jak Charles Halloway, który zakrztusił się, wymawiając imię własnego syna, bowiem w wejściu do Labiryntu stanął Will, przypominający ożywioną woskową figurę. – Will! – zawołał cicho ojciec. Dźwięk jego głosu sprawił, że kryształki na skórze Wiedźmy zadrżały i odpadły z brzękiem. Will, patrząc martwo przed siebie, ruszył naprzód. Zaś ojciec wycignął ku niemu strzelbę niczym laskę i wciągnął go na platformę. – Oto moja zdrowa lewa ręka – oznajmił. Will nic nie widział ani nie słyszał, podczas gdy tłum szumiał buńczucznie, radośnie. Pan Dark stał bez ruchu, choć Charles Halloway przez cały ten czas widział, jak w jego głowie zapalają się kolejne fajerwerki, jednakże wszystkie bez wyjątku tryskały tylko iskrami i gasły. Pan Dark nie potrafił odgadnąć, co zamierzają. Prawdę mówiąc, Charles Halloway także nie miał pojęcia. Zupełnie jakby przez lata pracy w bibliotece, przez setki kolejnych nocy opracował cały plan, nauczył się go na pamięć, podarł, a teraz zapomniał kluczowych rozwiązań. Postanowił jednak polegać na tajemnicy własnej istoty, działając od chwili do chwili, kierując się podpowiedziami – instynktu? Nie, serca i duszy! A... teraz? Zdawało się, iż biel jego zębów jeszcze bardziej oślepiła Wiedźmę. To niemożliwe! Ciemna postać uniosła dłoń do okularów i skrytych za nimi, zaszytych powiek. – Chodźcie bliżej! – zawołał ojciec Willa. Tłum stłoczył się wokół. Platforma była teraz wyspą pośród oceanu ludzi. – Patrzcie na mistrza celowiczego! Wiedźma skuliła się wśród swych szmat. Człowiek Ilustrowany spojrzał w lewo, nie znalazł jednak ukojenia w widoku Szkieletu, który wyglądał jedynie na jeszcze chudszy niż zwykle. Nie pomogło mu też spojrzenie w prawo, na Krasnała, z błogą miną pogrążonego w ciasnym światku szaleństwa. – Proszę o kulę – powiedział łagodnie ojciec Willa. Tysiąc ilustracji na rozedrganym ciele nie usłyszało go. Czemu zatem miałby usłyszeć pan Dark? – Jeśli laska – rzucił Charles Halloway. – Kulę? Aby mógł zrzucić pchłę z brodawki na nosie tej Cyganki. Will stał bez ruchu. Pan Dark zawahał się. Na zmarszczonej powierzchni oceanu błysnęły uśmiechy, jeden, drugi, sto, dwieście, trzysta białych błysków niczym grzywy fal, wzbudzonych przyciąganiem księżyca. Przyływ wznosił się, coraz wyżej i wyżej. Człowiek Ilustrowany, jak na zwolnionym filmie, ofiarował pocisk Charlesowi Hallowayowi. Jego ręka, rozprostowując się wolno, niechętnie podała kulę chłopcu, aby przekonać się, czy ją dostrzeże. Jednakże Will nie zareagował. Jego ojciec odebrał pocisk. – Proszę go oznaczyć swoimi inicjałami – wyrecytował pan Dark. – Nie, czymś więcej! Charles Halloway uniosł rękę syna i wsunął mu w palce kulę, tak, aby sam mógł zdrową ręką dobyć z kieszeni scyzoryk i wyryć w ołowiu dziwny symbol. Co się dzieje, pomyślał Will. Wiem, co się dzieje, a przecież tego nie wiem.

Pan Dark ujrzał wydrapany na powierzchni pocisku półksiężyc, nie dostrzegł w nim jednak nic złego, toteż wsunął kulę do lufy i oddał strzelbę ojcu Willa, który pochwycił ją zrećnie. – Gotów, Will? Brzoskwiniowa twarz Willa skłoniła się niemal niedostrzegalnie. Charles Halloway po raz ostatni zerknął na labirynt, myśląc: Jim, jesteś tam jeszcze? Szykuj się! Pan Dark odwrócił się, aby pogłodzić, oczarować, uspokoić swą pyłową przyjaciółkę, zamarł jednak w pół kroku, słysząc trzask zamka strzelby, szcęk wsuwanego pocisku. Ojciec Willa zademonstrował go zgromadzonym, aby

upewnić ich, że naprawdę tam tkwi. Na oko wydawał się całkiem prawdziwy, jednakże Charles Halloway czytał kiedyś, iż w istocie jest to pocisk zastępczy, odlany z bardzo twardego kredkowego wosku barwy stali. Wystrzelony, jeszcze w lufie roztopiał się, pozostawiając po sobie jedynie dym i parę. Właśnie w tej chwili, jakimś cudem podmieniwszy pociski, Człowiek Ilustrowany wsuwał prawdziwą oznaczoną kulę w rozedrgane palce Wiedźmy, która zaraz ukryje ją w policzku. Gdy padnie strzał, szarpnie się gwałtownie, jakby uderzona ogromną siłą, po czym pokaże wszystkim pocisk, tkwiący pomiędzy żółtymi szczurzymi zębami. Fanfary! Oklaski! Człowiek Ilustrowany, unosząc wzrok, ujrzał Charlesa Hallowaya, trzymającego otwartą strzelbę i woskową kulę. Zamiast jednak ujawnić to, o czym wiedział, pan Halloway powiedział jedynie: – Wytnijmy wyraźniej nasz znak, co ty na to, chłopcze? I umieściwszy pocisk w pozbawionej czucia dłoni syna, za pomocą scyzoryka oznaczył ów świeży nietknięty wosk tym samym tajemniczym półksiężycem, po czym wsunął go z powrotem do lufy. – Gotowi? Pan Dark spojrzął na Wiedźmę, która zawahała się, aż wreszcie raz jeden skinęła słabo głową. – Gotowi – oznajmił Charles Halloway. Wokół siebie wyczuwał namioty, wstrzymujący oddech tłum, niespokojne dziwolągi, Wiedźmę na granicy hysterii, ukrytego Jima, wciąż czekającego na znalezienie, starożytną mumię nadal siedzącą na krześle elektrycznym i połyskującą błękitnym ogniem, i karuzelę, czekającą na zakończenie pokazu, na to, by tłum wrócił do domu, zaś lunapark rozprawił się raz na zawsze z chłopcami i dozorcą, samotnymi i uwięzionymi. – Will – powiedział beztrąsko Charles Halloway, unosząc strzelbę, która nagle wydała mu się znacznie cięższa – twoje ramię posłuży mi za podpórkę. Ujmij jedną ręką środek lufy, ostrożnie, o tak. Weź go, Will. – Chłopiec uniósł rękę. – O właśnie, synu. Kiedy powiem "już", wstrzymaj oddech. Słyszysz mnie? Ręka chłopca zadrżała w niemym potwierdzeniu. Will spał. Śnił. Nękał go koszmar. Właśnie ten koszmar. W następnej chwili usłyszał, jak ojciec krzyczy: – Panie! Panowie! Człowiek Ilustrowany zacisnął pięść, miażdżąc zagubioną w jej środku podobiznę Willa niczym świeży kwiat. Will podskoczył. Strzelba opadła. Charles Halloway udał, że nic nie dostrzega. – Ja i Will wspólnie – posłuży mi dziś za zdrową lewą rękę, której nie mogę używać – wykonamy jedyną, niepowtarzalną, czasem śmiertelnościaną, sztuczkę z Pociskiem! Śmiech. Pięćdziesięcioletni dozorca, zadając kłam swemu wiekowi szybko uniósł strzelbę i położył ją na dygoczącym ramieniu chłopca. – Słyszysz, Will? Posłuchaj. To dla nas. Chłopiec słuchał, uspokajając się powoli. Pan Dark zacisnął pięść. Will drgnął, nagle pobladył. – Trafimy do celu jak nic, prawda chłopcze? – nie ustawał w swych wysiłkach ojciec. Kolejna salwa śmiechu. I chłopiec uspokoił się natychmiast, ze strzelbą wspartą na ramieniu. Pan Dark wbił mocno palce w pokrytą brzoskwiniowym puszką twarz, ukrytą w skórze jego dłoni, jednakże chłopiec wciąż stał spokojnie, bezpiecznie pogrążony w rozbrzmiewającym wokół śmiechu. Jego ojciec podtrzymywał nastrój, wołając: – Pokaż tej damie swoje zęby, Will! Will błysnął w jej stronę rzędem zębów. Z twarzy Wiedźmy odpłynęła wszelka krew. Charles Halloway także uśmiechnął się szeroko. Serce Wiedźmy skuł lodowaty chłód. – O rany! – rzucił ktoś z widowni. – Jest naprawdę świetna. Jak odgrywa strach. Popatrzcie! To ja gram, pomyślał ojciec Willa. Jego lewa ręka zwisała bezużytecznie u boku, prawa uniosła się do spustu. Powoli zniżył głowę. Jego syn cierpliwie podtrzymywał strzelbę, celując wprost w środek tarczy i widniejącą przed nim twarz Wiedźmy. Naszedł właściwy moment. Woskowy pocisk był już w komorze. Ale co mogłaby zdziałać podobna kula? Kula, która roztopia się po drodze? Na co się zda? Czemu tu byli? Co mogli zdziałać? To głupota! Głupota! Nie, pomyślał ojciec Willa. Przestań. Odpędził wszelkie wątpliwości. Poczł, jak jego wargi bezdźwięcznie formułują słowa. Jednakże Wiedźma usłyszała to, co powiedział. Zanim ciepły dźwięk ustał, Charles Halloway w milczeniu wypowiedział, co następuje: Półksiężyc, który wyryłem na kuli, nie jest wcale półksiężycem. To mój uśmiech. Oznaczyłem pocisk moim własnym

uśmiechem. Powiedział to tylko raz. Zaczekał, aż zrozumiała. I powtórzył w ciszy każde słowo. Zanim Człowiek Ilustrowany zdążył przetłumaczyć milczące zdania, Charles Halloway krzyknął cicho: – Już! Will wstrzymał oddech. Daleko, z ust skrytego pośród figur woskowych Jima spływała ślina. Przypięta do krzesła elektrycznego, zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią mumia pomrukiwała nagromadzoną mocą. Ilustracje pana Darka wiły się, skąpane w zimnym pocie, gdy ich pan po raz ostatni zacisnął pięść, ale – za późno! Will, spokojny, nieczuły, wstrzymując oddech podtrzymywał broń. Jego ojciec powiedział cicho: – Teraz. I wystrzelił.

ROZDZIAŁ XLVIII

Jeden strzał! Wiedźma wciągnęła oddech. Jim, w mroku Muzeum Figur Woskowych, wciągnął oddech. Podobnie jak uśpiony Will. I jego ojciec. I pan Dark. I wszystkie dziwolągi. I cały tłum. Wiedźma wrzasnęła. Jim, tkwiący pośród woskowych manekinów, wypuścił z płuc powietrze. Will ocknął się z krzykiem na platformie. Człowiek Ilustrowany wypuścił z ust oddech w gniewnym donośnym okrzyku, gwałtownie unosząc ręce, aby powstrzymać dalszy bieg wypadków. Jednakże Wiedźma zachwiała się i spadła z platformy. Runęła w pył. Nadal trzymając w dłoni dymiącą strzelbę, Charles Halloway powoli wypuścił powietrze, czując, jak opuszcza go każda jego cząstka. Wciąż jeszcze celował w miejsce, w którym przed chwilą stała kobieta. Na skraju platformy pan Dark spojrział w dół, na wrzeszczący tłum i na przyczynę ich wrzasków. – Zemdląca... – Nie! Poślizgnęła się! – Chyba ją zastrzelił? Po chwili Charles Halloway podszedł do Człowieka Ilustrowanego i także spuścił wzrok. Na jego twarzy malowało się wiele uczuć naraz: zaskoczenie, żal, zgroza, zza której jednak prześwitywała dziwna ulga i zadowolenie. Ludzie podnieśli kobietę i położyli ją na platformie. Jej otwarte usta zastygły w bolesnym grymasie. Zdawało się, jakby w ostatniej chwili pojęła, co ją czeka. Wiedział, że nie żyła. Za chwilę tłum także to odkryje. Patrzył, jak ręka Człowieka Ilustrowanego opada, aby dotknąć ją, zbadać, poszukać oznak życia. Pan Dark uniósł obie ręce kobiety, jak u lalki, marionetki, usiłując sprawić, by się poruszyła. Jednakże ciało odmówiło. W końcu oddał jedną z rąk Wiedźmy Krasnalowi, drugą Szkieletowi i razem potrząsnęli nią w upiornej parodii przebudzenia. Tłum cofnął się z lękiem. – Martwa... – Ale... nie ma przecież żadnej rany. – Może to szok? Szok, pomyślał Charles Halloway. Mój Boże, czyżby to właśnie ją zabiło? A może drugi pocisk? Może kiedy wystrzeliłem, wciągnęła do gardła drugą kulę? Czyżby... zadławiła się moim uśmiechem? Chryste! – Wszystko w porządku! Przedstawienie skończone! Skończone! Po prostu zemdląca – ogłosił pan Dark. – To tylko gra! Część przedstawienia – dodał nie patrząc na kobietę ani na tłum, lecz na Willa, który stał, mrugając gwałtownie oczami. Wyzwolony z jednego koszmaru, szybko pograżał się w drugim. Ojciec podszedł do niego, zaś pan Dark wykrzyknął: – Niech wszyscy wracają do domów! Koniec przedstawienia! Światła! Światła! Światła lunaparku zamigotały. Stłoczeni wokół ludzie na widok gasnących lamp zawrócili niczym olbrzymia karuzela i w słabnącym blasku pospieszyli w stronę nielicznych kręgów światła, jakby chcieli ogrzać się, zanim stawią czoło wiatrowi. Rzeczywiście, kolejne lampy gasły jedna po drugiej. – Światła! – rzucił pan Dark. – Skacz! – polecił Willowi ojciec. Will skoczył i u boku ojca pobiegł naprzód. Charles Halloway nadal trzymał w dłoni broń, z której wystrzelił swój uśmiech, zabijając Cygankę i odsyłając ją z powrotem w pył. – Czy Jim tam jest? Dotarli do Labiryntu. Za nimi, na platformie, pan Dark ryknął: – Światła! Wracajcie do domu! Wszystko skończone! Koniec! Czy Jim tam jest? – zastanawiał się Will. Tak. O tak! Wewnątrz Muzeum Figur Woskowych Jim nadal trwał bez ruchu, nie mrugnawszy nawet okiem. – Jim! Głos dobiegał z zewnątrz, pokonując zakręty Labiryntu. Chłopiec poruszył się. Zamrugął. Ujrzał stojące otworem tylne drzwi i potykając się, ruszył ku nim.

– Idę po ciebie, Jim! – Tato, nie! Will doścignął swego ojca, który zatrzymał się przed pierwszym lustrzanym zakrętem. Do jego dłoni nagle powrócił ból, wędrując nitkami nerwów aż do

piersi, gdzie uwił sobie ogniste gniazdo nie opodał serca. – Tato, nie wchodź tam! – Will złapał go za zdrową rękę. Wznosząca się za ich plecami platforma była pusta. Pan Dark pobiegł gdzieś... ale dokąd? Tymczasem w lunaparku zapadała noc. Kolejne światła gasły coraz szybciej i szybciej, mrok pochłaniał resztki blasku i gęstniał, pełen jęków i świstów, zaś tłum, niczym tuman liści, opadających z jednego wielkiego drzewa, śmignął ku drodze. Ojciec Willa stał naprzeciw szklanego przypływu, szeregów fal, rzędów, szpalerów grozy, które, jak wiedział, czekały tylko, aby zaczął przez nie brnąć i wędrować naprzód, walcząc z osłabieniem, zatrutą własnej istoty, która nań tam czyhała. Widział dość wiele, by to pojąć. Jeśli zamkniesz oczy, zbłądzisz; patrząc naprzód, poznasz tak dogłębną rozpacz, tak przygniatające brzemię bólu, że najpewniej nie dotrzesz do dwunastego zakrętu. Jednakże Charles Halloway strząsnął z siebie dłonie Willa. – Tam jest Jim. Jim, zaczekaj! Już idę! I z tymi słowami postawił pierwszy krok w głąb labiryntu. Przed nim migotały strugi srebrnego światła, przecinane czarnymi plamami cienia. Czyste, błyszczące tafle, przepełnione obrazami ich samych i innych ludzi, których dusze, wędrując naprzód, odcisnęły na szkle piętno swego bólu, zabarwiły chłodny lód swym narcyzmem i pokryły płaszczyzny i załamania warstewką potu – strachu. – Jim! Charles Halloway pobiegł naprzód. Will także. Po chwili zatrzymali się gwałtownie. Bowiem i tu światła jedno po drugim śleły, przygasając, zmieniając barwę od błękitu po wrzosowy odcień letniej błyskawicy, otoczone słabym halo, migocząc niczym tysiąc staroświeckich świec, których płomyki tańczą na wietrze. Zaś pomiędzy nimi i Jimem, rozpaczliwie potrzebującym pomocy, stanęła armia miliona mężczyzn o wykrzywionych ustach, przyprószonych siwizną włosach i białych skąpych bródkach. Oni, oni wszyscy... pomyślał. To ja! Tato! – wykrzyknął w myślach stojący za nim Will, nie bój się! To tylko ty. Wszyscy ci ludzie to jedynie mój ojciec. Nie podobał mu się jednak ich wygląd. Byli tacy starzy, tak bardzo starzy, i im dalej maszerowali, tym bardziej się starzeli, gestykulując szaleńczo, podczas gdy tato uniósł ręce, pragnąc odpechnąć wizję, obrazy spotęgowane do szaleństwa. Tato, pomyślał Will, to ty! Ale nie tylko. W tym momencie wszystkie światła zgasły. Will i Charles Halloway stali obok siebie, skuleni wśród przytłaczającej ciszy, czując lęk.

ROZDZIAŁ XLIX

Czyjaś ręka zaczęła ryc w ciemności niczym kret. Należała do Willa. Grzebała w kolejnych kieszeniach macając, odrzucając i zagłębiając się ponownie, bowiem Will wiedział, że w mroku ów milion starych ludzi może pospieszyć naprzód, skoczyć i zmiażdżyć sobą tatę. W tym zamkniętym nocnym świecie starczyło parę sekund, by pojąć, że mogą zrobić z ojcem wszystko! Jeśli Will się nie pospieszy, te legiony z przyszłości – pełne oznak nadchodzącego życia, tak proste, złowrogie i prawdziwe, że nie dałoby się zaprzeczyć, iż istotnie przypominają tatę za dzień, dwa, trzy i całe szeregi nadchodzących lat – wszyscy oni mogą pochłonąć go na zawsze! A zatem szybko! Kto ma więcej kieszeni niż magik? Chłopiec. Czyje kieszenie zawierają więcej skarbów niż magika? Chłopca. Palce Willa pochwyliły parę kuchennych zapalek. – O Boże, tato, trzymaj! Zapalił pierwszą zapalną. Lawina była tuż, tuż. Teraz, w nagłym blasku światła, ich oczy rozwarły się szeroko, tak jak oczy taty. Usta wykrzywił grymas zdumienia na widok ich własnego wieku, owej szalonej maskarady. Stójcie!, krzyknęła zapalona zapalnia. I plutony po lewej, szwadrony po prawej zamarły, napinając mięśnie w czujnym oczekiwaniu, rzucając złowieszcze spojrzenia, wypatrując chwili, gdy płomyk zgaśnie. Wówczas, uwolnieni z okowów blasku, opadną tego starego, jakże starego, straszliwie starego człowieka, przygniatając go w jednej chwili brzemieniem Przeznaczenia. – Nie! – rzucił Charles Halloway. Nie. Miliony warg poruszyły się w zgodnym chórze. Will wysunął zapalną naprzód. W lustrach stado pomarszczonych chłopców-małpek uczyniło to samo, unosząc przed sobą maleńki pączek żółto-błękitnego ognia. – Nie! Każda szklana tafle ciskała oszczepy światła, które przeszywały ciało, zagłębiały się w nie, odnajdując serce, duszę, płuca, aby zamrozić żyły, przeciąć

nerwy, zniszczyć ducha, sparaliżować i kopnąć serce niczym zwykłą piłkę. Stary człowiek padł na kolana niczym zwierzę z podciętymi ścięgnami. Podobnie uczyniły jego posłuszne wizerunki, kongregacja przerażonych istot, starszych od niego o tydzień, miesiąc, dwa lata, dwadzieścia, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt!; świadome każdej minuty i długich godzin po północy, które chroniły go przed szaleństwem. Wszystkie te podobizny szarzały na twarzach, blednąc w miarę, jak lustra odbijały je rykoszetem między sobą, wysysając z niego życie, pozbawiając wszystkich soków, jakby za chwilę miały zamienić go w kościany pył i rozsypać w proch po posadzce. – Nie! Charles Halloway wytrącił zapałkę z dłoni syna. – Tato, przestań! W nowej ciemności wyczekujące stado starców ruszyło niezgrabnie naprzód. Wokół Will słyszał donośne bicie ich serc. – Tato, musimy widzieć! Zapalił drugą i ostatnią zapałkę. W jej blasku ujrzał ojca, skulonego na ziemi, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami, w otoczeniu niezliczonych mężczyzn, którzy będą musieli powlec się naprzód, dźwignąć z trudem z kolan, kiedy zgaśnie ostatnie światło. Will pochwycił ramię ojca i potrząsnął nim gwałtownie. – Och, tato, tato, nie obchodzi mnie, jaki jesteś stary! Nie dbam o to, naprawdę! Tato! – krzyknął, płacząc. – Kocham cię! Słyszając to, Charles Halloway otworzył oczy. Ujrzał pozostałych siebie i stojącego za nim syna, obejmującego go z drżącym płomykiem w dłoni, z łzami ściekającymi po policzkach. I nagle, jak już raz przedtem, przed jego oczami pojawiła się wizja Wiedźmy, wspomnienie biblioteki, klęski jednej strony, zwycięstwa drugiej; usłyszał echo strzału, ujrzał tor znaczonego pocisku, ucieczkę tłumu. Jeszcze przez chwilę przyglądał się wszystkim swym odbiciom oraz twarzy Willa. Z jego ust wyrwał się cichutki dźwięk. Po sekundzie stał się głośniejszy i wreszcie Charles Halloway udzielił Labiryntowi, lustrom i otchłaniam czasu przed nim, za nim, wokół, ponad, poniżej i tym stłoczonym we wnętrzu jego ducha jedynej możliwej odpowiedzi. Jego usta otworzyły się szeroko i Charles Halloway wydał z siebie donośny dźwięk wolności. Wiedźma, gdyby jeszcze żyła, rozpoznałaby go i umarła ponownie.

ROZDZIAŁ L

Jim Nightshade, który wybiegł tylnymi drzwiami Labiryntu i biegał na oślep po lunaparku, przystanął nagle. Człowiek Ilustrowany, gdzieś między czarnymi namiotami, zatrzymał się w biegu. Krasnal zamarł. Szkielet odwrócił się. Wszyscy usłyszeli. Nie odgłos, jaki wydał z siebie Charles Halloway, nie. Lecz wspaniały dźwięk, który nastąpił tuż po nim. Najpierw zadrżało jedno lustro, potem drugie, po chwili trzecie, czwarte i jeszcze jedno, jeszcze, jeszcze i jeszcze, zupełnie jak kostki domina; na ich głębokich lśniących taflach pojawiły się pajęczne sieci pęknięć, a potem, z lekkim brzękiem i donośnym trzaskiem, kolejne szklane odłamki posypały się na ziemię. W jednej chwili Charlesa Hallowaya otaczała niewiarygodna drabina jakubowa szkła, odbijająca niezliczonym echem obrazy zamknięte w księżde światła, w następnej – wszystko rozsypało się w kosmiczny pył. Człowiek Ilustrowany, który stał bez ruchu, nasłuchując, poczuł, jak jego własne kryształowe oczy drżą. Mało brakowało, by także pękły w deszczu odłamków. Zupełnie jakby Charles Halloway powrócił do dzieciństwa i znów jako chłopiec w chórze niezwyklego demonicznego kościoła zaśpiewał najpiękniejszą pieśń swego życia, wysoki, pełen pogody i wesołości ton, który najpierw strząsnął ze zwierciadeł srebrny motyli pył, następnie sprawił, że z rozedrganych tafli uleciały obrazy, aż wreszcie samo szkło rozpadło się na kawałki. Tuziny, setki, tysiące luster, a z nimi wizje starości Charlesa Hallowaya posypały się na ziemię niczym cudowny śnieg w blasku księżyca. A wszystko z powodu dźwięku, który dobył się z jego płuc poprzez gardło i usta. Tylko dlatego, że w końcu Charles Halloway pogodził się ze wszystkim: z lunaparkiem, stojącymi za nim wzgórzami, ludźmi wśród wzgórz, Jimem, Willem, i, co najważniejsze, samym sobą, całym swoim życiem; i akceptując to, po raz drugi tego wieczoru odrzucił w tył głowę i zademonstrował swe uczucia światu. I oto, niczym mury Jerycha padające od głosu trąb, szklane tafle

wyzionęły ducha przy wtórze melodyjnych gromów, zaś Charles Hallaway wykrzyknął głośno, uwolniony od zaklęcia. Odjął dłonie od twarzy. Słodkie światło gwiazd i gasnący blask lunaparku pospieszyły ku niemu, zwracając mu wolność. Martwi odbici ludzie zniknęli, pogrzebani pod brzęczącą lawiną, migotaniem odłamków u jego stóp. – Światła... światła! W odległym głosie zabrzmiała cieplejsza nuta. Człowiek Ilustrowany otrząsnąwszy się z osłupienia zniknął między namiotami. Tłum także już odszedł. – Tato, co robisz? W tym momencie zapalka oparzyła place Willa, który upuścił ją, jednakże słabe światło wystarczyło, by ujrzał tatę brnącego wśród śmieci, przedzierającego się przez stopy strzaskanych zwierciadeł i zmierzającego na drugą stronę pustego pomieszczenia, w którym kiedyś mieścił się labirynt. – Jim? Drzwi na tyłach stały otwarte. Wpadały przez nie słabe przygasające światła, ukazując woskowe figury morderców i morderczyń. Jima między nimi nie było. – Jim! Przez chwilę wpatrywali się w otwarte drzwi, którymi wybiegł, zanurzając się w wir nocy pomiędzy czarnym płótnem namiotów. Ostatnia żarówka zgasła. – Teraz nigdy go nie znajdziemy – westchnął Will. – Owszem – nie zgodził się jego ojciec stający w mroku – znajdziemy. Gdzie? – pomyślał Will i zamarł nagle. Bowiem daleko, w głębi wesołego miasteczka, odezwała się karuzela. Organy parowe ożyły z jękiem, wydając z siebie bolesną melodię. Tam, pomyślał Will. Jeśli Jim jest gdziekolwiek, to właśnie tam, skąd dochodzi muzyka. Stary, dziwaczny Jim z darmowym biletem wciąż ukrytym w kieszeni. O tak, założę się! Niech go diabli porwą!, wykrzyknął w duchu. Do diabła z tobą, Jim! A potem pomyślał: nie, nie, i tak jest już przeklęty albo wkrótce będzie. Jak więc znajdziemy go w ciemności, skoro nie mamy zapalek ani latarki, i jest nas dwóch przeciw wszystkim, w dodatku na ich terenie? – Jak... – zaczął Will na głos, jednakże ojciec przerwał mu. – Tam – stwierdził bardzo cicho, z wdzięcznością. Will podszedł do drzwi, które nagle stały się jaśniejsze. Księżyc! Dzięki Bogu. Właśnie wynurzał się zza wzgórz. – Policja...? – Nie ma czasu. O wszystkim zadecyduje parę minut. Obchodzi nas trzech ludzi... – Dziwolągi! – Trzech ludzi. Numer jeden, Jim. Numer dwa, pan Cooger, smażący się w swym krześle elektrycznym. Numer trzy, pan Dark ze skórą pokrytą duszami. Musimy ocalić pierwszego, pozostałych dwóch wykopać do piekła i pozbyć się raz na zawsze. Sądzę, że wtedy dziwolągi także odejdą. Gotów jesteś, Will?

Will powiódł wzrokiem po drzwiach, namiotach, mroku, niebie rozjaśnionym słabym blaskiem. – Dzięki ci, Boże, za księżyc. Trzymając się mocno za ręce wyszli na dwór. Nagle zerwał się wiatr, łopocząc donośnie płótnem namiotów, jakby na powitanie wyleciały im ogromne prehistoryczne gady na trędownych skrzydłach.

ROZDZIAŁ LI

Biegli w cieniu cuchnącym uryną, w pachnącym lodem blasku księżyca. Organy parowe szemrały, szeptały, ćwierkały, wyrzucając z siebie parę. Muzyka, pomyślał Will; czy to melodia grana do przodu, czy też do tyłu? – Którędy? – szepnął tato. – Tutaj – wskazał Will. Sto metrów dalej, za łańcuchem namiotów rozbłysło błękitne światło. Przez moment w niebo wystrzeliły iskry, po czym znów zapadła ciemność. Pan Electrico, pomyślał Will. Próbują go przenieść, jasne! Zabrać na karuzelę, wyleczyć lub zabić! A jeśli go uleczą, wtedy, o rany, tata i ja będziemy mieli przeciw sobie wściekłego Coogera i równie wściekłego Człowieka Ilustrowanego. A Jim? Właśnie, gdzie jest Jim? Jednego dnia tędy, drugiego owędy... a dziś? Po czyjej skończy stronie? Naszej! Mój stary druh! Jim! Naszej oczywiście! Jednakże Will zadrzał. Czy przyjaźń trwa wiecznie? Czy w miarę upływu lat dodaje się, tworząc ciepłą, okrągłą, przyjemną sumkę? Will zerknął na lewo. Stał tam Karzeł, na wpół skryty w płótnie namiotu, czekając bez ruchu. – Tato, spójrz! – zawołał cicho Will. – A tam... to przecież Szkielet! Nieco dalej wysoki mężczyzna, figura z marmurowych kości i egipskich papirusów, tkwiła w miejscu niczym martwe drzewo. – Dziwolągi! Dlaczego nas nie powstrzymają? – Boją się. – Nas?! Ojciec Willa przykucnął i wyciągając szyję zajrzał za pustą klatkę. – Każdy z

nich nosi w sobie głęboką ranę. Widzieli, co się stało z Wiedźmą. To jedyna odpowiedź. Spójrz na nich. I rzeczywiście, wszędzie wokół, na całej łące tkwiły wyprostowane postaci, sztywne niczym słupy namiotów, skryte w cieniu, czekając. Na co? Will głośno przełknął ślinę. Może wcale się nie ukrywają, lecz zajmują pozycje, gotowe do walki? W odpowiedniej chwili pan Dark wezwie je i... po prostu ich okrażą. Ale jeszcze nie teraz. Pan Dark był zajęty. Kiedy zrobi to, co trzeba, wówczas da znak. I co z tego? To, pomyślał Will, że musimy dopilnować, by nie zdążył ich wezwać. Stopy Willa przesuwały się wśród trawy. Jego ojciec maszerował naprzód. Dziwolągi obserwowały ich szklanymi oczami, pełnymi księżycowego blasku. Melodia wygrywana przez organy zmieniała się. Teraz piszczałki gwizdały ze smutkiem i słodyczą, a dźwięki roznosiły się wśród kopuł namiotów, unoszone nurtem ciemności. Karuzela porusza się naprzód, pomyślał Will. Tak, wcześniej kręciła się do tyłu, teraz jednak przystanęła i ruszyła ponownie, tym razem w przód. Do czego zmierza pan Dark? – Jim! – wybuchnął Will. – Cii – tato potrząsnął nim lekko. Jednakże imię to padło z ust chłopca tylko dlatego, że usłyszał, jak organy kreślą cudowną wizję złotych lat przyszłości, poczuł Jima, który gdzieś samotny poddaje się przyciąganiu ciepłej grawitacji, wezwaniu słonecznych nut, zastanawiając się, jak by to było mieć szesnaście, siedemnaście, osiemnaście lat, a potem, och, potem, dziewiętnaście i, co najbardziej niewiarygodne, dwadzieścia! Potężny wicher czasu dał w mosiężne piszczałki, odgrywając pogodną, radosną, letnią melodię, przyrzekając to wszystko, i nawet Will słysząc ją zaczął biec w stronę źródła muzyki, która wyrastała w niebo niczym wysoka brzoskwinia, pełna dojrzałych owoców. Nie! – pomyślał. I zamiast tego nakazał stopom maszerować w rytm własnego strachu, w takt muzyki mruczanej w głębi gardła, podtrzymywanej przez płuca. I dźwięk ów poruszył kości jego czaszki, zagłuszając zew organów. – Tam! – rzucił cicho tato. I, hen przed sobą, w przejściu między namiotami, ujrzeli groteskowy orszak. Dziwnie znajoma postać wędrowała naprzód, niczym mroczny sułtan w lektyce-fotelu, niesionym na ramionach cieni najróżniejszych rozmiarów i kształtów. Na krzyk taty orszak przystanął, po czym ruszył biegiem. – Pan Electrico! – zawołał Will. Zabierają go na karuzelę! Orszak zniknął. Między nimi wznosił się namiot. – Tędy, naokoło! – Will podskoczył, ciągnąc za sobą ojca. Organy nadal snuły słodką melodię, aby zwabić Jima, ściągnąć go tam. Za chwilę muzyka ruszy do tyłu, karuzela zawiruje, zrzucając starą skórę z pana Electrico, ujmując mu lat. Will potknął się, upadł. Tato podniósł go z ziemi. I wtedy... Gdzieś w dali rozległ się warkot ludzkich głosów; szczekanie, zawodzenie, skowyt, jakby walił się cały świat. Tłum ludzi o kalekich gardłach oderwał się chórem w przeciągłym jęku, zachłyśnięciu, westchnieniu, załamującym się szlochu. – Jim! Mają go! – Nie – mruknął Charles Halloway z dziwną miną. – To raczej Jim... albo my... mamy ich. Okrażyli ostatni namiot. Wiatr dmuchnął im w twarz, zasypując je kurzem. Will uniósł rękę i zatkał palcami nos. Pył – wiekowe przyprawy, popiół z klonowych liści, kłujące cząstki błękitu – wirował w powietrzu, opadając na ziemię. Tańczący we własnym cieniu tuman kurzu przepływał nad namiotami. Charles Halloway kichnął. Przed nimi mroczne postaci podskoczyły i odbiegły, porzucając w przejściu przed karuzelą samotny, przekrzywiony przedmiot. Był to fotel elektryczny, rzucony niedbale na bok. Z drewnianych poręczy i nóg zwisały paski, na oparciu kołysała się metalowa obręcz. – Ale... – zaczął Will. – Gdzie jest pan Electrico? To znaczy... pan Cooger? – To musiał być on. – Co musiał być on? Natychmiast jednak dostrzegł odpowiedź, opadającą na ziemię w małych pyłowych wirach... spalone przyprawy, jesienne kadzidło, które zasypało ich, gdy wynurzyli się zza płociennej ściany. Uleczyć bądź zabić, pomyślał Charles Halloway. Wyobraził sobie, jak przez ostatnich kilka sekund dźwigali na ramionach wiekowy wór prochów i kości, tkwiący w odłączonym od prądu fotelu, a pod ich stopami szeleściły suche źdźbła trawy. Może to tylko jedna z serii prób podsycenia, pobudzenia, zachowania życia, tkwiącego jeszcze w istocie, będącej w rzeczywistości jedynie śmieciem z kostnicy, popiołem

i gasnącym żarem, z którego żaden wiatr nie zdoła już rozniecić ognia. A jednak musieli próbować. Ile razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin odbywali podobne wyprawy, po to tylko, by w panice zaniechać wszelkich działań, ponieważ nawet najślaby wstrząs, najłżejszy oddech mógł zamienić starego Coogera w kupkę szczątków, w stos lepkiego pyłu? Lepiej już, aby nadal tkwił w rozgrzanym prądem krześle, jeszcze jeden eksponat w niezliczonych przedstawieniach dla zachwyconej publiczności, i spróbować ponownie, zwłaszcza teraz, kiedy światła przygasły, zaś tłumy odeszły w mrok, przegnane jednym jedynym uśmiechem, wyrytym na pocisku. Bowiem teraz lunapark potrzebował Coogera takiego, jakim był kiedyś: wysokiego mężczyznę o włosach barwy ognia, w którego żyłach płynęła moc trzęsienia ziemi. Jednakże dwadzieścia, może dziesięć sekund temu resztką kleju, trzymającego go do kupy, zniknęła. Ostatnia iskra życia umknęła z ciała i stara mumia, manekin, groteskowa figura z kościanych klocków rozpadła się, a wiatr porwał za sobą chmurę dymu i listopadowych ulotek, świadectw jego śmiertelności. Pan Cooger, padając w końcu pod kosą żniwiarza, był teraz jedynie miliardem pergaminowych płatków, morskich drobinek, tańczących na łąkach. Zniknął niczym kłęb pyłu w silosie pełnym starego zboża. – Och nie, nie, nie, nie, nie – mrucał ktoś niedaleko. Charles Halloway dotknął ramienia Willa. Will przestał powtarzać "nie" i umilkł. On także w ciągu ostatnich kilku chwil myślał o unoszonym przez dziwolągi ciele, metalowym szkieletowym krześle, bogatej woni trawiastych wzgórz. Teraz pozostał jedynie pusty fotel i ostatnie cząsteczki miki, błyszczące drobinki niezwykłego pyłu, pokrywające skórzane pasy, zaś dziwolągi, które wcześniej dźwigały barokową lekturę, umknęły w cień. Zmusiliśmy ich do ucieczki, pomyślał Will, ale wcześniej coś sprawiło, że upuścili swoje brzemię. Nie, nie coś. Ktoś. Will powiódł wokół wzrokiem. Karuzela, porzucona, wirowała samotnie w zaklętym kręgu swego własnego czasu, poruszając się naprzód. Lecz ta postać, stojąca pomiędzy pustym fotelem a karuzelą, czy to dziwoląg? Nie... – Jim! Tato szturchnął go łokciem i Will zamknął usta. Jim, pomyślał. A gdzie podziewał się pan Dark? Gdzieś. Bowiem to on uruchomił karuzelę, czyż nie? Owszem. Aby ich tu ściągnąć, aby zwabić Jima i – co jeszcze? W tej chwili nie mieli czasu, bowiem... Jim odwrócił się od porzuconego krzesła i ruszył powoli naprzód, uwiedziony obietnicą darmowej, jakże darmowej, przejażdżki. Zmierzał tam, dokąd, jak wiedział, od początku musiał się udać. Niczym chorągiewka w niepewną pogodę, skręcał to w tę, to w tę. Wahał się, widząc przed sobą jasny horyzont i ciepłą przyszłość, aby wreszcie pochylić się i półsennie poddać przyciąganiu błyszczących mosiężnych słupków i letniej marszowej muzyki. Nie potrafił odwrócić wzroku. Jim postąpił kolejny krok w stronę karuzeli, i jeszcze jeden, i jeszcze. – Idź do niego, Will – polecił ojciec. Will ruszył naprzód. Jim uniósł prawą rękę. Mosiężne słupki przepływały obok nich, zmierzając w przyszłość, lepiąc się do ciała niczym syrop, rozciągając kości jak ciągutki. Słoneczne błyski metalu parzyły policzki Jima, krzesały iskry w jego oczach. Jim wyciągnął rękę. Słupki, trącane palcami, wydały z siebie cichą, wibrującą melodię, nie zwalniając biegu. – Jim! Mosiężne paliki przepływały obok, jaśniejac niczym złocisty wschód słońca pośród nocy. Muzyka wytrysnęła w górę przezczystą fontanną. Iiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii. Jim otworzył usta i wydał z siebie identyczny okrzyk: – Iiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii! – Jim! – ryknął Will, biegnąc naprzód. Dłoń jego przyjaciela uderzyła o słupek, który umknął w dal. Jim klepnął kolejny mosiężny palik. Tym razem jego ręka przywarła mocno do metalu. Za palcami podążył przegub i przedramię, ramię, ciało. Jim, niczym lunatyk, oderwał się od korzeni, pozostawiając je w ziemi. – Jim! Will wyciągnął rękę i poczuł, jak stopa przyjaciela wymyka mu się z palców. Jim śmignął naprzód, wirując w wielkim, mrocznym, letnim kole pośród skowyczącej nocy. Will pędził tuż za nim. – Jim, zsiadaj! Nie zostawiaj mnie tutaj! Jego przyjaciel, odpychany siłą odśrodkową, jedną ręką chwycił słupek i, jakby wiedziony resztką instynktu, puścił wolno drugą, która unosiła się w powietrzu – mała, blada, samotna kończyzna, jedyna część jego ciała, która nadal

pamiętała ich przyjaźń. – Jim! Skacz! Will skoczył, próbując pochwycić ową dłoń. Nie trafił jednak, potknął się i omal nie upadł. Przegrał pierwszy wyścig. Jim musiał pokonać samotnie jedno okrążenie. Will stał, czekając na następną szarżę jazdy, na unoszonego wraz z nią chłopca, który nie był już całkiem chłopcem... – Jim! Jim! Jim ocknął się! Pokonał już pół okrążenia. Jego twarz przypominała swym wyrazem na przemian to lipiec, to grudzień. Ścisnął kurczowo pręt i jęcząc z rozpaczy pragnął, a jednocześnie nie chciał tego; marzył, a zarazem odrzucał to marzenie, i znów zaczynał łaknąć w locie, unoszony rzeką wiatru, błyskami metalu, do wtóru tętentu lipcowych i sierpniowych koni, których kopyta przecinały powietrze ze świstem niczym rzucone w górę owoce. Jego oczy błyszczwały. Przyciskając język do zębów syknął, targany niepewnością. – Jim! Skacz! Tato, zatrzymaj tę maszynę! Charles Halloway odwrócił się i ujrzał skrzynkę kontrolną piętnaście metrów dalej. – Jim! – Will poczuł gwałtowne ukłucie kolki w boku. – Potrzebuję cię! Wróć! I daleko, po przeciwnej stronie karuzeli, podróżujący coraz szybciej Jim podjął walkę z własnymi lękami, prętem, pustą, wietrzną przejażdżką, gęstniejącą nocą, wirującymi gwiazdami. Wypuścił słupek i pochwycił go na nowo. Nadal jednak jego prawa dłoń unosiła się bezwładnie, błagając Willa, aby pomógł mu resztką sił. – Jim! I Jim pojawił się przed nim. Tam, w dole, na pogrążonej w ciemności stacji, z której rozpoczął jazdę pociągiem czasu, w obłoku konfetti z przedziurkowanych biletów zobaczył Willa – Willy'ego – Williama Hallowaya, młodego kumpla, przyjaciela, który teraz stawał się jeszcze młodszy i nie tylko – także nieznan, zapamiętany niewyraźnie z dawnych czasów, innego roku... teraz jednak ów chłopiec, przyjaciel, młodszy druh, biegł obok pociągu wyciągając rękę. Czy także pragnął się przejechać? A może żądał, aby to on zsiadł? O co mu chodziło? – Jim! Pamiętasz mnie? Will skoczył po raz ostatni. Palce dotknęły palców, dłoń – dłoni.

Z góry patrzyła na niego śmiertelna blada twarz Jima. Will biegł, dotrzymując kroku wirującej maszynie. Gdzie jest tato? Dlaczego jej nie wyłączył? Ręka Jima była ciepła, znajoma, dobra. Zamknęła się wokół jego dłoni. Uścisnął ją z krzykiem. – Jim, proszę! Nadal jednak kontynuowali podróż, Jim unoszony przez karuzelę, Will ciągnięty za nim w szaleńczym biegu. – Błagam! Will szarpnął, Jim także. Uwięzioną w uścisku przyjaciela dłoń Willa oparzył lipcowy upał. Niczym schwytane zwierzątko, trzymane mocno i pieszczone, krążyła wraz z Jimem coraz dalej i dalej, w nadchodzące czasy. Wkrótce jego dłoń, podróżująca naprzód, stanie się mu obca; gdy będzie w nocy leżał w łóżku próbując odgadnąć przyszłość, ona będzie już ją znała. Czternastoletni chłopiec, piętnastoletnia dłoń! Jim trzymał ją, o tak!, ścisnął mocno i nie puszczał! A jego twarz, czy po podróży także się starzała? Czy miał teraz piętnaście lat? Szło mu na szesnaście. Will pociągnął. Jim także, w przeciwną stronę. Will upadł na karuzelę. Popłynęli razem w noc. Teraz obok Jima podróżowało całe ciało przyjaciela. – Jim! Tato! Jak łatwo byłoby zostać tu, dosiąść konia i jechać razem z Jimem. Skoro nie może go stąd ściągnąć, dotrzymać mu towarzysztwa. Podróżowaliby razem, jak najdrożsi druhowie. Soki w jego ciele krążyły gwałtownie, oślepiając go, tętniąc w uszach, przeszywając członki ukłuciami elektryczności... Jim krzyknął. Will również. Pokonali tak pół roku, mknąc naprzód w ciepłej, pachnącej ciemności, zanim Will nie pochwycił mocno ręki przyjaciela i nie odważył się zeskoczyć, odwrócić się od obietnicy tak wielu cudownych dorosłych lat, śmignąć w dół poza zaklęty krąg, pociągając za sobą przyjaciela. Jednakże Jim nie mógł puścić pręta, nie mógł zrezygnować z przejażdżki. – Will! Jim, zawieszony pomiędzy maszyną a przyjacielem, krzyknął.

Zabrzmiało to niczym ogłuszający trzask rozdzieranej materii lub ciała. Jego oczy stały się martwe jak u posągu. Karuzela wirowała. Jim krzyknął i odpadł od palika, szaleńczo koziółkując w powietrzu. Will usiłował powstrzymać jego upadek, jednakże jego przyjaciel gwałtownie uderzył o ziemię i legł tam, milczący. Charles Halloway uderzył z rozmachem w wyłącznik karuzeli. Pusta machina zwolniła biegu. Jej jeszcze niedawno galopujące konie zdążyły teraz stępa w stronę odległej

letniej nocy. Charles Halloway i jego syn ukłękli razem obok Jima, dotykając jego przegubów, przykładając ucho do piersi. Białe ślepe oczy chłopca spoglądały w gwiazdy. – O Boże! – krzyknął Will. – Czy on nie żyje?

ROZDZIAŁ LII

– Nie żyje? Ojciec Willa przysunął dłoń do tej zimnej twarzy, lodowatej piersi. – Nic nie czuję... Gdzieś w dali ktoś zaczął krzyczeć, wzywając pomocy. Unieśli wzrok. Główną alejką biegł chłopiec, wpadając na kasy z biletami, potykając się o linki namiotów, spoglądając przez ramię. – Ratunku, on mnie ściga! – wykrzyknął. – Ten straszny człowiek. Ten straszny człowiek! Chcę do domu! Chłopiec rzucił się naprzód, chwytając rozpaczliwie rękę ojca Willa. – Pomóżcie mi, zgubiłem się, nie podoba mi się tutaj. Zabierzcie mnie do domu! Ten człowiek z tatuażami. – Pan Dark! – wykrztusił Will. – Tak – wybełkotał chłopczyk. – Zmierza tutaj! Och, powstrzymajcie go. – Will – jego ojciec dźwignął się na nogi. – Zajmij się Jimem. Zastosuj sztuczne oddychanie. W porządku, chłopcze, już idę. Malec pobiegł naprzód. – Tędy! Maszerując za nim, Charles Halloway obserwował przerażonego chłopca, który go prowadził. Uważnie przyglądał się jego głowie, sylwetce, układowi pleców i krzyża. – Chłopcze – zagadnął, oddaliwszy się o parę metrów od mejsca, w którym Will nachylał się nad Jimem. – Jak się nazywasz? – Nie ma czasu! – krzyknął chłopiec. – Jed. Szybko, szybko! Charles Halloway przystanął. – Jed – powiedział. Chłopiec także stanął w miejscu, obrócił się jednak, ocierając łokcie o koszulę. – Ile masz lat, Jed? – Dziewięć – odparł malec. – O jejku, nie ma czasu! My... – To akurat odpowiednia chwila, Jed – odparł Charles Halloway. – Tylko dziewięć? Jesteś taki młody. Ja nigdy nie byłem tak młody. – Święty Jacku z pierogami! – wykrzyknął gniewnie chłopiec. – Albo może nieświęty? – Mężczyzna sięgnął ku niemu. Chłopiec cofnął się. – Boisz się tylko jednego człowieka, Jed. Mnie. – Pana? – Chłopiec cały czas odsuwał się od niego. – Proszę przestać! Dlaczego, dlaczego? – Ponieważ czasem dobro dysponuje bronią, a zło jest bezradne. Czasem sztuczki zawodzą. Czasami ludźmi nie daje się sterować, doprowadzając ich do upadku. Dziś wieczór nie czeka nas żadne dzieł i rządź, Jed. Dokąd mnie zabierałeś? Do jakiejś lwiej klatki, gotowej na moje przybycie? Jednej z atrakcji, takiej jak Labirynt? Do kogoś podobnego Wiedźmie? I co dalej, Jed, co dalej? Podwińmy twój prawy rękaw, co ty na to, Jed? Wielkie oczy z kamienia księżycowego błysnęły, spoglądając wprost na Charlesa Hallowaya. Chłopiec odskoczył w tył, jednakże starszy mężczyzna wraz z nim odepchnął się od ziemi, złapał go za rękę, chwycił kołnierzyk koszuli i zamiast podwijać rękaw, jak to zaplanował przed chwilą, po prostu zerwał ją z chłopięcego ciała. – A więc to tak, Jed – powiedział cicho Charles Halloway. – Spodziewałem się tego. – Ty, ty, ty, ty! – Owszem, Jed, ja. Ale zwłaszcza ty. Spójrz tylko na siebie. I spojrzał. Bowiem tam, na grzbiecie dłoni chłopczyka, na jego palcach i przegubie wiły się błękitne węże, przepelnione niebieskim jadem węzowe oczy, błękitne skorpiony, śmigające wokół błękitnej paszczy rekina, otwartej szeroko, wiecznie głodnej, pragnącej pożywić się wszystkimi dziwolągami, stłoczonymi, wyklutymi policzek przy policzku, ciało przy ciele, na całej jego piersi, wątlwym torsie i skulonymi w sekretnych miejscach zgromadzeń na małym, jakże małym ciele, tym zmarzniętym, wstrząśniętym, dygoczącym ciele. – Ależ, Jed, cóż za piękne ozdoby! – Ty! – Chłopiec uderzył go. – Owszem, to nadal ja. – Charles Halloway spokojnie przyjął cios w twarz i przycisnął chłopca do siebie. – Nie! – Ależ tak – odparł Charles Halloway, obejmując go zdrową prawą ręką. Lewa, zmiażdżona, wisiała bezwładnie u boku. – Tak, Jed. Skacz, wrywaj się, proszę bardzo. To był naprawdę dobry pomysł. Odciągnąć mnie na bok, załatwić, a potem wrócić po Willa. A kiedy przybyłaby policja – no cóż, jesteś przecież tylko dziewięcioletnim chłopcem, a lunapark, och nie, nie należy do ciebie, to nie twoja własność. Zostań tu, Jed. Czemu próbujesz się uwolnić? Policja zacznie szukać i odkryje, że właściciele wesołego miasteczka zniknęli, nieprawdaż, Jed? Zręczna

ucieczka. – Nie możesz zrobić mi krzywdy! – wrzasnął chłopiec. – To zabawne – odparł Charles Halloway. – Ja sędzę, że mogę. Niemal czule przycisnął chłopca do siebie, blisko, bardzo blisko. – Morderca! – zawodził chłopak. – Morderca! – Nie zamierzam cię zamordować, Jed, panie Dark, czy też kimkolwiek, czymkolwiek jesteś. Ty sam się zabijesz, ponieważ nie możesz znieść towarzystwa ludzi takich jak ja, nie z tak bliska, nie tak długo. – Zły! – jęknął chłopak, wijąc się zawzięcie. – Jesteś zły! – Zły? – Ojciec Willa roześmiał się. Chłopak szarpnął się gwałtownie, jakby ów dźwięk ukłuł go dotkliwie. – Zły? – Dłoń mężczyzny była niczym lep, przyklejony na stałe do drobnych dziecięcych kości. – Dziwne, że słyszę to akurat z twoich ust, Jed. Najwyraźniej zatem musisz tak uważać. W oczach zła dobro jest złem. Ja jednak uczynię ci tylko dobro, Jed. Po prostu przytulę cię i będę patrzył, jak sam się zatruwasz. Będę dla ciebie dobry, Jed, panie Dark, panie Właścicielu, chłopcze, póki nie powiesz mi, co dolega Jimowi. Obudź go, uwolnij. Zwróć mu życie! – Nie mogę... nie mogę... – Głos chłopca opadał w głąb studni, skrytej w jego ciele, cichnąc coraz bardziej. – Chcesz powiedzieć, że tego nie zrobisz? – ...nie mogę... – W porządku, chłopcze. Proszę zatem, bierz... Wyglądali jak ojciec i syn, spotykający się po długim rozstaniu i pograżeni w czułych, jakże czułych objęciach. Mężczyzna uniósł swą zranioną dłoń, łagodnie dotykając wykrzywionej twarzy chłopca, podczas gdy tłum, stada ilustracji, zadrżały i rozbiegły się bezradnie na boki w mikroskopijnych grupkach. Oczy chłopca, spoglądające szaleńczo wokół, skupiły się na ustach mężczyzny. Ujrzał tam ów dziwny, a przecież czarujący uśmiech, którym niedawno jego właściciel pobłogosławił Wiedźmę. Charles Halloway przycisnął chłopca jeszcze mocniej i pomyślał: Zło ma tylko tyle mocy, ile sami mu jej dajemy. Ja nie daję ci nic, lecz wszystko odbieram. Głoduj. Głoduj. Głoduj. Dwa płomyczki w przerażonych oczach chłopca zgasły nagle jak zdmuchnięte. Chłopak i jego zalęknione, posiniaczone zgromadzenie potworów, tłum istot, które można było wyczuć, choć nie zawsze dostrzec, runął na ziemię. Powinien temu towarzyszyć ryk walącej się góry, jednakże Charles Halloway usłyszał tylko szelest, jakby japoński papierowy lampion upadł lekko w pył.

ROZDZIAŁ LIII

Przez długą chwilę Charles Halloway stał bez ruchu, oddychając głęboko, aż do bólu płuc, i spoglądał na ciało. Powiewające cienie trzepotały we wszystkich uliczkach, ludzie i dziwolągi wszelkich kształtów i rozmiarów, uwięzieni w pętach własnej grozy i grzechów, ściskali kurczowo słupki namiotów, jęcząc z niedowierzaniem. Gdzieś między nimi Szkielet wystąpił naprzód, stając w plamie światła. Gdzieś indziej Krasnal niemal przypomniał sobie, kim był, i śmignął naprzód niczym krab umykający z jaskini; mrugając oślepionymi oczami przyglądał się Willowi, klęczącemu obok Jima, i jego ojcu, zgarbionemu z wyczerpania nad nieruchomą postacią milczącego chłopca, podczas gdy karuzela zatrzymała się powoli, rozkołysana niczym prom na poruszanych wiatrem falach traw. Lunapark był wielkim ciemnym paleniskiem, pełnym

żarzących się węgli. Cienie zbliżały się, aby spojrzeć ognistymi oczami na scenę obok karuzeli. Tam bowiem, skąpany w blasku księżyca, spoczywał ilustrowany chłopiec nazwiskiem Dark. Wraz z nim leżały ciała zabitych smoków, zrujnowane wieże, potwory z mrocznych wieków, tkwiące bez ruchu na stosach pordzewiałych skarbów, pterodaktyle, zmiażdżone niczym dwupłątowce z minionych, zawsze bezsensownych wojen, skorupiaki barwy szmaragdów porzucone na białej piaszczystej plaży, z której spłynęła fala życia. Wszystkie te ilustracje ulegały teraz zmianie, kurcząc się, zasychając w miarę jak stygło drobne ciało. Obscenicznie mrugające oko pępka gapiło się tępo w przestrzeń, sutek – tęczówka trąbiącego mastodonta, oślepl nagle, staczając się w szaleństwo; każdy obrazek zdobiący niegdyś wysoką postać pana Darka miał swoją miniaturową kopię na bladym płótnie, rozpiętym na kanciastych, sterczących kościach chłopca, tkaninie rozciągniętej jak naciąg tenisowej rakiety. Kolejne dziwolągi, o obliczach koloru łóżek, w których tak wielu ludzi przegrało

bitwę o własną duszę, wynurzyły się z cieni, krążąc ciekawością wokół Charlesa Hallowaya i jego porzuconego brzemienia. Will przerwał na chwilę desperackie uciski i odprężenia, uciski i odprężenia, próby przywrócenia Jima do życia. Nie bał się stworów, obserwujących go z ciemności, nie miał na to czasu! A gdyby nawet, to wyczuwał, że owe dziwolągi zajęte są wciąganiem w płuca nocnego powietrza, jakby od lat nie oddychały tak swobodnie! I podczas gdy Charles Halloway obserwował je, podobnie jak zwierzęco-ognisto, wodnisto-rybie, zaropiałe oczy w mroku, chłopiec, który był panem Darkiem, stawał się jeszcze zimniejszy, w miarę gdy śmierć podcinała podpory koszmarów, wymazywała wzory kaligrafii, dymiące błyskawice rysunków, które wiły się, czały i unosiły w powietrzu niczym straszliwe proporce przegranej wojny – wszystkie one zaczęły znikać, jeden po drugim, z porzuconego drobnego ciała. Grupa ludzi-potworków rozejrzała się lęklwie, jakby księżyc wypełnił się nagle blaskiem, a oni przejrzeni na oczy; poruszyli przegubami, jak gdyby opadły z nich kajdany, przekrzywili szyje, gdy ze zgarbionych ramion opadły ciężary. Po długim uwięzieniu w grobowcach, potykając się ruszyli nagle naprzód, mrugając szybko, patrząc z niedowierzaniem na zbiorowisko wszystkich ich nieszczęść, leżące obok pozbawionej mocy karuzeli. Gdyby śmieli, chętnie przesunęliby dygoczącymi dłońmi po zastygłych w słodyczy śmierci ustach, po bladym marmurowym czole. Tymczasem jednak patrzyli oniemiała, jak ich podobizny, odzwierciedlenia śmiertelnych grzechów chciwości, złości, trujących wyrzutów sumienia, szmaragdowe wyciągi z oślepionych przez nich samych oczu, zranionych ust, ciał schwytych w pułapkę własnej duszy, topiły się kolejno, ściekając z owej już nieistotnej kupki martwego śniegu. Tam zniknął Szkielet, obok podobizna Krasnala – uciekającej w popłochu rozgwiazdy; Pijący Lawę opuścił jesienne ciało, a za nim Czarny Kat z londyńskich doków. Ludzki Montgolfier, Człowiek-Balon, Avoirdupois Wspaniały, uleciał w górę i zniknął; jego balon oklapł, rozpluwając się w czystym powietrzu. Grupy, nie – całe stada dziwnych stworów umykały w dal, w miarę jak śmierć starannie wycierała tablicę skóry. Po chwili leżał już przed nimi zwykły martwy chłopiec o nieskazitelnie białym ciele, wpatrując się w gwiazdziste niebo pustymi oczami pana Darka. – Achhhh... Niezwykli ludzie, skryci wśród cieni, chóralnie odetchnęli z ulgą. Możliwe, że organy wydały z siebie ostatnie władcze warknięcie, a może w chmurach odezwał się uśpiony grzmot. Nagle wszyscy zawrócili. Dziwolągi popędziły naprzód, rozbiegając się na północ, południe, wschód, zachód, uwolnione spod władzy namiotów, swego pana, mrocznych praw, a przede wszystkim od siebie nawzajem, i biegly tak, niczym białe świnię albinoski, pozbawione szabli dziki, spłoszone leniwce, uciekające przed burzą. Zaś każdy z nich w biegu pociągnął za linę, potknął się o jakiś kołek. Bowiem niebem wstrząsnął nagle złowieszczy szum, ogłuszający świst wciągane powietrza, szczęk i szmer zapadającej się ciemności. To waliły się namioty. Liny wiły się, sycząc jak żmije czy kobry, pękając i chłuszcząc suchą trawę. Szkielet ogromnego głównego namiotu dziwolągów zadygotał i zaczął się rozpadać na poszczególne kostki, osobno małe, większe i dinozaurze olbrzymy. Wszystko to kołysało się w oczekiwaniu na nieuchronny upadek. Pawilon zwierzyńca zatrzasnął się niczym czarny hiszpański wachlarz. Pozostałe niewielkie namioty, czarne postaci w płaszczach, rozrzucone po łące zwały się na ziemię na jeden rozkaz wiatru. I wreszcie namiot dziwolągów, wielki melancholijny skrzydlaty gad, po chwili wahania wciągnął w siebie Niagarę powietrza, uwalniając trzysta konopnych węży, zagrzechotał czarnymi wspornikami tak, że posypały się niczym zęby z cyklopowej szczęki, uderzył akrami zetlałych skrzydeł, jakby próbował ulecieć w górę, lecz uwiązany do ziemi musiał poddać się zwykłemu, najzwyklejszemu przyciąganiu, zmiażdżony własnym ciężarem. Padając, wyrzucił z siebie gorący oddech pachnący ziemią, chmurę konfetti, które liczyło sobie setki lat już wtedy, gdy dopiero wyznaczano przebieg kanałów w Wenecji, i strugi różowej cukrowej waty, przypominającej wyleniałe pierzaste boa. Walący się namiot zrzucił skórę,

jęczał w miarę jak odpadało z niego ciało, aż wreszcie trzy wysokie muzealne słupy, tworzące kręgosłup martwego potwora runęły z ogłuszającym łoskotem. Organy parowe wydały z siebie cichy, kretyński bełkot. Pociąg stał na polu niczym porzucona zabawka. Olejne podobizny dziwołagów klasnęły w dłonie, kołysząc się na ostatnich jeszcze stojących słupach, po czym opadły na ziemię. Szkielet, jedyny dziwołag, który pozostał na miejscu, schylił się, podniósł porcelanowobiałe ciało chłopca, który był panem Darkiem i odszedł w głąb pól. Will, unosząc na moment głowę, dostrzegł chudzielca, który dźwigając swe brzemię przekroczył wzgórze, stąpając w ślad za pozostałymi mieszkańcami wesołego miasteczka. Twarz chłopca zwracała się to w jedną, to w drugą stronę, przyciągana wizjami chaosu, bieżaniny, śmierci, ucieczki dusz. Panie Cooger, Dark, Szkielecie, Krasnalu, który byłeś kiedyś sprzedawcą piorunochronów – nie uciekajcie, wracajcie! Panno Foley, gdzie pani jest? Panie Crosetti! To już koniec! Stójcie! Cicho! Wszystko w porządku. Wracajcie tu, wracajcie! Jednakże wiatr zacierał już odcisnięte w trawie ślady, zaś dziwołagi wciąż uciekały i mogły tak biec wiecznie, usiłując prześcignąć same siebie. Toteż Will odwrócił się z powrotem do Jima, pchnął jego pierś i zwolnił ucisk, znów nacisnął i zwolnił, aż wreszcie dygocząc dotknął policzka swego najdroższego przyjaciela – Jim...? Jednakże Jim był zimny niczym skuta lodem ziemia.

ROZDZIAŁ LIV

Pod maską chłodu kryła się jeszcze odrobina ciepła, biała skóra wciąż miała w sobie odrobinę koloru, kiedy jednak Will zbadał puls Jima, nic nie wyczuł, a gdy przyłożył ucho do jego piersi, usłyszał jedynie ciszę. – On nie żyje! Charles Halloway podszedł do swego syna i jego przyjaciela i ukląkł, aby dotknąć cichego gardła, nieruchomych żeber. – Nie – stwierdził ze zdziwieniem. – Niezupełnie. – Umarł! Z oczu Willa trysnęły łzy. Wówczas jednak poczuł, jak ktoś potrząsa nim, uderza w plecy. – Przestań! – krzyknął jego ojciec. – Chcesz go ocalić? – Już za późno, tato! – Zamknij się i słuchaj! Jednakże Will zapłakał. I znów ojciec szarpnął go i uderzył. Raz w lewy policzek, raz w prawy. Mocno. I owe ciosy jakby odeгнаły łzy z oczu Willa, które odtąd pozostały suche. – Will! – Ojciec gwałtownym gestem dźgnął palcem najpierw w jego stronę, potem w kierunku Jima. – Do diabła, Willy, oni wszyscy – ci ludzie, pan Dark i jemu podobni – lubią, kiedy się płacze. Na Boga, uwielbiają łzy. Słodki Jezu, im bardziej będziesz zawodził, tym chętniej zliżą sól z twojej brody! Zaczynaj szlochać, a odbiorą ci oddech niczym koty niemowlętom. Wstawaj! Wstań z kolan, do diaska! Skacz naokoło, wrzeszcz i wiwatuj! Słyszysz? Krzycz, Will, śpiewaj, ale przede wszystkim śmieć się, rozumiesz? Śmieć się! – Nie mogę! – Musisz! To wszystko co mamy. Ja wiem! W bibliotece! Wiedźma uciekła, na Boga, jak szybko uciekała! To mój śmiech ją zabił, nie strzał. Jeden, jedyny uśmiech, Willy. Nocni ludzie nie potrafią go znieść. W uśmiechu kryje się słońce, a oni nienawidzą słońca. Nie możemy ich traktować poważnie. – Ale... – Do diabła z "ale". Widziałeś zwierciadła! Wszystkie te lustra wpychały mnie do grobu, pokazywały jedynie zmarszczki i zgniliznę. Szantażowały mnie. Podobnie uczyniły z panną Foley tak, że w końcu dołączyła do wielkiego marszu donikąd, zbratała się z głupcami, którzy pragnęli mieć wszystko. Cóż za idiotyczne marzenie: wszystko! Biedni, przekłęci durnie! Tak bardzo podnieceni nicością, zupełnie jak głupi pies, który upuszcza własną kość, aby rzucić się na jej odbicie w stawie. Will, widziałeś przecież – wszystkie lustra runęły jak sople podczas roztopów. Bez pomocy kamieni czy strzelby albo noża, a jedynie dzięki własnym zębom, językowi i płucom roztrzaskałem owe zwierciadła samą mocą mojej pogardy. Powaliłem nią dziesięć milionów przerażonych durniów pozwalając, by prawdziwy człowiek powstał na nogi. Teraz ty także wstań, Will! – Ale Jim... – głos Willa uwiązał w gardle. – Jim też taki był, zawsze. Zatrzymywał się w pół drogi. Wciąż coś go kusilo. Teraz posunął się za daleko i może go straciliśmy. Ale walczył, by się uratować, prawda? Wyciągnął do ciebie rękę, żeby

oderwać się od maszyny, toteż dokończymy za niego jego walkę. Rusz się! Will, gwałtownie szarpnięty, zerwał się z ziemi. – Biegaj! Chłopiec znów pociągnął nosem. Tato uderzył go w twarz. Łzy popłynęły niczym rzeka meteorów. – Podskakuj! Skacz! Krzycz! Pchał Willa przed sobą, drepcząc za nim, i wsunawszy ręce do kieszeni zaczął szarpać materiał, póki nie wyciągnął błyszczącego przedmiotu. Organków. Tato dmuchnął, dobywając z nich akord muzyki. Will przystanął, spoglądając w dół na Jima. Ojciec trzepnął go w ucho. – Biegaj! Nie patrz! Will pobiegł naprzód. Tato zagrał kolejny akord, pociągnął Willa za łokieć i rozrzucił ramiona syna. – Śpiewaj! – Ale co? – Boże, chłopcze, cokolwiek! Harmonijka, krztusząc się, wydała z siebie pierwsze dźwięki "Swanee River". – Tato! – Will zaszurał nogami, potrząsając głową. Czuł niewiarygodne zmęczenie. – To przecież głupie...! – Jasne! Właśnie tego chcemy! Przeklęty stary głupiec! Niemądre organki! Kiepska, fałszywa melodia! Tato wydał z siebie radosny okrzyk, krążąc wokół niczym tańczący żuraw. Nie przekroczył jeszcze granicy niemądrości, jednak rozpaczliwie pragnął się przebić. Musiał to zrobić. Natychmiast! – Will: głośniej, śmieszniej, słuchaj swego ojca! Do diabła, nie pozwól, by spijali twoje łzy, łaknąc ich coraz bardziej. Will, nie oddawaj im swojego płaczu, aby odwrócili go, tworząc z niego własny uśmiech! Nie ma mowy, aby śmierć przywdziała mój smutek, okrywając nim kości. Nie karm ich, Willy, nie dawaj im niczego! Rozluźnij się! Oddychaj! Już! Chwycił Willa za włosy i potrząsnął nim. – Nic... śmiesznego... – Właśnie, że tak! Ja! Ty! Jim! My wszyscy! To, co robimy! Spójrz! I Charles Halloway zaczął stroić miny: wybałuszał oczy, marszczył nos, mrugał, dreptał wokół niczym szympan, walcował z wiatrem, stepował w kurzu, odrzucał głowę, wyjąc do księżycy i pociągając Willa za sobą. – Do diaska, śmierć jest zabawna! Ukłoń się, Will, trzy i cztery! Kroczek naprzód. Gdzieś tam hen, nad Swanee River – co dalej, Will?... Hen, z dala stąd! Will, chcę usłyszeć twój koszmarny głos, piskliwy dziewczynski sopranik. Brzmi zupełnie jak wróbel w metalowej puszcze. Chłopcze, skacz! Will wyprysnął w powietrze, opadł na ziemię, policzki paliły go. W gardle czuł kwaśny smak cytryny. W jego piersi powoli nadymał się balon. Ojciec dmuchnął w srebrzyste organki. – Stoi samotny... – zaczął Will. – Dom! – ryknął jego ojciec. Krok, skok, tupnięcie, skłon. Gdzie był Jim? Leżał zapomniany. Tato połaskotał Willa pod żebra. – Pnienki z Campton, piosnkę tę...! – Du-da! – wrzasnął Will. – Du-da! – Teraz i on już śpiewał. Balon rósł coraz bardziej. Coś połaskotało go w gardło. – Śpiewają na wyścigach, hej!

– O du-da-dej!

Mężczyzna i chłopiec odtańczyli menueta. I nagle, w połowie kroku, to się stało. Will poczuł, jak balon rośnie i rozpycha jego pierś. Uśmiechnął się. – Co?! – Tata zdumiał się na widok jego odsłoniętych zębów. Will prychnął i zachichotał. – Co mówisz? – zapytał ojciec. Siła eksplozji, z jaką rozpuknął się ciepły balon wystarczyła, by rozewrzeć usta Willa, odrzucić jego głowę w tył. – Tato! Tato! Podskoczył. Chwycił rękę ojca i zaczął szaleńczo biegać wokoło, wrzeszcząc, kwacząc jak kaczka, gdacząc jak kura. Jego dłonie uderzały o obolałe kolana, z podeszew unosił się tuman kurzu. – Och, Zuzanno! – Och, nie płacz, bo już dość... – Idę sobie z banjo na kolanie... – Ja z Południa... Razem: – ...gość! Organki świszcząc postukiwały o zęby ojca, który wydobywał z nich wspaniałe akordy śmiechu i rozbawienia; tańcząc wkoło wysoko unosił nogi. – Ha! – Zderzyli się, omal nie upadli, stuknęli się łokciami i głowami, wypuszczając z płuc powietrze. – Ha! O Boże, ha! Will, ha! Słabnę! Ha! I w trakcie kolejnego ataku szalonego śmiechu... ..ktoś kichnął! Odwrócili się, patrząc w napięciu. Któż to leżał na skapaniej w promieniach księżycy ziemi? Jim? Jim Nightshade? Czyżby się poruszył? Czy jego usta otwierały się szerzej, a powieki zadrżały? Może jego policzki były bardziej różowe? Nie patrz! Tato okręcił Willa w radosnym tańcu. Śpiewali do-si-do wyciągając ręce, organki wypluwały z siebie ostre dźwięki, napędzane oddechem ojca, który maszerował naprzód wyciągając nogi i wymachując rękami jak indyk. Przeskoczyli przez Jima tam i z

powrotem, jakby był jedynie martwym kamieniem w trawie. – Ktoś tam w kuchni siedzi rad z Dinah! Ktoś tam w kuchni siedzi rad... – ... wiem, ooo wiem! Z ust Jima wysunął się język. Nikt tego nie dostrzegł. A jeśli nawet któryś z tańczących zauważył zmianę, zignorował ją lękając się, że zniknie. Jim sam wykonał ostateczny krok. Jego powieki uniosły się. Przez chwilę patrzył na tańczących błaznów nie wierząc własnym oczom. Dopiero co odbył podróż przez lata, a teraz, po powrocie, nikt nie przywitał go nawet zdawkowym "cześć!". Tańczyli jedynie sambę, podskakując wesoło. Może nawet do oczu napłynęły mu łzy. Zanim jednak zdążyły spłynąć mu po policzkach, wargi Jima wygięły się lekko. Zaśmiał się słabo, bowiem mimo wszystko byli naprawdę komiczni: niemądry Willy i jego niemądry stary ojciec-dozorca, którzy ścigali się niczym goryle, muskając dłońmi trawę, z twarzami zastygłymi w dziwacznych grymasach. Górowali nad nim, klaskając w dłonie i machając uszami; skłaniali się, obmywając go bystrą rzeką szczerego śmiechu, którego nic nie zdołałoby powstrzymać, nawet gdyby niebo spadło im na głowy; zarażali go własną wesołością, pragnąc podpalić lont i wywołać wybuch, całą serię wybuchów, od zwykłych kapiszonów, poprzez korki, aż do najprawdziwszych cudownych petard. I patrząc w dół, podskakując jak pajac na sznurku, Will pomyślał: Jim nie pamięta, że był martwy, więc mu nie powiemy, nie teraz – kiedyś na pewno, ale nie dziś... Du-da! Du-da! Nie rzucili nawet "Cześć, Jim!", albo "Przyłącz się do tańca". Po prostu wyciągnęli ręce, jakby ich towarzysz upadł w szaleńczych wygibasach i potrzebował pomocy, by dołączyć do grupy. Razem dzwignęli go, on zaś wzleciał w górę i opadł na ziemię tańcząc. I Will wiedział, trzymając go za ręce, czując dotyk gorących palców przyjaciela na własnej dłoni, że istotnie, krzykiem, śpiewem, radością przywrócili go do życia. Podnieśli Jima niczym noworodka, rozruszali jego płuca klepiąc go po plecach i sprawiając, że znów wciągnął do ust ożywczy oddech. A potem tato nachylił się i Will przeskoczył przez niego, Will schylił się i tato uczynił to samo, wówczas zaś obaj zaczęli przykucnięci jeden za drugim, nucąc ochryple kolejne piosenki, cudownie zmęczeni, póki Jim nie przełknął śliny i z całych sił nie ruszył naprzód. Zdołał jednak doskoczyć zaledwie do połowy pleców taty, a potem cała trójka upadła i poturlała się na bok, zanosząc się śmiechem, głuchym jak głos sowy, donośnym niczym ryk osła, krystalicznym melodyjnym. Tak właśnie musiał wyglądać pierwszy rok Stworzenia, gdy nie przegnano jeszcze Radości z Ogrodu. Wreszcie wszyscy trzej podciągnęli nogi, dotykając ramion towarzyszy, ciasno objęli kolana i kołysząc się patrzyli na siebie, uszczęśliwieni, pijani ciszą. A gdy obdarzyli już twarze towarzyszy, jaśniejące w ciemności niczym pochodnie, dostateczną porcją uśmiechów, spojrzeli na drugą stronę łąki. Czarne słupy namiotów leżały na ziemi niczym cementarysko słoni. Martwe płótna powiewały nad nimi jak płatki wielkiej czarnej róży. Jedyna trójka ludzi na pograżonym we śnie świecie, trzy dzikie nieposkromione koty, wygrzewające się w blasku księżyca. – Co się stało? – spytał w końcu Jim. – Co się nie działo! – wykrzyknął tato. I znów wybuchnęli śmiechem. Nagle jednak Will pochwycił Jima, objął mocno i zapłakał. – Hej – mruknął cicho Jim i powtórzył: – Hej... hej... – Och, Jim, Jim – wykrztusił Will. – Na zawsze będziemy kumplami. – Jasne, oczywiście – Jim był bardzo spokojny. – Nie krępujcie się – powiedział tato. – Popłaczcie sobie. Wyszliśmy już z mroku. Potem pośmiejemy się jeszcze w drodze do domu. Will wypuścił przyjaciela. Podnieśli się z ziemi i stali, spoglądając na siebie nawzajem. Will z ogromną dumą przyjrzał się swemu ojcu. – Och, tato, tato, to ty tego dokonałeś! – Nie. Zrobiliśmy to wspólnie. – Ale bez ciebie bylibyśmy zgubieni. Och, tato, nigdy wcześniej cię nie znałem. Ale teraz to się zmieniło. – Naprawdę, Will? – Do diaska, tak! Kiedy patrzyli na siebie, widzieli otaczające towarzyszy jasne aury migotliwego, wilgotnego światła. – Witaj zatem. Odpowiedz, synu i dygnij grzecznie. Ojciec wyciągnął rękę. Syn uścisnął ją. Obaj zaśmiali się i otwarli oczy, po czym zerknęli szybko na ślady, odbite w zroszonej trawie na wzgórzach. – Tato, czy oni tu wrócą? – Nie. I tak. – Ojciec schował

swoje organki. – Nie, nie oni, ale owszem, ludzie im podobni. Nie w wesołym miasteczku. Bóg jeden wie, pod jakim przebraniem przybędą następnym razem. Lecz pokażą się tu zaraz o wschodzie słońca, w południe, a już najpóźniej jutro wieczorem. Są już w drodze. – Och, nie! – rzucił Will. – O, tak – odparł tato. – Musimy czuwać przez resztę naszego życia. Walka dopiero się zaczęła. Powoli okrążyli karuzelę. – Jak będą wyglądali? Jak ich rozpoznamy? – Możliwe – odparł spokojnie tato – że już tu są. Obaj chłopcy obejrzeliby się gwałtownie. Jednakże ujrzeni przed sobą tylko łąkę, maszynę i siebie samych. Will spojrzał na Jima, na swego ojca i wreszcie na swe własne ręce i ciało. Uniósł wzrok patrząc na tatę. Ojciec przytaknął z powagą, po czym skinieniem głowy wskazał karuzelę i wszedł na nią, dotykając ręką mosiężnego słupka. Will wspiał się tuż za nim. Jim postępował w ślady Willa. Jim pogładził grzywę konia, Will poklepał zwierzę po grzbiecie. Wielka maszyna zakołysała się lekko, unoszona płuwami nocy. Tylko trzy razy naprzód, pomyślał Will. O raję. Tylko cztery razy naprzód, pomyślał Jim. O kurczę. Tylko dziesięć razy do tyłu, pomyślał Charles Halloway. Boże. Patrząc sobie w oczy odczytywali nawzajem własne myśli. Jakże to łatwe, pomyślał Will. Tylko jeden raz, pomyślał Jim. Ale wówczas, dodał w duchu Charles Halloway, kiedy raz już zaczniemy, zawsze będziemy tu wracać. Jeszcze jedna przejażdżka, i jeszcze jedna. Aż w końcu po jakimś czasie zaczniemy proponować jazdę przyjacielom i znajomym, póki wreszcie... W tej samej chwili przyszła im do głowy odpowiedź. „wreszcie sami nie skończymy jako właściele karuzeli, władcy dziwołagów, kierujący przez drobną część wieczności mrocznym wędrownym lunaparkiem... Który, mówiły ich oczy, może już tu jest. Charles Halloway cofnął się, podchodząc do maszynerii, stanowiącej serce karuzeli, znalazł klucz i zaczął rozbijać na kawałki zębaki i koła zamachowe. Sprowadził chłopców na ziemię i parę razy uderzył z całych sił skrzynkę kontrolną, póki nie pękła, strzelając wokół miniaturowymi błyskawicami. – Może to nie było konieczne – stwierdził. – Może i tak nie działałaby pozbawiona dziwołagów, które dawały jej moc, jednakże... – Po raz ostatni uderzył w skrzynkę i odrzucił klucz. – Jest już późno. Chyba dochodzi północ. Posłuszne jego słowom zegary ratusza, kościoła baptystów, metodystów, episkopalnego i katolickiego – wszystkie naraz wybiły dwunastą. Nocny wiatr był przesiąknięty Czasem. – Ostatni, który dobiegnie do semaforu przy Zielonym Przejeździe, to stara baba! Chłopcy wystrzelili naprzód niczym kule z pistoletów. Ojciec zawahał się przez sekundę. Poczł w piersi cień bólu. Co się stanie, jeśli pobiegnę? – pomyślał. Czy śmierć jest taka ważna? Nie. Liczy się tylko to, co nas spotyka, zanim ona nadejdzie. A dziś dobrze się spisaliśmy. Nawet śmierć tego nie zepsuje. Chłopcy pobiegli w tamtą stronę... czemu by nie ruszyć za nimi? Tak też uczynił. I, o Boże, jakże cudownie było pozostawić druk swego życia w rosie na chłodnych polach, pogrążonych w ciemności, która tak bardzo przypominała świąteczny poranek. Chłopcy biegli niczym para kucyków, wiedząc, że któregoś dnia jeden z nich pierwszy dotknie celu, drugi zaś być może w ogóle do niego nie dotrze. Jednakże ta pierwsza minuta nowego poranka nie miała stać się chwilą ostatecznej porażki. To niewłaściwy moment na to, by przyglądać się twarzom, aby przekonać się, czy jedna jest starsza, a druga znacznie młodsza. Był po prostu kolejny październikowy dzień tego roku, znacznie lepszego niż ktokolwiek mógł przypuszczać zaledwie krótką godzinę temu. Księżyc i gwiazdy wędrowały po niebie, zataczając wielki krąg w drodze do nieuniknionego świtu, oni zaś biegli długimi susami. Nie mieli już płakać tej nocy. Will śmiał się i śpiewał, Jim dopowiadał kolejne słowa, gdy razem przedzierałi brodzili w morzu suchych traw, zmierzając w stronę miasta, gdzie mogą przeżyć jeszcze parę lat w domach naprzeciw siebie. A za nimi biegł mężczyzna w średnim wieku, pogrążony we własnych poważnych, choć przyjemnych myślach. Może to chłopcy zwolnili, sami o tym nie wiedząc. Może Charles Halloway przyspieszył kroku. Nie potrafił tego stwierdzić. Lecz zrównawszy się z nimi, mężczyzna w średnim wieku wyciągnął rękę. Will, Jim, tato w tej samej sekundzie klepnęli słup

semafora. Upojeni szczęściem wykrzyknęli donośnie, a wiatr uniósł ich głosy. Potem zaś, podczas gdy księżyc patrzył na nich z góry, cała trójka zostawiła za sobą pustkowia i wkroczyła do miasta.

KONIEC